

Lucy Maud Montgomery

Ania z Avonlea

I. AWANTURNICZY SĄSIAD.

Działo się to w piękne sierpniowe popołudnie na Wyspie Księcia Edwarda. Na czerwonym kamiennym progu domu siedziała Ania, smukłe dziewczę lat szesnastu i pół, o poważnych szarych oczach i rudych włosach, zwanych przez wszystkich kasztanowatymi. Właśnie postanowiła przetłumaczyć kilkanaście wierszy Wergiliusza. Lecz sierpniowe popołudnie, kiedy błękitne mgły okalają wzgórza pokryte zbożem, lekki wietrzyk szepcze tajemniczo wśród topoli, a szkarłat maków płonie na tle ciemnego gąszczu młodych świerków, takie sierpniowe popołudnie nadaje się raczej do marzeń niż do studiów nad martwym językiem. Toteż wkrótce zapomniany Wergiliusz zsunął się na ziemię, Ania zaś, z głową wspartą na splecionych dłoniach i wzrokiem utkwionym we wspaniałą masę obłoków, klębiących się jak wielka, biała góra nad domem pana Harrisona, daleka była od spraw codziennego życia. Bujała właśnie w rozkosznym świecie, gdzie pewna kierowniczka szkoły dokonywała cudów, budując losy przyszłych mężów stanu, wpajając wzniosłe ideały w młodociane umysły i serca. Co prawda — jeżeli trzeźwo spojrzeć na rzeczy, co, należy przyznać, Ani zdarzało się rzadko — mało było prawdopodobieństwa, iżby w szkole w Avonlea znalazło się wiele obiecującego materiału na przyszłych sławnych ludzi. Ale przecież trudno przewidzieć co może się stać, jeżeli nauczycielka użyje całego swego wpływu. Ania optymistycznie zapatrywała się na to, co potrafi zdziałać nauczycielka, jeżeli będzie odpowiednio postępować. W tej chwili oczami swej bogatej wyobraźni widziała siebie za lat czterdzieści w towarzystwie znakomitej osobistości: może jakiegoś rektora uniwersytetu lub prezydenta Kanady — było to jeszcze osnute mgłą tajemnicy. Osobistość ta pochylała się nad pomarszczoną ręką swej dawnej nauczycielki, zapewniając ją, że to ona pierwsza wzniciła w dzisiejszym prezydencie czy rektorze szczytne ambicje i że naukom, wpajanych ongi w wychowanków szkoły w Avonlea, zawdzięcza całe powodzenie swego życia... Te miłe marzenia przerwane zostały nagle w sposób arcyniemily. Na drodze ukazała się pędząca jałówka, a w kilka sekund potem zjawił się pan Harrison, jeżeli “zjawił się” nie jest zbyt łagodnym określeniem jego sposobu wtargnięcia na podwórze. Przeskoczył płot, nie czekając otwarcia furtki, i groźnie mierzył wzrokiem Anię, która zerwawszy się na równe nogi, spoglądała nań oszołomiona. Pan Harrison był od niedawna ich sąsiadem i Ania знаła go tylko z

widzenia. Wczesną wiosną, zanim powróciła z seminarium do domu, Robert Bell, którego ziemia graniczyła z fermą Cuthbertów, sprzedał swoją posiadłość i przeniósł się do Charlottetown. O obecnym właścicielu wiedziano tylko, że się nazywa Harrison i pochodzi z Nowego Brunswiku. Lecz zanim miesiąc minął, przybysz zyskał w Avonlea reputację oryginała...

— Dziwadło — zwykła mawiać pani Małgorzata Linde. Pani Małgorzata lubiła rznąć prawdę w oczy; pamiętają to zapewne dobrze nasi czytelnicy.

Pan Harrison różnił się niewątpliwie od innych ludzi, a jest to przecież charakterystyczną cechą “dziwadeł”. sam zajmował się gospodarstwem i publicznie oświadczał, iż nie życzy sobie zwariowanych bab w obrębie swej siedziby. Avonlejski świat kobiecy mścił się na nim za to, opowiadając straszliwe historie o jego gospodarce i prowadzeniu kuchni. Janek Carter z Białych Piasków, zgodzony do niego do pomocy, był właśnie źródłem tych nieprawdopodobnych wieści. Opowiadał na przykład, że jego chlebowodawca nie uznawał stałych godzin posiłku; będąc głodnym “przegryzał coś niecoś” i jeżeli Janek znajdował się wtedy w pobliżu, to otrzymywał swą porcję, jeżeli zaś nie, musiał czekać chwili, gdy głód znów dokuczył staremu dziwakowi. Janek żałośnie zapewniał, iż byłby się zagłodził na śmierć, gdyby nie okoliczność, że w niedzielę, którą spędzał w domu, podjadał sobie, a w poniedziałek zabierał koszyk zapasów, troskliwie przygotowywanych przez matkę. Zmywanie statków odbywało się w tym domu jedynie w dżdżyste dni niedzielne; gospodarz zabierał się wtedy zamasyścić do pracy, zmywał wszystkie naczynie w beczce z wodą deszczową, po czym pozwalał im obsychać na powietrzu. Poza tym pan Harrison był “twardym” człowiekiem. Proszony o wzięcie udziału w składce na wynagrodzenie dla pastora Allana odrzekł, iż nie zwykł kupować kota w worku, przede wszystkim musi się przekonać, ile korzyści materialnych uzyska z kazań pastorskich; gdy zaś pani Linde zjawiała się u niego, prosząc o składkę na cele misjonarskie (przy sposobności pragnęła obejrzeć wnętrze domu), oświadczył ironicznie, że pośród starych kumoszek Avonlea jest więcej poganek niż gdziekolwiek na świecie, i gdyby pani Linde zamierzała zorganizować misję, która by je nawracała, chętnie by jej w tym dopomógł. Pani Linde wyszła oburzona; opowiadała potem, że to łaska boska, iż pani Bell leży w grobie, bo przecież serce musiałyby jej pęknąć na widok stanu gospodarstwa, które ongiś było jej słuszną chlubą.

— Toć ona szorowała podłogę w kuchni co drugi dzień — mówiła zirytowana do Maryli — A teraz? Musiałam unieść spódnice wchodząc w progi tego domu.

Na domiar złego pan Harrison chował papugę — Imbirka. Dotychczas nikt w Avonlea nie chował papug, było to więc rzeczą co najmniej gorszącą. I co za papugę! Jeśli wierzyć słowom Janka, nie znalazłoby się na świecie drugiego tak bezbożnego ptaka. Imbirek kłął strasznie! Pani Carter odebrałaby już dawno Janka ze służby... ale to niełatwo znaleźć posadę dla chłopca! Któregoś dnia Janek pochylił się zbyt nad klatką, Imbirek zdrapał mu z szyi kawał skóry. Pani Carter pokazywała każdemu tę bliznę, gdy biedny dzieciak wracał w niedzielę do domu. Wszystkie te opowiadania odżyły w umyśle Ani, gdy pan Harrison stanął oniemiały z gniewu. Nawet w chwilach najlepszego humoru nie mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę, był bowiem niski, tęgi i łysy. Ale teraz ta purpurowa ze złości twarz, z oczami prawie wyskakującymi z orbit, wydała się Ani najbrzydsza na świecie. Nagle pan Harrison odzyskał głos.

— Nie pozwolę dłużej na to! — wykrztusił — Ani dnia dłużej, słyszy panna? Jak mi Bóg miły, zdarza się to po raz trzeci...po raz trzeci, moja panno! W takich razach cierpliwość przestaje być cnotą, moja panno! Ostrzegałem ciotkę panny, żeby się to więcej nie zdarzyło. Nie dopilnowała...znów ta sama historia. Chciałbym wiedzieć, co sobie właściwie myśli ta jejmość. Po to tu przychodzę, moja panno!

— Może mi pan zechce wytłumaczyć co się stało? — spytała Ania przybierając minę pełną godności. Ostatnimi czasy pilnie ćwiczyła tę minę, aby ja mieć w pogotowiu, gdy obejmie posadę w szkole. Na wściekłym z gniewu panu Harrisonie nie uczyniła jednak żadnego wrażenia.

— Co się stało? Jak mi Bóg miły, dość złego, moja panno! Przed chwilą zdybałem jałówkę twojej ciotki w moim owsie. Zdarza się to po raz trzeci, zapamiętaj sobie! Znalazłem ją w zeszły wtorek i znowu wczoraj. Byłem i zapowiedziałem ciotce, żeby się to więcej nie powtórzyło. A ona jednak znowu dopuściła do tego! Gdzie jest twoja ciotka, moja panno? Chcę się z nią zobaczyć i powiedzieć, co o tym myślę... powiedzieć jej, co o tym myśli Jakub Harrison!

— Jeśli pan mówi o Maryli Cuthbert, nie jest ona wcale moją ciotką. A poza tym pojechała do Graftonu w odwiedziny ciężko chorej krewnej — rzekła Ania tonem pełnym wzrastającej godności. — Bardzo mi przykro, że moja krowa weszła w pańskie zboże... Jest to bowiem moja krowa, nie panny Cuthbert. Trzy lata temu kupił ją Mateusz od pana Bella jako małe cielątko. Ofiarował mi je na własność.

— Przykro ci, moja panno? To nic nie pomoże. Choć lepiej i zobacz, jaką szkodę wyrządziło to bydle w moim owsie...zdeptało go wszcz i wzdłuż, moja panno!

— Bardzo mi przykro — powtórzyła Ania z naciskiem — ale gdyby pański płot był w lepszym stanie, Dolly nie udałoby się pewno wpaść w owies. To pańska część płotu oddziela nasze pastwisko od pańskiego owsa, a właśnie wczoraj zauważyłam, że nie jest on w wielkim porządku.

— Mój płot jest w zupełnym porządku — wybuchnął pan Harrison, rozjątrzony jeszcze bardziej tym przeniesieniem walki na jego własny teren — ale nawet mury więzienne nie powstrzymałyby tego wcielonego czorta. A tobie ruda wiewiórko, radziłbym, żebyś raczej pilnowała swojej krowy, która niszczy zboże obcych ludzi. Byłoby to odpowiedniejsze zajęcie niż czytanie romansów — dodał, groźnie spoglądając na niewinną okładkę Wergiliusza, leżącego u stóp Ani.

W tej chwili czerwone były nie tylko włosy Ani, które zawsze stanowiły jej najdrażliwszy punkt.

— Wole mieć rude włosy niż tylko parę kosmyków koło uszu — odparła

Strzał trafił; pan Harrison był bowiem bardzo wrażliwy, gdy chodziło o jego łysą czaszkę. Gniew dławił go, więc tylko dzikim wzrokiem przeszywał Anię która opanowawszy się wyzyskiwała przewagę.

— Mogę mieć względy dla pana, panie Harrison, ponieważ mam bujną wyobraźnię. Łatwo mi wyobrazić sobie, jak przykro jest spotkać cudzą krowę w swoim owsie. Dlatego nie żywię do pana urazy za to, co pan powiedział. Przysięgam, że Dolly nigdy już nie wtargnie na pańskie pole. Nigdy, daję panu słowo honoru!

— Dobrze, pamiętaj panna, by się to więcej nie powtórzyło — odburknął pan Harrison trochę łagodniejszym tonem, lecz wyniósł się gniewny, czego dowodem były dochodzące jeszcze z oddali pomruki.

Wstrząśnięta do głębi Ania przebiegła podwórze, ażeby zamknąć niesforną Dolly w zagrodzie.

— Stąd już się nie wydostanie, chyba, że wyrwie płot. Teraz zachowuje się zupełnie spokojnie; ręczę, że ta uczta w owsie nie pójdzie jej na zdrowie. Żałuję, że nie sprzedałam jej panu Shearerowi, gdy mnie nagabywał o to w zeszłym tygodniu, lecz zamierzałam ją sprzedać z resztą bydła... Teraz przekonałam się, że pan Harrison jest rzeczywiście dziwakiem. A już na pewno nie ma w nim nic z pokrewnej duszy.

Gdy Ania wracała do domu, na podwórze zajechała Maryla. Ania pobiegła przygotować herbatę. Przy podwieczorku omawiały sprawę Dolly.

— Ach, oby już było po sprzedaży! — mówiła Maryla. — Jakaż to odpowiedzialność mieć tyle bydła koło domu, gdy pastuchem jest taki Marcin, na

którym w ogóle nie można polegać. Miał już wrócić wczoraj wieczorem z pogrzebu ciotki. Przysiękł solennie, że się nie spóźni, jeżeli go zwolnię na cały dzień. Dalibóg nie wiem ile ma tych ciotek ! Służy u nas od roku, a oto już czwarta umiera. Wdzięczna będę Bogu, gdy się skończą zbiory i pan Barry obejmie gospodarstwo. Dolly musi pozostać zamknięta do chwili powrotu Marcina; wtedy przeprowadzimy ją na tylne pastwisko, gdzie trzeba będzie wyreperować płoty. Ach ten świat jest pełen zgryzot, jak słusznie twierdzi pani Linde. Oto biedna Maria Keith jest umierająca i nie wiem doprawdy, co stanie się z jej dwojgiem dzieci. Ma wprawdzie brata w Kolumbii, do którego pisała, lecz do tej chwili nie otrzymała odpowiedzi.

— Cóż to za dzieci? W jakim wieku?

— Mają siódmy rok... bliźnięta.

— O, ja zawsze przepadałam z bliźniętami, od czasu gdy pani Hammond miała ich tyle! — zawołała Ania żywo. — Czy ładne?

— Boże miły, trudno osądzić, były takie brudne. Wyobraź sobie, Tadzio zagniał ciasto z błota, gdy Tola przybiegła, żeby wezwać go do matki. Mała popłakała się, gdy ten urwis wepchnął ją w największą kałużę, a żeby ją przekonać, iż nie ma powodu do płaczu, sam także wlał w błoto i zaczął się w nim tarzać. Maria twierdzi, że Tola jest bardzo dobrym dzieckiem, za to Tadzio niezwykle swawolnym. Co prawda, nikt go nie wychowywał, stracił ojca, gdy był niemowlęciem, a Maria prawie ciągle choruje. — Żal mi zawsze dzieci, których nie miał kto wychowywać — rzekła Ania poważnie. — Mnie też brak było opiekunów, dopóki nie dostałam się do was. Sadzę, że wuj zajmie się nimi. A jakąż krewną Maryli jest właściwie pani Keith?

— Maria? Żadną. To jej mąż... jej mąż był naszym dalekim kuzynem. Spójrz tylko, pani Linde nadchodzi. Zapewne ciekawa jest nowin o Marii. — Nie opowiadaj jej aby awantury z panem Harrisonem i Dolly — błagała Ania. — Bądź spokojna! — przyrzekła Maryla. Lecz obietnica ta okazała się zbyteczna, gdyż zaledwie pani Linde zdążyła wygodnie zasiąść, odezwiała się:

— Wracając dziś z Carmody do domu widziałam, jak pan Harrison wyganiał waszą Dolly ze swego owsa. Wydawał się wściekły. Czy narobił wiele gwałtu?

Ania wymieniła z Marylą rozbawione spojrzenie. Zaiste, mało co w Avonlea mogło ująć czujnemu oku pani Linde. Właśnie dziś rano Ania zawyrokowała: "Jeżeli wejdziesz do swego pokoju nawet o północy, zaryglujesz drzwi, pospuszczasz rolety i kichniesz, to z pewnością nazajutrz pani Linde zapyta cię o twój katar." — Prawdopodobnie — odpowiedziała Maryla zwracając się do pani Linde.

— Pojechałam do Graftonu, więc tylko Ania była świadkiem jego humoru.

— Wydał mi się bardzo niemiłym jegomościem — oświadczyła Ania z pełnym urazy ruchem rudej główki.

— Nigdy nie wygłosiłaś trafniejszego zdania — rzekła pani Małgorzata uroczyście. — Ja od razu przewidziałam awantury, gdy Robert Bell sprzedał swój folwark obywatelowi nowego Brunszwiku, ot co! Nie wiem do czego dojdzie w Avonlea, jeśli tylu obcych tu osiadzie. Wkrótce człowiek nie będzie się czuł bezpieczny nawet we własnym łóżku!

— A jacyż nowi przybysze sprowadzają się jeszcze do nas? — spytała Maryla.

— Czy nie słyszałyście o tym? Przede wszystkim jakaś rodzina Donellów wynajęła stary dom Piotra Sloane’a. Piotr oddał Donellowi zarząd młyna. Pochodzą oni ze Wschodu i nikt ich nie zna. Następnie rodzina tych nędzarzy Cottonów przenosi się z Białych Piasków tutaj i będzie tylko ciężarem dla gminy. On jest suchotnikiem; gdy zaś nie choruje, kradnie... A jego żona to niedojda, co nie potrafi wziąć się do niczego. Wyobraźcie sobie, że zmywa statki siedząc! Dalej: Grzegorzowa Pye wzięła na wychowanie bratanka swego męża, sierotę Antosia. Ma on uczęszczać do twojej szkoły Aniu, możesz więc oczekiwać niejednej awanturki, ot co! I jeszcze jeden obcy uczeń! Jaś Irving przybywa ze Stanów Zjednoczonych, aby zamieszkać u babki. Pamiętasz jego ojca Maryło, Stefana Irvinga, który zdradził Lawendę Lewis z Graftonu? — Ależ nie zdradził! Posprzeczali się tylko... myślę, że вина była obustronna. — Mniejsza z tym. Bądź co bądź, nie ożenił się z nią i powiadają, że ona od owego czasu strasznie zdziwaczała. Mieszka samotnie w tym kamiennym domku, który nazwała „Chatką Ech”, Stefan zaś wywędrował do Stanów, zawarł spółkę ze swym wujem i się ożenił z Amerykanką. Od tego czasu nie zawitał nigdy do Kanady, tylko matka odwiedzała go parokrotnie. Przed paru latu odumarała mu żona, więc teraz przysyła swego malca na naukę do matki. Chłopiec ma dziesięć lat i wątpię, czy będzie z niego miły uczeń. Nigdy nie można ręczyć za tych jankesów.

Pani Linde spoglądała nieufnie na wszystkich, którzy mieli nieszczęście urodzić się lub wychowywać gdziekolwiek poza granicami Wyspy Księcia Edwarda. Mogli to być porządni ludzie, zapewne, ale słuszniej było mieć się wobec nich na baczności. A już szczególną niechęć żywiła do Amerykanów, gdyż w swoim czasie pewien nieuczciwy chlebowdawca oszukał na dziesięć dolarów jej męża, pracującego w Bostonie. Za to oszustwo pani Małgorzata czyniła odpowiedzialnym całe Stany

Zjednoczone i żadne moce niebieskie ani piekielne nie przekonałyby jej, że nie ma słuszności.

— Trochę obcego żywiołu nie zaszkodzi szkole w Avonlea — zauważyła Maryla sucho — a jeśli ten chłopczyk jest choć odrobinę podobny do swego ojca, musi być bardzo miły. Stefan Irving był najsympatyczniejszym chłopcem, jaki kiedykolwiek wyrósł w naszych stronach, chociaż niektórzy uważali go za dumnego. Pani Irving będzie na pewno bardzo szczęśliwa, że dziecko do niej wróci — żyła tak osamotniona od śmierci męża.

— O, malec może być miły, ale będzie się znacznie różnił od naszych dzieci — rzekła pani Małgorzata, jak gdyby to rozstrzygało sprawę. Nie zmieniała łatwo swych sądów o ludziach, miejscach ani rzeczach. — Cóż to, Aniu, słyszę, że zakładacie jakieś Koło Miłośników Avonlea, mające na celu dokonywanie ulepszeń?

— Rozmawialiśmy o tym na ostatnim posiedzeniu naszego klubu — odpowiedziała Ania rumieniąc się — myśl ta podobała się wszystkim członkom, dziewczętom i chłopcom, a nawet i państwu Allan. W wielu wioskach powstały obecnie takie stowarzyszenia.

— Oj, dobrego ty sobie nawarzysz piwa, dziewczyno! Daj temu lepiej spokój. Ludzie nie lubią żeby ich ulepszać.

— Ależ my nie będziemy ulepszać ludzi! Chodzi o samą wioskę: dużo rzeczy trzeba zmienić, by ją upiększyć. Na przykład, jeśli by nam się udało namówić pana Boultera do zburzenia tej jego ohydnej starej chałupy, czyżby to nie było krokiem naprzód?

— Bezwarunkowo — przyznała pani Małgorzata. — Ta ruina jest od lat cierniem w oku całej osady. Chciałabym tylko zobaczyć i usłyszeć, jak to wy, Miłośnicy, potraficie przekonać Boultera, żeby uczynił coś bezpłatnie dla dobra publicznego, ot co! Przykro mi zniechęcać cię, Aniu, bo może to niezły projekt, chociaż przypuszczam, że wygrzebaliście go z jakiegoś wariackiego amerykańskiego tygodnika. Toć będziesz miała w szkole ręce pełne roboty, więc radzę ci jak przyjaciel, nie zawracaj sobie głowy tymi pomysłami, ot co! Cóż z tego! Wiem, że nie rzucisz raz powziętego zamiaru. Zawsze umiałaś przeprowadzić to, do czego dążyłaś!

Coś w stanowczych liniach ust Ani świadczyło, że pani Linde miała słuszność. Ania całą duszą pragnęła założenia Koła Miłośników Avonlea. Gilbert Blythe, który był nauczycielem w Białych Piaskach, ale soboty i niedziele spędzał w domu, również zapalił się do tego projektu. Reszta zaś młodzieży chętnie zgadzała się na wszystko, co

dawało okazję do spotkań i, co za tym idzie, do wesołej rozrywki. Nikt też oprócz Ani i Gilberta nie zdawał sobie jasno sprawy, jakie ulepszenia będą wprowadzać. Ania zaś i Gilbert omawiali ten temat tak długo, aż powstała w ich wyobraźni idealna Avonlea, bardzo niepodobna do rzeczywistej. Pani Małgorzata wystąpiła jeszcze z jedną nowiną:

— Szkołę w Carmody obejmuje niejaka Priscilla Grant. Czy to nie twoja koleżanka z seminarium, Aniu?

— Tak, naturalnie! Jak to cudowne, że Priscilla będzie w Carmody! — wykrzyknęła Ania. Szare jej oczy zajaśniały jak gwiazdy, a pani Linde po raz nie wiadomo który musiała się zastanowić, czy Ania jest ładna, czy brzydka. Wciąż jeszcze nie znajdowała zadowalającej odpowiedzi na to pytanie.

II. POŚPIESZNA SPRZEDAŻ I SPÓŹNIONY ŻAL.

Nazajutrz popołudniu Ania pojechała po sprawunki do Carmody i zabrała ze sobą Dianę Barry. Oczywiście, Diana była przysięgłym członkiem Koła Miłośników i dziewczęta przez całą drogę nie rozmawiały o niczym innym.

— Pierwsze, co musimy uczynić z chwilą rozpoczęcia naszej działalności, to wymalować nasz Dom Ludowy — rzekła Diana. Przejeżdżały właśnie koło nędznego budynku w dolinie zalesionej gęsto świerkami. — Cóż za przykry widok! Należy z tym skończyć, zanim jeszcze zajmiemy się sprawą domu pana Boultera. Ojciec twierdzi, że nigdy nie uda nam się namówić tego skąpca do zburzenia jego rudery, nie zachce poświęcić na to czasu.

— Może pozwoli, aby chłopcy ją rozebrali, jeśli przyrzekną po zerwaniu desek porąbać je na opał — odpowiedziała Ania niezrażona. — Należy dołożyć wszelkich starań, lecz z początku musimy się zadowalać małymi rezultatami. Trudno oczekiwać, że ulepszymy wszystko od razu; przede wszystkim trzeba zacząć od kształcenia obywatelskich uczuć mieszkańców.

Diana nie zdawała sobie dokładnie sprawy z tego, co właściwie znaczy “kształcenie obywatelskich uczuć”. Ale to brzmiało górnolotnie, więc poczuła się dumna, że należy do stowarzyszenia, które ma przed sobą tak wzniosły cel.

— Wczoraj wieczór myślałam również o czymś, co można by uczynić Aniu. Przypominasz sobie to miejsce, gdzie schodzą się drogi z Białych Piasków, Carmody i Nowych Mostów, całe porośnięte sośniną? Czyż nie lepiej byłoby wyciąć wszystkie te krzaki i pozostawić tylko parę brzózek, co się tam zabłąkały?

— Pyszny pomysł — przytaknęła Ania żywo — a pod brzozaami postawić ławeczkę. Na wiosnę urządzimy tam pośrodku kwietniki i zasadzimy geranium.

— Tak, ale będziemy musiał znaleźć jakiś sposób na starą panią Sloane, żeby przestała paść swoją krowę na rozdrożu, bo to żarłoczne stworzenie robi sobie ucztę z naszych kwiatów. — zaśmiała się Diana — Zaczynam rozumieć, co to znaczy “kształcenie uczuć obywatelskich”. A oto dom Boultera; czy widziałas kiedyś podobną rudere? I w dodatku na samej drodze! Taki stary dom z wybitymi szybami przypomina mi zawsze jakieś martwe stworzenie o pustych oczodołach.

— Stary opuszczony budynek jest to smutny widok — zauważyła marząco Ania. — Zawsze wydaje mi się, że duma on o dawnych czasach i tęskni do minionych

radości. Maryla opowiada, że w tym domu mieszkała ongiś liczna rodzina; wtedy był to śliczny zakątek z przemiłym ogródkiem i girlandami róż pnącymi się po ścianach. Pełno było tam szczebiotu dziecięcego, śmiechu i śpiewu, a teraz panuje tu pustka i tylko wiatr hula po kątach. Smutek i samotność rozgościły się w tych ścianach. Kto wie, może w księżycowe noce powracają oni wszyscy, wracają duszyczki dzieci i kwiatów, i pieśni... Na krótką chwilę stary dom śni, że jest znów młody i radosny.

Diana zaprzeczyła ruchem głowy.

— O, teraz przestała sobie wyobrażać podobne rzeczy, Aniu. Czy pamiętasz, jak matka i Maryla gniewały się, gdyśmy sobie wyobrażały mary w Lesie Duchów? Do dziś dnia nie potrafię o zmierzchu przejść tamtą drogą bez strachu. Jeślibym sobie pomyślała, że w domu Boultera dzieją się jakieś czary, lękałabym się również. Zresztą te dzieci wcale nie umarły, wyrosły i dobrze im się dzieje. Jeden z chłopców został rzeźnikiem. A kwiaty i pieśni nie mają dusz!

Ania stłumiła lekkie westchnienie. Kochała gorąco Dianę. Diana była jej najbliższą przyjaciółką, ale Ania od dawna już wiedziała, że ilekroć udaje się w świat marzeń, musi wędrować samotnie. Do krainy wyobraźni wiodła zaczarowana ścieżka, niedostępna dla jej najbliższych. Podczas bytności dziewcząt w Carmody przeszła krótka, lecz ulewna burza. Toteż powrót poprzez aleje, gdzie na krzakach lśniły krople rosy, a wilgotne zioła wydawały odurzający zapach — był rozkoszny. Lecz właśnie w chwili gdy skręcały na drogę do Cuthbertów, Ania ujrzała coś, co od razu przysłoniło jej piękno krajobrazu. Przed nimi rozciągało się szerokie pole pana Harrisona: szarozielone późne owsy, wilgotne i bujne — a pośrodku, do połowy soczystej zieleni, stała jałówka, spozierając spokojnie ku dziewczętom poprzez otaczające ją kłosa. Ania rzuciła lejce i zerwała się z zaciśniętymi ustami. Nie wróżyło to nic dobrego niesfornemu szkodnikowi. Bez słowa zsunęła się szybko po kołach i przeskoczyła przez płot, zanim Diana zdołała zrozumieć, co się stało.

— Aniu, wracaj! — krzyknęła wreszcie przeraźliwie, odzyskawszy głos. — Zniszczysz sukienkę w tym mokrym zbożu...zniszczysz zupełnie. Nie słucha mnie...A przecież sama nie da rady krowie... Trudno, muszę iść jej pomóc.

Ania pędziła przez zboże jak szalona. Diana zeskoczyła z kabrioletu, uwiązała konia do słupa i zarzuciwszy spódniczkę swej perkalowej sukienki na ramiona, wdrapała się na płot i pogoniła za swą gwałtowną przyjaciółką. Było jej łatwiej biec niż Ani, której ruchy hamowała przemoczona, przylegająca do ciała sukienka, toteż

wkrótce ją dogoniła. Za nimi pozostała smuga stratowanego zboża; panu Harrisonowi z pewnością pękłoby serce na ten widok.

— Aniu, na litość boską, zatrzymaj się — dyszała biedna Diana — tchu mi zabrakło, a ty przemokłaś do suchej nitki.

— Muszę... tę krowę... stąd wydostać... zanim...pan Harrison... ją zobaczy — szepnęła Ania — Wszystko mi jedno...nawet gdybym ... miała się utopić...Aby tylko... ją wygnać!

Ale jałówka nie widziała racji, dla której miałaby być pozbawiona swego wspaniałego pastwiska. Zaledwie zziąbane dziewczęta stanęły obok niej, jednym susem znalazła się w przeciwnym końcu pola.

— Zatrzymaj ją — wrzasnęła Ania — pędź, Diano, pędź!

Diana pędziła; Ania starała się również dotrzymać jej kroku, a szkaradna jałówka gnała przez pole jak opętana — Diana w skrytości ducha uważała ją za opętaną. Upłynęło dobrych dziesięć minut, zanim ją schwytały i wypędziły przez otwór w płocie na ścieżkę należącą już do Maryli. Nie można zaprzeczyć, że usposobienie Ani było w tej chwili dalekie od anielskiego. Na uspokojenie nie wpłynął też widok stojącego na drodze kabrioletu, w którym siedział pan Shearer z synem i obaj uśmiechali się szyderczo.

— Sadzę, że lepiej byś zrobiła, Aniu, sprzedając mi krowę, gdyś ci to proponował w zeszłym tygodniu — zachichotał pan Shearer.

— Uczynię to teraz, jeśli pan się zgodzi — odpowiedziała zapłoniona i potargana właścicielka krowy — może pan ją zabrać w tej chwili.

— Zrobione. Ofiaruję za nią dwadzieścia dolarów, jak dawałem poprzednio. Kuba zabierze ją natychmiast do Carmody i dostawi dziś wieczorem wraz z resztą ładunku na statek. Pan Reed z Brightonu zamówił właśnie u mnie jałówkę.

W pięć minut potem Kuba z jałówką odmaszerowali, Ania zaś z dwudziestoma dolarami w kieszeni wracała na Zielone Wzgórze.

— Co na to powie Maryla? — zapytała Diana.

— O, będzie to jej obojętne. Dolly była moją własnością i nie sadzę, bym na przetargu mogła za nią otrzymać więcej niż dwadzieścia dolarów. Ale pomyśl, kochanie, jeśli pan Harrison zobaczy stratowane zboże, domyśli się, że ona znowu w nim gospodarowała. A przecież dałam słowo honoru, że to się więcej nie powtórzy. Dostałam nauczkę, żeby nie ręczyć za krowy.

Maryla, powróciwszy z odwiedzin u pani Linde, знаła już szczegóły sprzedaży i wysyłki Dolly; pani Linde widziała bowiem ze swego okna część zajścia, a łatwo domyśliła się reszty.

— Może i dobrze, żeśmy się jej pozbyły, chociaż zbyt prędko decydujesz się, Aniu. Nie pojmuję co prawda, jak wydostała się z zagrody, musiała wyłamać kilka desek.

— Nie pomyślałam o tym nawet, mogę tam teraz zajrzeć. Marcin dotąd nie wrócił, zapewne jeszcze kilka ciotek mu umarło.

— Marcin jest taki sam, jak i inni Francuzi — rzekła Maryla pogardliwie — nie można zaufać im ani na chwilę.

Maryla oglądała sprawunki przywiezione przez Anię, gdy w obórcie rozległ się krzyk przerażenia, a po chwili do kuchni wpadła Ania załamując ręce.

— Co się stało Aniu?

— O Marylo, co ja pocznę! Straszne nieszczęście, a wszystko z mojej winy! Kiedyż wreszcie nauczę się zastanawiać, aby nie popełniać ciągle nierozważnych czynów?! Pani Linde zawsze mi przepowiadała, że zrobię coś okropnego, i miała słuszość!

— Aniu, potrafisz doprowadzić człowieka do rozpacz! Cóżes uczyniła?

— Sprzedałam jałówkę pana Harrisona. Tę, którą kupił od pana Bella! Dolly najspokojniej stoi w zagrodzie!

— Śnisz chyba, Aniu?

— Obym śniła! Ale to nie sen, chociaż coś bardzo podobnego do zmyru nocnej. A krowa pana Harrisona znajduje się teraz na statku! Ach, Marylo, myślałam, że skończyły się moje tarapaty, a oto wpadłam w gorsze niż kiedykolwiek w życiu. Co mam uczynić?

— Co uczynić? Nie pozostaje nic innego, jak tylko pójść rozmówić się z panem Harrisonem. Możemy mu dać w zamian naszą krowę, jeżeli nie zechce przyjąć pieniędzy. Jest tyleż warta, co i jego.

— Na pewno będzie rozdrażniony i przykry — jęczała Ania.

— Zapewne. Podobno łatwo wpada w gniew. Jeśli chcesz ja pójde załatwić tę sprawę.

— O, nie! Nie jestem taka podła! — wykrzyknęła Ania. — to przecież moja wina, więc nie pozwolę byś ty przeze mnie cierpiała. Pójde sama natychmiast. Im prędzej, tym lepiej. Boże, co za upokorzenie!

Biedna Ania, wzięwszy kapelusz i dwadzieścia dolarów, kierowała się ku wyjściu, gdy nagle wzrok jej padł na otwarte drzwi spiżarni. Na stole stało upieczone przez nią dzisiejszego ranka ciasto — wyjątkowo apetyczny placek, przybrany orzechami i różowym lukrem. Ania przeznaczyła go na piątkowy wieczór, gdyż miało się u niej odbyć organizacyjne zebranie Koła Miłośników Avonlea. Zrezygnuje z poczęstunku dla młodzieży, aby tylko przebłagać słusznie rozeźlonego pana Harrisona. Ani wydawało się, iż takie ciasto powinno zmiękczyć serce każdego, a cóż dopiero mężczyzny, który musi sam dla siebie gotować. Szybko więc zapakowała placek do pudełka. Zaniesie go jako gałązkę oliwną. “O ile w ogóle pozwoli mi dojść do słowa — myślała ze skrucą, dążąc na przełaj przez pola oświetlone złotym blaskiem sennego wieczora sierpniowego — Teraz wiem już, co czują ludzie prowadzeni na stracenie.”

III. GOSPODARSTWO PANA HARRISONA.

Dom pana Harrisona był to staromodny, niski, wybielony budynek, oparty o ścianę sosnowego lasu. Gospodarz siedział na ocienionym winem ganku, rozparł się wygodnie, zdjął kurtkę i rozkoszował poobiednią fajką. Skoro poznał kto nadchodzi, zerwał się, wpadł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Zachowanie to było wynikiem jego zdumienia, a także wstydu z powodu wczorajszego gwałtownego wystąpienia, ale na widok tego Anię opuściła reszta odwagi. “Jeśli teraz jest taki zły, co będzie, gdy się dowie o mojej sprawie?” — myślała strapiona pukając do drzwi. Ale pan Harrison otworzył, uśmiechnął się z zaambarasowaniem i zaprosił Anię do pokoju tonem łagodnym, choć nieco zdenerwowanym. Odłożył fajkę i naciągnął kurtkę; uprzejmie podał Ani bardzo zakurzone krzesło. Powitanie minęłoby zupełnie spokojnie gdyby nie zdradziecka papuga, która zerknęła złymi, złotymi oczami poprzez pręty klatki. Zaledwie Aniu usiadła, Imbirek wrzasnął:

— Jak mi Bóg miły! Po co ta ruda wiewiórka tu przychodzi?

Trudno powiedzieć, czyja twarz poczerwieniała mocniej: Ani czy pana Harrisona?

— Nie zwracaj na niego uwagi — rzekł pan Harrison rzucając wściekłe spojrzenie na Imbirka — On...on zawsze plecie głupstwa. Podarował mi go mój brat, marynarz, a wiadomo, że marynarze rzadko używają wyszukanych zwrotów. Papugi zaś zwykły wszystko powtarzać.

— Wiem o tym — odrzekła z rezygnacją Ania: biedaczka tłumiała urazę, pomna celu swych odwiedzin. To pewne, że w tych warunkach nie mogła sobie pozwolić na okazanie niezadowolenia panu Harrisonowi. Jeśli się sprzedaje cudzą krowę, bez wiedzy i zezwolenia właściciela, trudno się dąsać, gdy jego papuga powtórzy niepochlebną uwagę o winowajcy. Jednakże “ruda wiewiórka” zdobyła się na odwagę — Przyszedłam przyznać się panu do czegoś — zaczęła rezolutnie — dotyczy...dotyczy to tej jałówki.

— Jak mi Bóg miły — wykrzyknął pan Harrison niespokojnie. — Czyżby znowu weszła w mój owies? Ale mniejsza z tym...mniejsza z tym... To nie ma znaczenia, nic się nie stało. Ja..ja byłem wczoraj zbyt gwałtowny, to prawda. Mniejsza z tym, mniejsza z tym...

— O gdybyż tylko tyle! — westchnęła Ania — Jest stokroć gorzej. Ja...

— Jak mi Bóg miły! Chcesz powiedzieć, że weszła w moją pszenicę?

— Nie... nie... nie w pszenicę. Ale...

— A więc w kapustę! Stratowała mi kapustę, którą hodowałem na wystawę, co?

— I nie w kapustę, proszę pana. Opowiem panu wszystko... po to tu przyszedłam, tylko proszę mi nie przerywać, bo to mnie wyprowadza z równowagi. Proszę pozwolić mi opowiedzieć całe zdarzenie, ale błagam, niech pan się powstrzyma od uwag, dopóki nie skończę...

“Wtedy usłyszę ich dosyć” — zakończyła, co prawda, tylko w myśli.

— Będę już milczał — zapewnił pan Harrison i dotrzymał słowa.

Niestety Imbirek, nie związany żadną obietnicą milczenia, co chwila wykrzykiwał: “ruda wiewiórka”, a Ania coraz bardziej traciła panowanie nad sobą.

— Wczoraj zamknęłam Dolly w zagrodzie. Dziś rano, wracając z Carmody, ujrzałam krowę w pańskim owsie. Z pomocą Diany udało mi się ją wygnać ze szkody, ale nie może pan sobie wyobrazić, z jaką trudnością nam to przyszło. Byłam przemoknięta do nitki, strasznie zmęczona i zirytowana — a oto zjawia się pan Shearer i proponuje kupno tej szkodnicy. Sprzedałam mu ją z miejsca za dwadzieścia dolarów. Postąpiłam niesłusznie, należało poczekać i poradzić się Maryli. Ale jestem bardzo skora do postępowania bez namysłu. Ktokolwiek mnie zna, gotów to panu zaświadczyć. Pan Shearer zabrał krowę i odesłał ją wieczornym transportem.

— Ruda wiewiórka — wyrecytował Imbirek tonem najgłębszej pogardy.

Na te słowa pan Harrison zerwał się i ze spojrzeniem, od którego struchlałby każdy inny ptak, wyniósł klatkę do przyległego pokoju i zamknął drzwi. Imbirek darł się i kłął, uzasadniając w ten sposób słusność krążących o nim sądów, wreszcie przekonawszy się, że nic nie wskóra, popadł w ponure milczenie.

— Przepraszam, opowiadaj dalej — rzekł gospodarz siadając na swym dawnym miejscu. — Mój brat, marynarz, nie nauczył ptaka dobrych manier.

— Wróciłam do domu i po herbacie zajrzałam do obórki. Niech pan sobie wyobrazi — Ania pochyliła się naprzód, splatając ręce dawnym dzieciennym ruchem, a jej wielkie, szare oczy wpatrywały się błagalnie w zakłopotane oblicze pana Harrisona — moja krowa stała spokojnie u żłobu! Sprzedałam panu Shearerowi pańską krowę!

— Jak mi Bóg miły! — wykrzyknął pan Harrison zaskoczony tym nieprzewidzianym zakończeniem. — Cóż za niezwykle zdarzenie!

— O to wcale nie jest niezwykle. Ja zawsze sobie i innym napytam biedy — rzekła Ania smutnie — Znana jestem z tego. Pan pewnie przypuszcza, że powinnam

była wyrosnąć z tej wady — w marcu kończę siedemnaście lat. Okazuje się, że nie... Lękam się, iż krowy pańskiej nie uda mi się odebrać. Ale mam tu te pieniądze. A może pan w zamian wolałby moją Dolly? To bardzo dobra krowa. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo mi jest przykro z powodu tej historii.

— Et, co tam! — rzekł pan Harrison żywo. — Nie mów już o tym, moja panienko. To nic nie znaczy. Wypadki chodzą po ludziach. Ja sam bywam zbyt prędko, zbyt porywczy nawet. Nie umiem się pohamować od mówienia prawdy w oczy. Trzeba mnie brać takim, jakim jestem. Gdyby ta krowa wlaźła w kapustę... Na szczęście to się nie zdarzyło, więc mniejsza z tym. Wezmę waszą krowę, jeśli pragniecie się jej pozbyć.

— O, dziękuję serdecznie! Taka rada jestem, że pan się nie gniewa. Drżałam na myśl o pańskim oburzeniu.

— Przypuszczam, że byłaś przerażoną perspektywą rozmowy ze mną, co? Po tej wczorajszej awanturze! Ale nie pamiętaj mi tego, proszę. Szczere ze mnie chłopisko. Rznię prawdę prosto w oczy, nawet jeśli jest trochę gorzka.

— Zupełnie jak pani Linde — wyrwało się Ani nieopatrznie.

— Kto? Pani Linde? Nie porównuj mnie do tej starej plotkarki — wybuchnął pan Harrison — niech mnie Bóg broni! A co to za pudełko?

— Placek — odpowiedziała Ania słodko. Nieoczekiwana uprzejmość pana Harrisona rozwiała w mgnieniu oka gnębiące ją troski. — Przyniosłam go dla pana. Pomyślałam sobie, że może pan rzadko jada ciasto.

— Zapewne, że nie jadam. A lubię je szalenie, to prawda. Z wierzchu wygląda apetycznie. Myślę, że jest równie dobre w środku.

— O, z pewnością — rzekła Ania i pogodnie zwierzała się dalej — W swoim czasie piekłam marne ciasta, pani Allan może to potwierdzić. Za ten placek jednak ręczę, przygotowałam go dla Koła Miłośników, ale mogę dla nich zrobić inny.

— Dobrze, ale coś ci powiem, moja panienko: będziesz musiała pomóc mi go zjeść... Postawię imbryk na ogniu i napijemy się herbaty, zgoda?

— Pozwoli mi pan przygotować herbatę? — spytała Ania wahajaco.

Pan Harrison chrząknął.

— Widzę, że nie ufasz moim zdolnościom kulinarnym. Niesłusznie. Potrafię zaparzyć taką herbatę, jakiej nigdy nie piłaś. Zresztą spróbuj sama. Szczęściem, zeszłej niedzieli padał deszcz, więc jest dość czystych naczyń.

Ania żywo zerwała się z miejsca i zabrała do roboty. Zanim zaparzyła herbatę, wymyła imbryk w kilku wodach. Zmiotła z komina i nakryła do stołu. Talerze i

filizanki przyniosła ze spiżarni, której nieład przejął ją grozą. Lecz przezornie wstrzymywała się od uwag. Pan Harrison wskazał jej miejsce, gdzie chował chleb i masło oraz słoik konfitur brzoskwiniowych. Ania przystroiła stół kwiatami z ogrodu i starała się nie widzieć plam na obrusie. Wkrótce woda zakipiała, Ania zasiadła naprzeciw pana Harrisona przy jego własnym stole, nalewała mu herbatę i gawędziła swobodnie o swych planach, szkole i przyjaciółach. Ledwo wierzyła własnym oczom i uszom. Pan Harrison przyniósł z powrotem Imbirka, oświadczając, że biedny ptak nie powinien zostawać długo w osamotnieniu. Ania zaś, usposobiona w tej chwili pojednawczo względem wszystkich, poczęstowała go orzechem. Lecz Imbirek, którego uczucia były boleśnie zadrażnione, odrzucał wszelkie propozycje przyjaźni. Zasiadł nadąsany na grzędzie i tak nastroszył pióra, że wyglądał jak złotozielony balon.

— Dlaczego nazywa się Imbirek? — pytała Ania, która lubiła odpowiednio zastosowane imiona, a uważała, że imbir nie harmonizuje z tak wspaniałym upierzeniem

— Mój brat, marynarz, nazwał go tak. Ma to zapewne jakiś związek z jego usposobieniem. A ja, pomimo wszystko, jestem do niego bardzo przywiązany...dziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak bardzo. Ma on swe wady, oczywiście. Dużo już miałem przejść z jego powodu. Ludzie oburzają się, iż klnie tak niemiłosiernie, ale nie sposób go od tego odzwyczaić. Próbowałem...inni też próbowali. Wiele osób żywi uprzedzenie do papug. To niemądre, prawda? Ja je lubię. Imbirek zastępuje mi towarzystwo. Nic nie zmusiłoby mnie do porzucenia go, nic na świecie, moja droga.

Ostatnie zdanie wygłosił tak znacząco, jak gdyby podejrzewał Anię o ukryty zamiar przekonywania go, iż powinien rozstać się z Imbirkiem. Tymczasem Ania zdążyła już polubić zapalczego sąsiada i zanim skończyli podwieczorek, czuli się oboje jak starzy znajomi. Pan Harrison wiedział już o Miłośnikach Avonlea i przyklaskiwał projektowi.

— Dobra myśl. Zaczynajcie tylko. Pola do ulepszeń w tej osadzie nie brak, również w ludziach.

— Cóż znowu! — zaprzeczyła Ania. Wobec siebie samej lub swych starych znajomych przyznałaby, że istnieją w Avonlea pewne niedoskonałości. Ale w ustach obcego przybysza ocena taka brzmiała arcyniemile. — Ja uważam Avonlea za rozkoszną miejscowość, a jej mieszkańców za przemiłych ludzi.

— Co za temperamencik — zauważył pan Harrison, obserwując zapłonione policzki i oburzone spojrzenie swego gościa. — Co prawda, odpowiedni do tych płomiennych włosów. Avonlea jest miłą osadą, w przeciwnym razie nie byłbym się tu sprowadził. Lecz sama chyba przyznasz, że ma pewne braki?

— Dlatego to właśnie jeszcze bardziej ją kocham — twierdziła lojalnie Ania. — Nie cierpię ludzi i miejsc bez wad. Myślę, że prawdziwie doskonała istota byłaby strasznie niezajmująca. Pani White mówi, że nigdy nie spotkała takiej doskonałej istoty, ale dużo słyszy o jednej — o pierwszej żonie swego męża. Czy pan nie sądzi, że strasznie przykro być żoną człowieka, którego pierwsza małżonka była doskonałością?

— O, bardziej przykre jest być mężem tej doskonałości — oświadczył pan Harrison z nagłą a nieoczekiwaną gwałtownością.

Po herbacie Ania zabrała się do mycia naczyń, chociaż pan Harrison zapewniał ją, że ma dosyć czystych na całe tygodnie. Chętnie byłaby też zamiotła podłogę, ale nie widziała nigdzie szczotki, nie chciała zaś o nią pytać z obawy, że brak jej w tym gospodarstwie.

— Wpadnij do mnie od czasu do czasu na pogawędkę — zapraszał pan Harrison przy pożegnaniu — przecież to niedaleko i powinniśmy żyć jak dobrzy sąsiedzi. Wasze Koło interesuje mnie bardzo, będzie z tego dosyć uciechy. Od kogo macie zamiar zacząć?

— Nie myślimy wtrącać się do ludzi. Chcemy wprowadzić ulepszenia w osadzie — rzekła Ania z godnością, gdyż podejrzewała pana Harrisona, że stroi żarty z jej projektów.

Pan Harrison długo spoglądał za smukłą postacią oddalającą się w ostatnich blaskach zachodu.

— Jestem stary, zgorzkniały mruk — wyrzekł głośno — ale w towarzystwie tej miłej dziewczeczki czuję się odmłodzony. Sprawilo mi taką przyjemność, że dobrze by było, gdyby mogła się powtórzyć.

— Ruda wiewiórka! — zaskrzeczał ironicznie Imbirek

Pan Harrison pogroził papudze pięścią.

— Ty niegodziwy ptaku — zamruczał — bardzo żałuję żem ci nie ukręcił łba, gdy mój brat przyniósł cię do domu. Czyż wiecznie masz przysparzać mi kłopotów?

Ania wróciła w wesołym usposobieniu na Zielone Wzgórze i opowiedziała Maryli swe przygody, która zaniepokojona jej długą nieobecnością, wybierała się już w poszukiwanie swej wychowanki.

— Jednakże świat jest piękny, prawda, Marylo? — marzyła głośno Ania — Pani Linde skarżyła się wczoraj głośno, że nie warto żyć. Twierdziła, że ilekroć oczekujemy czegoś przyjemnego, spotyka nas mniejsze lub większe rozczarowanie... oczekiwania zawsze zawodzą. Być może, że to prawda, ale ma to też swoją dobrą stronę, bo i przykrości nie odpowiadają naszym oczekiwaniom i wtedy rzeczy biorą lepszy odwrót, niż przypuszczaliśmy. Idąc dziś wieczór do pana Harrisona, wyobrażałam sobie straszną awanturę, tymczasem był on bardzo uprzejmy, tak że nawet spędziłam u niego parę miłych chwil. Z pewnością zaprzyjaźnimy się, o ile potrafimy być dla siebie wyrozumiali. Wszystko skończyło się jak najlepiej. Mimo to nigdy już nie sprzedam krowy, dopóki się nie upewnię, kto jest jej właścicielem. Ale papug nie lubię stanowczo.

IV. RÓŻNE POGLĄDY NA WYCHOWANIE.

Zapadał wieczór. U płota, w cieniu lekko kołyszących się sosen, gdzie leśna dróżka zwana Ścieżką Brzóz łączy się szerokim gościńcem, nasi starzy znajomi: Ania Shirley, Gilbert Blythe i Janka Andrews zwlekali jeszcze z rozejściem się. Ania odprowadzała Jankę, która spędzała u niej popołudnie. Spotkały właśnie Gilberta i oto cała trójka omawiała rozstrzygający jutrzejszy dzień. Pierwszy września, początek roku szkolnego, Janka obejmowała szkołę w Nowych Mostach, a Gilbert w Białych Piaskach.

— Wy oboje macie pewną przewagę nade mną — westchnęła Ania. — Będziecie uczyli dzieci, które was nie znają, a moi uczniowie pamiętają mnie jako uczennice ich własnej szkoły. Pani Linde lęka się, że nie będą mieli dla mnie tyle szacunku, co dla obcej osoby, chyba, że od pierwszej chwili będę bardzo surowa. Ale ja nie wierzę, by nauczycielka musiała być surowa. O, cóż za odpowiedzialność!

— Ufam, że damy sobie radę — pocieszała ją Janka. Myśl o wywieraniu dobroczynnego wpływu na uczniów nie mąciła jej spokoju. Pragnęła zasłużyć uczciwie na swą pensję, zyskać sympatię Komitetu Szkolnego i ujrzeć swe nazwisko na honorowej liście inspektora. Poza tym żadnych ambicji. — Najważniejsze to utrzymanie subordynacji, a tego nie da się osiągnąć bez pewnej surowości. Jeżeli uczniowie nie zechcą być posłuszni, będę ich karała.

— Jak?

— Sprawię im dobre lanie, oczywiście.

— O, Janko, z pewnością nie uczynisz tego! — zawołała Ania oburzona.

— Z pewnością uczynię, jeśli na to zasłużą — odrzekła Janka kategorycznie.

— Ja nie potrafiłabym nigdy uderzyć dziecka — twierdziła Ania stanowczo — nie uznaję tego systemu absolutnie. Panna Stacy nigdy nie dotknęła żadnego z nas, a porządek był idealny, podczas gdy pan Philips bił nas bezustannie z jak najgorszym rezultatem. Nie, jeśli nie potrafię obejść się bez kija, rzucę szkołę. Istnieją lepsze metody wychowawcze. Postaram się zdobyć miłość uczniów, a wtedy z własnej woli będą spełniali moje życzenia.

— A jeśli nie? — Spytała trzeźwa Janka.

— W żadnym razie nie będę ich biła. Jestem pewna, że to do niczego nie prowadzi. O, droga Janko, nie bij swoich uczniów, jakkolwiek by się sprawowali.

— Jak ty sadzisz, Gilbertcie? — zapytała Janka. — Czy nie uważasz, że niektóre dzieci wymagają różgi od czasu do czasu?

— Czy nie uważasz, że barbarzyństwem jest bicie dziecka, jakiegokolwiek dziecka?! — zawołała żywo Ania rumieniąc się.

— Oby strony mają po trosze słuszość — rzekł Gilbert powoli, wahając się pomiędzy swym własnym przekonaniem a chęcią osiągnięcia ideału Ani. — Nie twierdze, by należało często bić dzieci. Zgadzam się z tobą, Aniu, że w zasadzie istnieją lepsze sposoby wychowywania, lecz kara cielesna może być ostatnią ucieczką nauczyciela. Janka słusznie uważa, że bywają dzieci, na które nie ma innego sposobu, tylko różga. Ja też tylko w ostateczności będę się do niej uciekał. W ten sposób starając się zadowolić obie strony, nie zadowolił żadnej. Janka zaprzeczyła ruchem głowy.

— Będę biła moich uczniów, ilekroć na to zasłużą. Jest to najprostsza i najkrótsza droga dla przekonania ich.

Ania rzuciła Gilbertowi spojrzenie pełne rozczarowania.

— Ja nigdy nie uderzę dziecka — powtórzyła stanowczo. — Jest to zbyt bezczelne i niesłuszne.

— Przypuśćmy, że uczeń okazał się krnąbrny, cóż wtedy? — spytała Janka

— Zatrzymam go po lekcjach i przemówię doń godnie a stanowczo — odpowiedziała Ania. — W każdej istocie tkwią zarodki dobrego, trzeba tylko umieć je odnaleźć. Obowiązkiem nauczyciela jest odszukać je i rozwinąć. Czyż da się to osiągnąć za pomocą różgi? Przypomnijcie sobie tylko, co mawiał nasz profesor w seminarium: „Dodatni wpływ na dziecko jest ważniejszy niż uczenie go abecadła.”

— Ale pamiętaj, że inspektor egzaminuje je właśnie z abecadła i ty dostaniesz złą ocenę, jeśli klasa się zetnie — protestowała Janka.

— Wolę, by uczniowie kochali mnie i po latach wspominali, że byłam im pomocną, niż żeby inspektor umieścił moje nazwisko na liście honorowej — upierała się Ania.

— Czyż nie będziesz karała dzieci, choć na to zasłużą? — pytał Gilbert.

— Sądzę, że będę musiała, chociaż wiem, że prawi mi to dużą przykrość. Można przecież posadzić ucznia w oddzielnej ławce, kazać stanąć w kącie lub dać wiersze do przepisywania.

— Myślę, że nie zechcesz karać dziewczynek sadzając je w jednej ławce z chłopcami? — zażartowała Janka.

Gilbert i Ania spojrzeli na siebie z niewyraźnym uśmiechem. Pamiętali przecież, jak to kiedyś Ania musiała za karę usiąść obok Gilberta. Skutki tego były niewesołe.

— Czas pokaże, kto miał słuszność — zawyrokowała filozoficznie Janka, gdy się rozstawali.

Ania wracała do domu cienistą i pachnącą Ścieżką Brzóz, Aleją Zakochanych, gdzie światła i cienie goniły się pod sosnami, i Doliną Fiołków — szła przez miejsca, którym kiedyś, dawno już temu, obie wraz z Dianą nadały imiona. Szła powoli, rozkoszując się czarem pól, lasów i gwiazdzystego wieczora. Rozmyślała poważnie nad nowymi obowiązkami, które oczekiwały ją od jutra. W podwórzu usłyszała dochodzący z kuchni głos rezonującej pani Małgorzaty. “Pani Linde chce zapewne udzielić mi dobrych rad co do jutra — pomyślała niechętnie. — Nie wejdę do mieszkania. Jej rady są podobne do pieprzu: doskonale w małych ilościach, lecz trudne do przełknięcia w większych. Pobiegnę raczej na pogawędkę do pana Harrisona.” Nie po raz pierwszy od czasu pamiętnej sprawy z Dolly Ania odwiedzała swego sąsiada. Spędziła z nim już niejeden wieczór, gdyż zaprzyjaźnili się serdecznie, pomimo iż Anię często raziła ciętość starego oryginała, z której był tak dumny. Imbirek wciąż jeszcze spoglądał na nią podejrzliwie i nigdy nie omieszkiał przywitać jej sarkastycznym: “ruda wiewiórka”. Pan Harrison starał się odzwyczaić go od tego, więc skoro tylko spostrzegł nadchodzącą Anię, zrywał się, wykrzykując: “Jak mi Bóg miły, oto znów ta śliczna dziewczeczka!” — lub coś równie pochlebnego. Lecz Imbirek przejrzał jego plany i nie dał się wyprowadzić w pole. Ania nigdy się nie dowiedziała, jak wiele pochwał wygłosił pan Harrison poza jej plecami. W oczy za nic w świecie nie powiedziałby jej komplementu.

— Wracasz zapewne z lasu, gdzie przygotowywałaś zapas różeg na jutro? Przywitał Anię wchodzącą na ganek.

— O, nie — odpowiedziała oburzona. Była doskonałym celem drwin, gdyż brała wszystko poważnie. — W mojej szkole nie będzie nigdy różgi, a linii będę używała tylko do wskazywania liter.

— Więc masz zamiar używać rzemienia? Słusznie, moje dziecko. Różga wprawdzie kłuje dotkliwiej, lecz uderzenie rzemieniem dłużej boli, to fakt.

— Nie będę używała nic podobnego, nie mam zamiaru bić moich uczniów.

— Jak mi Bóg miły! — wykrzyknął pan Harrison z nie tajonym zdumieniem. — Jakże więc będziesz do nich przemawiać?

— Będę przemawiała miłością, drogi panie.

— To ci się nie uda, to ci się absolutnie nie uda, Aniu. “Dziateczki Duch Boży różeczką bić każe”. Gdy chodziłem do szkoły, regularnie, każdego dnia, dostawałem baty. Nauczyciel twierdził, że o ile kiedy nie splatałem figła, to tylko dlatego, że nie zdążyłem, bo plan był z pewnością gotów.

— Metody wychowania zmieniły się od pańskich szkolnych czasów.

— Ale nie natura ludzka. Wspomnisz moje słowa: nie opanuje roju młodzieży ten, kto nie trzyma różgi w garści. To niepodobieństwo.

— Ja jednak wypróbuję moją metodę — odrzekła Ania. Miała ona bardzo silną wolę i nie odstępowała łatwo od swych poglądów.

— Ładny z ciebie uparciuch — zawyrokował pan Harrison. — Dobrze, dobrze, zobaczymy. Pewnego dnia, gdy cię doprowadzą do ostateczności — a osoby o twoim kolorze włosów łatwo wpadają w pasję — zapomnisz o wszystkich swoich pięknych zasadach i trzepniesz różgą na prawo i lewo. Jesteś za młoda na nauczycielkę... o wiele za młoda i za dziecinna.

Tego wieczora Ania poszła do łóżka bardzo przygnębiona. Spała marnie, a nazajutrz przy śniadaniu była tak smutna i przybita, że zaniepokojona Maryla zmusiła ją do wypicia gorącego naparu z imbiru. Ania łykała go cierpliwie, bez przekonania o jego skuteczności. Gdybyż to był jakiś czarodziejski napój, który mógłby jej dodać lat i doświadczenia! Bez mrugnięcia wychyliłaby całą kwartę.

— Marylo, a jeśli mi się nie powiedzie?

— Nawet jeśli ci się nie powiedzie pierwszego dnia, nie trać odwagi — uspokajała ją Maryla. — Całe zło tkwi w tym, Aniu, że pragniesz nauczyć dzieci wszystkiego, i wykorzeń ich wszystkie wady od razu. Jest to oczywiście, niemożliwe, lecz w twoim pojęciu będzie dowodem nieudolności.

V. ŚWIEŻO UPIECZONA NAUCZYCIELKA.

Gdy tego ranka Ania przybyła do szkoły — po raz pierwszy w życiu minęła Ścieżkę Brzóz głucha i ślepa na jej uroki. Poprzednia nauczycielka wymagała, aby dzieci zasiadały w ławkach przed jej nadejściem, toteż gdy Ania weszła do klasy, znalazła się od razu przed szeregami dziatwy o wiośnianych twarzyczkach i błyszczących, badawczych oczach. Odłożyła kapelusz i objęła wzrokiem swych uczniów; miała nadzieję, że wygląd jej nie zdradza leku i niepewności, które odczuwała, że może nie zauważą jej drżenia. Poprzedniego wieczora prawie do północy układała mowę. Miała nią przywitać swych wychowanków na pierwszej lekcji. Przerabiała ją i poprawiała starannie, wreszcie nauczyła się jej na pamięć. Była to bardzo piękna mowa; zawierała wiele wzniosłych myśli, dotyczących współpracy i poważnego dążenia do wiedzy. Niestety w tej chwili Ania nie mogła sobie przypomnieć z niej ani słowa. Po pewnym czasie, który jej wydawał się rokiem — w rzeczywistości upłynęło zaledwie dziesięć sekund — rzekła słabym głosem: “Otwórzcie książki, proszę”. — i osunęła się bez tchu na krzesło, korzystając z chwili zamętu wywołanego otwieraniem i zamykaniem pulpitów. Gdy dzieci czytały, Ania starała się zebrać rozproszone myśli i przeglądała czujnym okiem hufiec małych pielgrzymów dążących w Krainę Ludzi Dorosłych. Większość ich była jej dobrze znana— wszak chodzili z nią jednocześnie do szkoły. Wyjątek stanowiła klasa przygotowawcza i dziesięciu nowych przybyszów. W głębi serca Ania interesowała się bardziej tą grupą niż resztą dzieci, których możliwości na ogół знаła. Oczywiście, nowi uczniowie mogli się okazać równie pospolitymi umysłami jak poprzedni, ale mógł się też znaleźć pomiędzy nimi geniusz. Ta myśl przejmowała ją dreszczem. W ławce w rogu siedział sam jeden Antos Pye. Z ciemnej, ponurej twarzyczki spoglądała wrogo para czarnych oczu. Ania natychmiast postanowiła zdobyć sympatię Antosia i pokonać w ten sposób rodzinę Pye’ów. W przeciwnym rogu w ławce z Arcie Sloane’em siedział inny nowy uczeń; z wyglądu urwis, piegowaty, z zadartym noskiem, i wielkimi, niebieskimi rzęsami o jasnych rzęsach — zapewne mały Donellów. A jeśli podobieństwo nie myliło, z Maniusią Bell sąsiadowała jego siostrzyczka. Ania zdumiała się, jak matka może przysłać dziecko do szkoły w podobnym stroju. Dziewczynka miała na sobie wyblakłą, różową jedwabną sukienkę; przybraną suto nicianą koronką, brudne, białe skórkowe pantofelki i jedwabne pończoszki. Jej jasne włosy, poskręcane w

nienaturalne loki, związane były ognistą kokardą, większą niż jej główka. Sądząc z minki, była bardzo z siebie zadowolona.

“Błada, mała istotka o miękkich kędziorkach jedwabistych włosów, spływających na ramiona, to — myślała Ania — Aneczka Bell, której rodzice przenieśli się obecnie z Nowych Mostów do Avonlea”. Trzy dziewczynki, przytulone do siebie w jednej ławce, były o z pewnością Cottonówny. Nie ulegało też wątpliwości, że mała piękność o długich, ciemnych lokach i piwnych oczach, rzucająca znad książki kokieteryjne spojrzenia ku Jankowi Gillis, była to Priscilla Rogerson, której ojciec, ożeniwszy się właśnie po raz drugi, przywiózł dziewczynkę do domu od babki w Graftonie. Nazwiska wysokiej, niezręcznej uczennicy w jednym z dalszych rzędów, której własne ręce i nogi zdawały się zawadzać, Ania nie mogła odgadnąć. Później dowiedziała się, że to Basia Shaw, przybyła na stałe do swojej ciotki w Avonlea. Ania miała się też wkrótce przekonać, że ilekroć Basia dobiegała do tablicy bez potknięcia się o cudze, bądź o własne nogi, koledzy zapisywali ten niezwykle fakt — w celu upamiętnienia go — na ścianie przedsionka. Lecz kiedy oczy Ani napotkały spojrzenie malca z pierwszej ławki, przeszył ją dziwnie miły dreszcz, jak gdyby odnalazła oczekiwanego geniusza.. wiedziała od razu, że to musi być Jaś Irving i że pani Małgorzata raz przynajmniej miała rację przepowiadając, iż będzie się on różnił od dzieci avonlejskich. Co więcej, Ania uznała, iż różni się on od wszystkich dzieci w ogóle i że przez te wielkie szafirowe oczy garnie się ku niej duszyczka subtelna, bliska jej własnej. Pamiętała, że Jaś ma lat dziesięć, ale wyglądał zaledwie na osiem. Nie widziała nigdy równie pięknej dziecięcej twarzyczki: rysy o cudownej delikatności w obramowaniu kasztanowatych kędziorków. Co za prześliczne zarysowane usteczka o pełnych karminowych wargach! Zadumany i poważny wyraz zdawał się świadczyć, że duch jego był o wiele starszy od ciała. Lecz kiedy Ania zwróciła się do malca z łagodnym uśmiechem, wyraz ten pierzchnął, a na jego miejsce zjawił się porozumiewawczy uśmiech, rozjaśniający całą twarzyczkę dziecka. Zdawało się, że jakieś światło rozpała się w nim i promieniuje zeń od stóp do głów; a co najważniejsze, był to odruch mimowolny, odzwierciedlenie pięknej duszyczki. Ta szybka wymiana uśmiechów sprawiła, iż Ania i Jaś zostali przyjaciółmi, nie przemówiwszy jeszcze do siebie. Dzień ten minął Ani jak we śnie; nigdy później nie mogła go sobie przypomnieć. Zdawało jej się, że to nie ona zasiadała na katedrze nauczycielskiej, lecz ktoś inny. Przesłuchiwała uczniów, sprawdzała rachunki, poprawiała przepisywanie — wszystko machinalnie. Dzieci sprawowały się zupełnie

dobrze; zdarzyły się tylko dwa przypadki złamania dyscypliny szkolnej. Maciuś Andrews został schwytany na bawieniu się parą związanych świerszczy, którymi powoził w przejściu pomiędzy ławkami. Ania postawiła go na godzinę do kąta — i — co Maciuś odczuł dużo boleśniej — skonfiskowała świerszcze. Umieściła je w pudełku i w powrotnej drodze ze szkoły wypuściła na wolność w Dolinie Fiołków. Ale Maciuś wierzył święcie wtedy i zawsze potem, że zabrała je do domu i zachowała dla własnej zabawy. Drugim winowajcą był Antos Pye, który wylał resztę wody ze swej butelki za kołnierz Amelce Clay. Ania wzięła Antosia na stronę i wygłosiła doń przemowę o zachowaniu dżentelmena, zapewniając go, że żaden dżentelmen nie wylewa kobiecie wody za kołnierz. Dodała, że życzy sobie, aby wszyscy jej uczniowie byli dżentelmenami. Mała jej mówka była bardzo łagodna i przekonująca. Niestety, winowajca pozostał niewzruszony: wysłuchał jej w milczeniu ze swą zwykłą ponurą miną i, wychodząc, gwizdał gniewnie. Ania westchnęła. Pocieszyła się jednak myślą, że zjednanie sympatii któregoś z Pye'ów nie może być dziełem jednego dnia. Nawet ona sądziła, że nie każdy z Pye'ów zdolny jest obdarzyć kogoś sympatią. Lecz spodziewała się czegoś lepszego po Antosiu, który wydawał jej się dobrym dzieckiem: należało tylko zdobyć jego zaufanie. Po skończonych lekcjach i rozejściu się dzieci Ania znużona osunęła się na krzesło. Głowa ją bolała, czuła się zmęczona i zniechęcona. Właściwie nie miała powodu do zniechęcenia, gdyż nie zdarzyło się nic złego, mimo to ogarnęło ją przeświadczenie, że nigdy nie pokocha zawodu nauczycielskiego. A jakież to straszny los zajmować się czymś, co ci jest niemiłe, dzień w dzień przez — powiedzmy — czterdzieści lat. Ania nie mogła się zdecydować: czy pozwolić sobie na chwilę płaczu zaraz w szkole, czy też odłożyć to do czasu, gdy znajdzie się u siebie, w swoim białym pokoiku. Zanim powzięła jakieś postanowienie, w sieni rozległ się stuk obcasów i szelest jedwabiu. W drzwiach pojawiła się nieznajoma dama, a jej widok przypomniał Ani słowa pana Harrisona — skrytykował on niedawno pewną nadmiernie przystrojoną damę, którą widział w sklepie w Charlottetown: "Wyglądała jak coś pośredniego między obrazkiem z żurnalu a marą nocną". Nowo przybyła miała na sobie niebieską, jedwabną suknię nastroszoną falbankami, bufami i kokardkami wszędzie, gdziekolwiek falbanka, bufa lub kokardka dała się umieścić. Głowę jej zdobił wielki, biały kapelusz o trzech podniszczonych strusich piórach. Różowa gazowa woalka, suto nakrapiana czarnymi punktami, spływała z ronda kapelusza na ramiona, powiewając jak dwa proporce. Przystrojona

była w tyle kosztowności, ile tylko jej drobna osóbką mogła na sobie pomieścić. Wraz z jej przybyciem w pokoju rozszedł się silny zapach perfum.

— Jestem pani Donnell... Henrykowa Donnell?? — oświadczyło zjawisko. — Przyszłam rozmówić się z panią w pewnej sprawie, o której opowiadała mi Klarysa— Almira po powrocie ze szkoły. Było mi nadzwyczajnie przykro.

— I mnie jest bardzo przykro — wyjąkała Ania, na próżno starając się przypomnieć sobie jakiegokolwiek zajście z dziećmi Donnellów.

— Klarysa— Almira powiedziała mi, że pani wymawia nazwisko nasze Donnell. Tymczasem prawidłowe brzmienie jego jest Donnell?? — akcent na drugiej sylabie. Ufam, że pani będzie pamiętała o tym w przyszłości.

— Postaram się — wykrztusiła Ania, z trudnością powstrzymując wybuch śmiechu. — Wiem z doświadczenia, jak przykro jest widzieć swoje nazwisko napisane nieortograficznie, domyślam się więc, że jeszcze przykrzej jest słyszeć je źle wymawiane.

— O, niewątpliwie! Klarysa— Almira powiadomiła mnie też, że pani syna mego nazywa Kubą.

— Takie imię mi podał — tłumaczyła się Ania.

— Powinam się była tego spodziewać — rzekła pani Donnell tonem, z którego można było wnosić, że w tym zepsutym stuleciu nie należy oczekiwać wdzięczności od dzieci. — Ten chłopiec ma tak plebejskie upodobania! Gdy się urodził, chciałam go nazwać Saint-Clair; to brzmi arystokratycznie, nieprawdaż? Ale mój mąż żądał, by się nazywał Jakub — po stryju. Ustąpiłam, bo stryj Jakub był to bogaty stary kawaler. I co pani na to powie? Kiedy nasz Bogu ducha winny malec skończył pięć lat, staremu Jakubowi strzeliło coś do głowy, ożenił się i oto ma trzech własnych chłopców. Słyszała pani kiedy o podobnej niewdzięczności? W chwili gdyśmy otrzymali zaproszenie na ślub — miał jeszcze czelność nas zapraszać! — rzekłam: “U nas skończyło się z Jakubami, dziękuję uprzejmie”. Odtąd nazywam mego syna Saint-Clairem i Saint-Clairem musi pozostać.

Wprawdzie ojciec uparcie nazywa go Jakubem — on sam też ma jakąś szczególną słabość do tego ordynarnego imienia — ale dla mnie jest i pozostanie Saint-Clairem. Pani zechce o tym pamiętać, prawda? Dziękuję. Od razu powiedziałam Klarysie— Almirze, że to tylko nieporozumienie i jedno słówko wystarczy dla usunięcia go. Donnell — akcent na drugiej sylabie, i Saint-Clair — pod żadnym pozorem Jakub. Pani będzie pamiętać? Dziękuję bardzo.

Pani Henrykowa Donnell zaszeleściła sukniami i wyfrunęła; Ania zaś zamknęła szkołę i poszła do domu. U stóp wzgórza na Ścieżce Brzóz zastała Jasia Irvinga. Podał jej wiązanek cudnych leśnych storczyków, ulubionych kwiatów dzieci Avonlea.

— Zebrałem je w lesie — rzekł nieśmiało — i powróciłem, aby je pani ofiarować. Zdaje mi się, że pani musi lubić kwiaty, a ja — dodał, podnosząc na nią swoje wielkie, piękne oczy — kocham panią.

— Dziękuję ci, kochanie — odpowiedziała Ania ujmując pachnące kwiaty.

Zniechęcenie i znużenie opuściły ją, jak gdyby słowa Jasia były czarodziejskim zaklęciem. Pełna różowych nadziei, lekkim krokiem przebiegła resztę drogi, a cudny zapach storczyków towarzyszył jej jak błogosławieństwo.

— No, jakże ci się powiodło? — pytała Maryla niecierpliwie.

— Spytaj mnie o to za miesiąc, wtedy zdołam ci odpowiedzieć. Dzisiaj nie mogę — sama nie wiem. Czuję, że mąci mi się w głowie. Jedyne, czego jestem pewna, to to, że nauczyłam małego Wrighta, iż A jest A. Nigdy dotąd nie wiedział o tym. Czyż to nie cudowna rzecz wprowadzić duszyczkę na drogę, u której końca pozna Szekspira i “Raj utracony”?

Nieco później nadeszła pani Linde, przynosząc pocieszające wieści. Ta pocziwa niewiasta wyczekiwała u swej furtki dzieci powracających ze szkoły, ażeby się dowiedzieć, jak im się podobała nowa nauczycielka.

— Wszystkie były tobą zachwycone, Aniu, z wyjątkiem Antosia Pye. Nie mogę zataić, że był on innego zdania. Wyraźnie powiedział: “To nic dobrego, taka jak wszystkie baby nauczycielki”. Ta latorośl Pye’ów przeznaczona jest na twoje utrapienie. Ale nie przejmuj się tym.

— Nie przejmuję się, bo jestem pewna, że potrafię zyskać sympatię tego urwisa. Łagodnością i cierpliwością na pewno zdobędę jego serduszko.

— Za żadnego Pye’a nie można ręczyć — zauważyła pani Małgorzata niedowierzająco. — Co się tyczy tej zwariowanej Donnell, to ja nie będę jej nazywała Donnell, mogę cię zapewnić. Jej nazwisko jest i zawsze było Donnell. To istna wariatka, ot co! Ma ona mopsa, którego przezwała “Księżniczką”. Sadzają go przy stole z całą rodziną i dają jeść na porcelanowych talerzach. Na jej miejscu bałabym się gniewu bożego. Tomasz powiada, że sam Donnell to rozumny, pracowity człowiek. Nie okazał jednak wiele sprytu, żeniąc się z taką kobietą, ot co!

VI. ROZMAITE TYPY SĄSIADÓW.

Wrześniowy dzień na Wyspie Księcia Edwarda. Od morza poprzez piaszczyste diuny tchnie świeży wietrzyk. Długa, czerwona droga wije się przez pola i gaje, okrąża gęstwinę sosen, opasuje szkółkę młodziutkich klonów o podszyciu z ogromnych wachlarzy paproci. Zbiega w kotlinkę, gdzie leśny strumyk wynurza się z lasu, aby za chwilę skryć się w nim

ponownie; kąpie się w promieniach słońca między żółtymi wstęgami dzikiej mimozy i szafirowymi dzwonkami. Powietrze drży od ćwierkania koników polnych, tych radosnych mieszkańców wzgórz w porze lata. Wypasiony kucyk drobnym truchtem biegnie drogą, ciągnąc kabriolet. W kabrioecie siedzą dwie dziewczyny, od których bije łuna młodszej bezcennej radości życia.

— O, ten dzień został nam zesłany z raj, czyż nie tak, Diano? — Ania westchnęła upojona szczęściem. — Co za czarodziejskie powietrze! Spójrz na tę purpurę tam w dolinie. Czy czujesz boski zapach żywicy? Płynie on z tamtej słonecznej polanki, gdzie pan Wright wyciął sosny. Błogosławieństwem jest żyć takiego dnia, a niebiańską rozkoszą upajać się zapachem żywicy. Ściętych sosen nie ma chyba w niebie, Diano? Jednakże niebo wydałoby mi się niedoskonałe, gdyby mnie tam nie ogarnął powiew żywiczny. A może istnieje w niebie ten zapach, mimo że śmierci tam nie ma?... O, zapewne tak jest, bo ten cudowny aromat musi być duszą sosen, a przecież niebo — to siedlisko wszystkich dusz.

— Drzewa nie mają dusz — zaprzeczyła trzeźwa Diana — ale mimo to zapach żywicy jest rozkoszny. Mam zamiar uszyć poduszkę i napełnić ją sosnowymi igłami. Ty też mogłabyś to zrobić, Aniu.

— Owszem, będę jej używała do drzemki; na niej niewątpliwie śnić będę, że jestem rusalką lub nimfą leśną. W tej chwili jednak czuję się zupełnie szczęśliwa, że jestem Anią Shirley, nauczycielką w Avonlea, i jadę dzisiejszego cudownego dnia tą piękną drogą.

— W istocie, dzień jest cudowny, ale zadanie nasze bynajmniej nie jest cudowne. Po jakie лихо podjęłaś się kwestować na tej ulicy, Aniu? Prawie wszyscy skąpcy avonlejscy mieszkają wzdłuż tej drogi i z pewnością będą nas przyjmowali, jakbyśmy żebrały dla siebie. To najgorsza ulica ze wszystkich.

— Dlatego właśnie ją wybrałam. Niewątpliwie Gilbert i Alfred kwestowaliby na niej, gdybyśmy tego zażądały. Ale widzisz, Diano, czuję się odpowiedzialną za K.M.A., gdyż poddałam myśl założenia go; uważam więc, że ja powinnam podejmować się najmniej przyjemnych zadań. Przykro mi ze względu na ciebie, ale zwalniam cię od zabierania głosu w domach skner. Ja będę mówiła... Pani Linde powiedziałyby, że to moja specjalność. Nie wie ona jeszcze, czy pochwalać nasze przedsięwzięcie, czy też nie. Przyklaskuje nam, kiedy sobie przypomni, że państwo Allan nas popierają, ale fakt, że pomysł Wiejskich Kół zrodził się w Stanach Zjednoczonych, przemawia, według niej, przeciwko nam. Pozostaje więc niezdecydowana i dopiero powodzenie usprawiedliwi nas w jej oczach. Priscilla przygotowuje referat na następne posiedzenie naszego Koła. Nie wątpię, że wypadnie on świetnie, bo jej ciotka jest utalentowaną autorką, a zdolności te są na pewno dziedziczne. Nigdy nie zapomnę dreszczu, jaki mnie przejął, gdy się dowiedziałam, że Karolina Morgan jest ciotką Priscilli. Wydało mi się wprost cudowne, że dziewczynka, której ciotka pisuje tak piękne utwory, jest moją przyjaciółką.

— Gdzie mieszka pani Morgan?

— W Toronto. Podobno ma ona latem odwiedzić naszą wyspę. Priscilla postara się przedstawić jej nasze Koło. Wydaje się to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe — marzę jednak o tym zawsze przed zaśnięciem.

Zorganizowanie Koła Miłośników Avonlea stało się faktem dokonanym. Prezesem został Gilbert Blythe, wiceprezesem Alfred Wright, sekretarką Ania Shirley, a skarbniczką Diana Barry. "Miłośnicy" — jak ich ogólnie nazywano — mieli się zbierać raz na dwa tygodnie w mieszkaniu jednego z członków. Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, iż nie uda im się wprowadzić wielu ulepszeń o tak późnej porze roku. Lecz mieli zamiar naszkicować plan letniej kampanii, tworzyć w dalszym ciągu projekty zmian i omawiać je wspólnie, czytać artykuły, pisać referaty i — jak wyrażała się Ania — w ogóle kształcić uczucia obywatelskie mieszkańców Avonlea. Rozlegały się głosy nagany i, co Miłośnicy odczuwali dużo boleśniej, drwiny z ich działalności. Opowiadano, że Eligiusz Wright miał się wyrazić, iż odpowiedniejsza nazwa dla ich organizacji byłaby: "Klub Flirciarzy". Pani Sloane głosiła, iż doszła jej uszu wiadomość, jakoby Miłośnicy mieli zamiar zaorać wszystkie gościńce i wszędzie sadzić geranium. Pan Boulter ostrzegał swych sąsiadów, iż młodzi zapaleńcy będą żądali rozbiórki wszystkich domów i zbudowania nowych według planów zatwierdzonych przez ich Koło. Jakub Spencer dał im znać, że życzy sobie, ażeby

zechcieli obniżyć trochę pagórek, na którym wznosi się kościół. Emil Wright powiedział Ani, iż pragnie, ażeby Miłośnicy postarali się wpłynąć na starego Józefa Sloane'a, by utrzymywał w większym porządku swoje rozwichrzone bokobrody. Wawrzyniec Bell zapowiedział, że wybieli swe stodoły, jeśli koniecznie tego będą żądali, ale w żadnym razie nie powiesi tiulowych firanek w oknach obory. Mateusz Spencer zagadnął Karola Sloane'a, członka K.M.A., dostawiającego mleko do fabryki serów w Carmody, czy prawdą jest, że od przyszłego lata wszystkie bańki do mleka będą musiały być ręcznie malowane i nakryte haftowanymi serwetkami! Mimo to — a może właśnie dlatego... dziwna bowiem jest natura ludzka — K.M.A. zabrało się ochoczo do dzieła. Na drugim z rzędu posiedzeniu w bawialni państwa Barry Oliver Sloane podał projekt zebrania składek na wymalowanie i pokrycie dachówką Domu Ludowego. Julia Beli podtrzymała go z niemiłym uczuciem, że zabieranie głosu w tej sprawie przynosi ujmę jej dystynkcji. Gilbert postawił formalny wniosek, który przeszedł jednogłośnie, a Ania uroczyście wpisała go do protokołu. Następnym punktem było wyłonienie komitetu. Tutaj Berta Pye, nie chcąc dopuścić, by Julia

Bell zbierała wszystkie wawrzyny, kategorycznie zażądała wybrania Janki Andrews na prezesa wspomnianego komitetu. Po przejściu wniosku Janka odwzajemniła się Bercie, powołując ją do współpracy w komitecie wraz z Anią, Gilbertem, Dianą i Alfredem. Szóstka ta podzieliła między siebie czynności w sposób następujący: Ania i Diana podjęły się kwestowania na drodze do Nowych Mostów, Gilbert i Alfred — na drodze do Białych Piasków, a Janka i Berta — do Carmody.

— To dlatego — wyjaśnił Gilbert Ani odprowadzając ją do domu przez Las Duchów — że wszyscy Pye'owie mieszkają wzdłuż tej ulicy, a można liczyć na składkę od nich tylko w tym wypadku, jeśli się zwróci po nią ktoś z ich rodziny.

Już następnej soboty Ania i Diana zabrały się do kwestowania. Zaczęły od końca drogi, pukając najpierw do panien Andrews.

— Jeżeli zastaniemy Katarzynę samą, pewno coś dostaniemy — rzekła Diana — ale jeśli i Eliza będzie w domu, odejdziemy z niczym.

Eliza była w domu i wydała się dziewczętom jeszcze bardziej ponura niż kiedykolwiek. Należała do ludzi, których obecność wywołuje przeświadczenie, iż życie jest doliną łez, a uśmiech — nie mówiąc już o wesołości — godnym nagany trwonieniem energii duchowej. Panny Andrews były pannami od jakichś pięćdziesięciu lat i prawdopodobnie miały nimi pozostać do końca swej ziemskiej pielgrzymki. Mówiono, że Katarzyna nie straciła jeszcze nadziei wyjścia za mąż, lecz

Eliza, urodzona pesymistka, nigdy jej nie miała. Mieszkały w brązowym domku na małej, słonecznej polance wśród bukowego lasu. Eliza zwykła skarżyć się, że latem panuje tam straszny upał, Katarzyna zaś mawiała, że mieszkanie zimą jest przemile i ciepłe. Eliza właśnie łąła bieliznę, nie dlatego, że było to potrzebne, lecz na znak protestu przeciw kokieteryjnej koronce, którą Katarzyna robiła szydełkiem. Gdy dziewczęta wyjaśniły przyczynę swych odwiedzin, Eliza przypatrywała im się ze zmarszczoną brwią, a Katarzyna z uśmiechem. Ilekroć Katarzyna poczuła na sobie spojrzenie siostry, tłumiała uśmiech z miną winowajczyni, ale za chwilę znowu rozjaśniał jej twarz.

— Gdybym miała dość pieniędzy, by móc je roztrwonić — rzekła Eliza zgryźliwie — spaliłabym je raczej, chcąc zabawić się widokiem pożerających je płomieni. Na wasze cele nie dałabym ani centa. To żadne dobrodziejstwo dla naszej osady. Dom Ludowy jest jedynie miejscem spotkań i flirtów młodzieży, która o tej porze dawno już powinna leżeć w łóżkach.

— Ach, Elizo, młodzież musi mieć jakąś rozrywkę — zaprotestowała Katarzyna.

— Nie widzę tej konieczności. My nie wałęsałyśmy się po Domach Ludowych, gdy byłyśmy młode. Świat staje się co dzień gorszy.

— Ja sędzę, że co dzień lepszy — zaprzeczyła Katarzyna nieśmiało.

— Ty sądzisz! — głos Elizy wyrażał najgłębszą pogardę. — Twoje zdanie niewiele znaczy. Fakt pozostaje faktem.

— Jednak ja wolę patrzeć na jasne strony życia, Elizo.

— Życie nie posiada jasnych stron.

— Ależ niewątpliwie posiada! — wykrzyknęła Ania, nie mogąc dłużej słuchać w milczeniu podobnych herezji. — Świat jest naprawdę uroczy, proszę pani, i wiele na nim dobra i piękna.

— Gdybyś żyła tyle lat, co ja, nie miałabyś o nim tak wysokiego pojęcia — zauważyła Eliza cierpko — i nie zabierałabyś się z takim zapałem do wprowadzania ulepszeń. Jak się ma twoja matka, Diano? Jakże zmieniła się w ostatnich czasach, jak bardzo postarzała! A ile jeszcze czasu pozostaje Maryli do zupełnej utraty wzroku, Aniu?

— Doktor sądzi, że nie nastąpi pogorszenie, o ile będzie oszczędzała oczy — wyjąkała Ania.

Eliza potrząsnęła głową.

— Lekarze zwykli łudzić pacjentów nadzieją. Na jej miejscu nie wierzyłabym takim bredniom. Trzeba być zawsze przygotowanym na najgorsze.

— A czy nie powinniśmy też być przygotowani na najlepsze? — broniła się Ania.
— Równie jest prawdopodobne, że stanie się coś dobrego, jak coś złego.

— Moje doświadczenie przeczy temu — odparła Eliza — a mogę przeciwstawić moich pięćdziesiąt siedem lat twoim szesnastu... Odchodzicie już? Może wasze stowarzyszenie potrafi uchronić Avonlea od staczania się w przepaść, ale niewielkie mam pod tym względem nadzieje.

Ania i Diana z uczuciem ulgi opuściły progi tego domu i odjechały z szybkością, na jaką tylko ich wypasiony kucyk mógł się zdobyć. Na zakręcie, w głębi bukowego lasu, ujrzały śpieszącą ku nim przysadzistą postać, która gwałtownie wymachiwała rękami. Była to panna Katarzyna tak bardzo zdyszana, iż prawie nie mogła głosu wydobyć.

— Oto moja składka na wasz cel — wyszeptwała wciskając Ani do ręki kilka monet. — Rada bym ofiarować wam całego dolara, ale nie śmiem wziąć więcej pieniędzy z moich dochodów za nabiał, gdyż Eliza gotowa by to wykryć. Wasze stowarzyszenie bardzo mnie interesuje i wierzę, że zdziałacie dużo dobrego. Jestem optymistką, muszę nią być obcując bezustannie z Elizą... Śpieszę do domu, aby nie zauważyła mej nieobecności. Sądzi, że karmię kury. Życzę wam powodzenia w kweście, a nie przejmujcie się tym, co Eliza mówi. Świat idzie ku lepszemu, z największą pewnością.

Następnie przysła kolej na dom Daniela Blaire’a.

— Tutaj wszystko zależy od tego, czy będzie pani Blaire — zapowiedziała Diana.
— Ona nie da ani centa, bo jest bardzo oszczędna — jeśli się mam wyrazić oględnie — o nim zaś ogólnie wiadomo, że nie odważy się pójść do golarza bez jej pozwolenia. Pani Blaire twierdzi, że musi być najpierw sprawiedliwa, zanim zacznie być szczodra, lecz pani Linde dodaje, że jej “sprawiedliwość” trwa tak długo, iż “szczodrość” zapewne nigdy nie nastąpi.

Wieczorem Ania opowiadała Maryli wrażenia z tych odwiedzin.

— Uwiązawszy konia, zapukałyśmy do drzwi kuchennych. Nikt się nie zjawił, lecz z otwartej spiżarni dochodził nas czyjś głos. Nie mogłyśmy rozróżnić wyrazów, ale Diana powiada, że z samego tonu wyczuwało się, iż były to przekleństwa. Nie spodziewałam się tego po panu Blaire, bo zwykle jest taki spokojny i łagodny. Tym razem jednak musiał być doprowadzony do ostateczności. Gdy stanął w drzwiach,

miał biedak twarz zalaną potem i czerwoną jak burak, a ubrany był w jeden z wielkich perkalowych fartuchów swej żony.

“Nie mogę zdjąć z siebie tego okropieństwa! Tasiemki są mocno zasupłane i nie umiem ich odplątać — rzekł — więc wybaczcie mi ten strój, moje panie”.

Prosiłyśmy, by nie zwracał na to uwagi, i weszłyśmy do pokoju. Pan Blaire zasiadł z nami przy stole, odrzucił fartuch do tyłu, lecz wyglądał tak zgnębiony zawstydzony, że było mi go serdecznie żal. Diana odezwała się, że zapewne odwiedziny nasze wypadły nie w porę. “O, wcale nie” — odrzekł siłąc się na uśmiech... Wiesz przecież, Marylo, jaki zwykle jest uprzejmy... — “Jestem trochę zajęty, muszę upiec ciasto. Żona moja dostała dzisiaj depeszę od siostry z Montrealu oznajmiającą jej przyjazd. Naturalnie pojechała po nią na dworzec, a mnie poleciła przygotować placek do herbaty. Zostawiła mi przepis i dała ustne wskazówki, ale zapomniałem przynajmniej połowę. Przepis powiada: “zapachów do smaku”. Co to ma znaczyć? Ile to ma być? A jeśli mój smak różni się od smaku innych ludzi? Czy czubata łyżeczka wanilii wystarczy do małego biszkopta?” Strasznie mi żal było tego nieboraka, bo cóż to za zajęcie dla mężczyzny?! Słyszałam nieraz o mężach “pod pantoflem” i oto miałam jednego z nich przed sobą. Cisnęły mi się na usta wyrazy: “Panie Blaire, jeśli da nam pan składkę na Dom Ludowy, wyrobię ciasto”. Zorientowałam się jednak od razu, że nie po sąsiedzku byłoby wyzyskiwać kłopoty bliźniego, więc nie stawiając żadnych warunków ofiarowałam się go wyręczyć. Niemal podskoczył z radości. Powiedział, że za kawalerskich czasów sam wypiekał chleb dla siebie, ale wątpi, czy podoła ciastu, a nie chciałby sprawić żonie zawodu. Przyniósł mi fartuch; Diana biła pianę, a ja rozcierałam żółtka. Pan Blaire kręcił się jak mucha w ukropie, znosząc nam wszystkie produkty. Zapomniał przy tym o fartuchu, który powiewał za nim jak wielkie skrzydło. Diana w ukryciu dusiła się ze śmiechu. Zapewnił, że sam upiecze ciasto, gdyż nieraz to robił. Przy pożegnaniu poprosił o listę składek i zapisał się na cztery dolary. Zostałyśmy więc wynagrodzone, ale gdyby nawet nie dał ani centa, czułabym się zadowolona, że spełniłam prawdziwie chrześcijański uczynek.

Następnym miejscem postoju był dom Teodora White’a. Ania i Diana nie były tam dotąd nigdy, a panią Teodorową, która nie słynęła z gościnności, znały tylko z widzenia. Czy należało wejść frontem, czy kuchnią? Gdy naradzały się szeptem, w drzwiach frontowych ukazała się pani domu z paczką gazet w ręce. Rozpościerała je uważnie jedną za drugą na ganku i na schodkach, a następnie wzdłuż dróżki, aż do samych stóp osłupiałych gości.

— Zechciejcie, proszę, wytrzeć trzewiki o murawę i iść po papierze — prosiła z niepokojem w głosie. — Tylko co zrobiłam gruntowne porządki i lękam się zabłocenia podłóg. Dróżka jest bardzo błotnista po wczorajszym deszczu.

— Nie waż się roześmiać — szepnęła Ania maszerując po rozłożonych gazetach. — I błagam cię, Diano, nie patrz na mnie, cokolwiek ona będzie mówiła, bo nie zdołam zachować powagi.

Gazety rozciągały się również wzdłuż przedsionka i w idealnie czystej bawialni. Dziewczęta usiadły na brzeżku najbliższych krzeseł i wyłożyły cel swych odwiedzin. Pani White słuchała uprzejmie. Przerwała im dwukrotnie: raz, by wygnać natrętą muchę, a drugi raz, by podnieść źdźbło trawy, które spadło z sukni Ani na dywan. Ania poczuła się strasznie winna wobec gospodyni. Ta jednakże zapisała się na dwa dolary i wpłaciła je natychmiast, “aby uniknąć powtórnych odwiedzin” — jak zauważyła Diana wychodząc. Nie zdążyły jeszcze odwiązać konia, a pani White pozbierała już gazety, gdy zaś wyjeżdżały z podwórza, widziały, jak zapalczywie wymachiwała w hallu szczotką do zamywania.

— Pani White ma opinię najlepszej z gospodyń i okazuje się, że zasłużoną — mówiła Diana wybuchając śmiechem, gdy się znalazły na drodze.

— Cieszę się bardzo, że nie ma dzieci — wygłosiła Ania uroczyście. — Cóż to byłoby za nieszczęście wychowywać się w takim domu.

U Spencerów pani domu sprawiła dziewczętom dużą przykrość, prawiąc złośliwości o wszystkich niemal mieszkańcach Avonlea. Pan Tomasz Boulter odmówił kategorycznie, bo kiedy przed dwudziestu laty budowano Dom Ludowy, nie usłuchano jego rady w sprawie wyboru miejsca. Pani Beli — uosobienie zdrowia — po półgodzinnym wyliczaniu wszystkich swych bólów i dolegliwości, smętnie ofiarowała pięćdziesiąt centów, bo w przyszłym roku nie będzie jej już tutaj, o, nie — będzie spoczywała w grobie. Najgorszego przyjęcia doznały wszakże u Szymona Fletchera. Wjeżdżając w podwórze dostrzegły dwie pary oczu śledzące je z okien sieni; lecz mimo że stukwały wytrwale i czekały cierpliwie, nikt się nie zjawił. Oburzone dziewczęta opuściły niegościnne progi i nawet optymistka Ania przyznała, że jest zniechęcona. Ale karta odwróciła się znowu. Odwiedziły kilka siedzib Sloane’ów, gdzie datki płynęły hojnie, i odtąd powodzenie towarzyszyło im stale z jednym tylko wyjątkiem. Ostatnie odwiedziny wypadły u Roberta Dicksona. Pomimo że dziewczęta były już blisko domu, musiały pozostać tu na podwieczorku, ażeby nie dotknąć odmową bardzo obraźliwej pani Dickson. Były tam jeszcze, gdy nadeszła Jakubowa White.

— Wracam właśnie od Wawrzyńców — zawiadomiła — on jest w tej chwili najszczęśliwszym człowiekiem w Avonlea. Bo wyobraźcie sobie, żona obdarzyła go synem, co po siedmiu córkach jest niespodzianką nie lada.

Ania nadstawiła uszu, a gdy odjeżdżały, rzekła:

— Jedziemy natychmiast do Wawrzyńca White'a.

— Ależ on mieszka na gościńcu do Białych Piasków; jest to nam zupełnie z drogi — zaprotestowała Diana — zresztą Gilbert i Alfred kwestują w tamtych stronach.

— Oni nie zgłoszą się tam przed sobotą, a to już będzie za późno — wyjaśniła Ania. — Pierwsze upojenie radością minie: pan White jest bardzo skąpy, ale w tej chwili da na każdy cel. Nie wolno nam zaniedbać takiej wyjątkowej sposobności.

Wynik odwiedzin potwierdził przewidywania Ani. Pan White przywitał je na podwórzu promienny jak wiosenne słońce. Z zapalem przychylił się do prośby o składkę.

— Naturalnie, naturalnie. Zapisuję dolara więcej niż najhojniejszy ofiarodawca.

— To znaczy pięć dolarów... pan Blaire bowiem dał cztery — powiedziała w osłupieniu Ania.

Ale pan White nie wycofał się.

— A więc pięć. Oto pieniądze. Lecz teraz pozwólcie do mieszkania: jest tam coś godnego zobaczenia, coś, co dotychczas bardzo mało osób oglądało. Wejdźcie, proszę, i wypowiedzcie wasze zdanie.

— Cóż powiemy, jeżeli bobas jest brzydki? — szepnęła Diana niespokojnie, gdy podążały za rozradowanym ojcem.

— O, zawsze da się coś miłego powiedzieć o takim niemowlęciu — zapewniała Ania.

Na szczęście bobas był ładny i pan White czuł, że warto było dać pięć dolarów, by usłyszeć słowa szczerego zachwyty nad pulchnym, małym przybyszem. Zdarzyło się to po raz pierwszy i ostatni, że Wawrzyniec White dał składkę na jakiś cel.

Pomimo zmęczenia Ania podjęła tego wieczora jeszcze jeden wysiłek dla dobra ogółu. Podążyła do pana Harrisona, który, jak zwykle, z fajką w zębach siedział na ganku w towarzystwie Imbirka. Właściwie mieszkał on już przy drodze do Carmody, lecz Janka i Berta, znające go tylko z krążących o nim plotek, uprosiły Anię, by je zastąpiła.

Pan Harrison z miejsca odmówił — na nic się nie zdały wszelkie podstępny.

— Zdawało mi się, że pan pochwala nasze stowarzyszenie — żaliła się Ania.

— Pochwalam, pochwalam. Ale moja pochwała nie sięga kieszeni.

— Jeszcze parę takich doświadczeń jak w dniu dzisiejszym, a stanę się pesymistką nie mniejszą niż Eliza Andrews — zwierzała się Ania swemu odbiciu, czesząc się na noc przed lustrem w pokoiku na facjatce.

VII. POCZUCIE OBOWIĄZKU

Przy stole, założonym książkami i zeszytami, siedziała Ania. Był to łagodny wieczór wrześnieowy. Drobnopisane arkusze, nad którymi pochylała głowę, nie miały jednak nic wspólnego ani z jej studiami, ani z ćwiczeniami jej uczniów.

— Cóż się stało? — zapytał Gilbert, który stanawszy niespodzianie w drzwiach kuchni, usłyszał westchnienie dziewczęcia.

Ania zarumieniła się i wsunęła swą pracę pod zeszyty szkolne.

— Nic strasznego. Próbowalam właśnie spisać niektóre z moich myśli, jak mi to profesor Hamilton radził — nie mogę jednak dojść z tym do ładu. Z chwilą gdy je ujrzę spisane czarnym atramentem na białym papierze, wydają mi się sztywne i niedorzeczne. Marzenia są jak cienie, nie można uwięzić tych kapryśnych płasających tworów. Może jednak pewnego dnia uda mi się zgłębić ich tajemnice, jeśli się będę o to nieustannie starać. Niestety, mam bardzo mało wolnego czasu, Gilbertcie. Gdy skończę poprawianie ćwiczeń i zadań szkolnych, jestem zazwyczaj zbyt zmęczona, by móc zasiąść do pracy nad sobą.

— Świetnie ci się wiedzie w szkole. Wszystkie dzieci cię uwielbiają — rzekł Gilbert siadając na kamiennych schodkach.

— Nie, nie wszystkie. Antoś Pye nie lubi mnie i nie polubi, a co gorsza, nie szanuje mnie. Po prostu pogardza mną i muszę ci się przyznać, że mnie to strasznie boli. Nie jest bynajmniej taki zły — nie gorszy od wielu innych, tylko strasznie krnąbrny.

Rzadko bywa nieposłuszny, ale gdy słucha moich poleceń, ma pogardliwą minę, jakby uważał, że nie warto się o to spierać, w przeciwnym razie byłby gotów do walki. Ma to zły wpływ na resztę dzieci. Już na wszelkie sposoby starałam się go sobie zjednać, lecz zaczynam się lękać, że nigdy mi się to nie uda. A pragnę tego bardzo, bo to sprytny, choć uparty chłopak i lubiłabym go, gdyby mi na to pozwolił.

— Na jego zachowanie wpływają na pewno rozmowy zasłyszane w domu.

— Niezupełnie. Antoś ma swoje własne poglądy na różne sprawy. Uczył się zawsze u nauczycieli i twierdzi, że nauczycielki to nic dobrego. Mniejsza z tym, przekonamy się, czego cierpliwość i łagodność dokażą. Lubię pokonywać trudności, a nauczanie jest bardzo zajmującą rzeczą. Jaś Irving wynagradza mi wszystkie przykre

chwile. Jest to słodkie, kochane dziecko, przy tym nadzwyczaj zdolny. Wierzę, że imię jego będzie kiedyś sławne — zakończyła tonem głębokiego przeświadczenia.

— Ja także lubię uczyć — rzekł Gilbert. — Przede wszystkim korzystam przy tym bardzo dużo. W ciągu tych paru tygodni, odkąd kieruję szkołą w Białych Piaskach, nauczyłem się więcej niż przez te długie lata, gdy sam byłem uczniem. Wszystkim nam dobrze się wiedzie. Mieszkańcy Nowych Mostów lubią Jankę, Białe Piaski zaś są, przypuszczam, dość zadowolone z twego pokornego sługi. Wyjątek stanowi Andrzej Spencer. Wczoraj wieczorem spotkałem panią Blewett, która uważała za swój obowiązek donieść mi, że pan Spencer nie uznaje moich metod postępowania z dziećmi.

— Czyś zauważył — zastanowiła się Ania — że gdy ktoś powiada, iż “uważa za swój obowiązek donieść ci” o czymś, to musisz się przygotować na przykrą wiadomość? Dlaczego ludzie nigdy nie “uważają za swój obowiązek donieść ci” miłych wieści, zasłyszanych o tobie? Pani Donnell wczoraj znowu odwiedziła mnie w szkole, gdyż “uważała za swój obowiązek donieść mi”, że pani Andrews jest przeciwna czytaniu czarodziejskich baśni dzieciom, pan Rogerson zaś uważa, iż Priscilla czyni zbyt małe postępy w arytmetyce. Oczywiście mała korzystałaby więcej, gdyby w czasie lekcji mniej wdzięczyła się do chłopców. Jestem pewna, że to Janek Gillis pisze za nią klasówki z rachunków, choć nigdy nie zdołałam go na tym przyłapać.

— Czy udało ci się przekonać obiecującego synka pani Donnell do jego arystokratycznego imienia?

— Owszem — zaśmiała się Ania — ale było to doprawdy trudne zadanie. Początkowo, gdy zwracałam się do niego “Saint-Clair”, mimo że powtarzałam to imię kilkakrotnie, nie odzywał się wcale; gdy zaś chłopcy tręcali go, robił tak zdziwioną minę, jakbym go nazwała Karolem lub Jankiem — skądże mógł przypuszczać, że jego mam na myśli? Zatrzymałam go tedy jednego popołudnia po skończonych lekcjach i przemówiłam do niego z całą serdecznością. Powiedziałam mu, że matka jego życzy sobie, bym go nazywała Saint-Clairem, i nie mogę postępować wbrew jej woli. Zrozumiał to, jest naprawdę bardzo rozsądnym chłopaczkiem, toteż zgodził się, żebym go nazywała Saint-Clairem, dodał jednak, że jeżeli który z chłopców tak go nazwie, sprawi mu lanie. Oczywiście musiałam go skarcić za użycie takiego nieparlamentarnego wyrażenia. Odtąd ja go nazywam Saint-Clairem, chłopcy — Kubą, i mamy święty spokój. Zwierzył mi się, że ma zamiar zostać stolarzem, gdy tymczasem pani Donnell domaga się, bym go kierowała na profesora uniwersytetu.

Wzmianka o uniwersytecie pchnęła myśli Gilberta na inne tory i przez chwilę gawędzili oboje o swych planach i marzeniach — poważnie, z wiarą, jak lubi gawędzić młodzież, gdy przyszłość jest dla niej jeszcze tajemną ścieżką, pełną cudownych możliwości. Gilbert postanowił poświęcić się medycynie.

— To wspaniały zawód — mówił z zapałem — każda jednostka powinna przez całe życie o coś walczyć, ktoś chyba nawet określił człowieka jako zwierzę walczące?... Ja pragnę zwalczać chorobę, cierpienia i ciemnotę, tak często idące z sobą w parze. Chcę uczciwie wykonać moją część ogólnoludzkiej pracy, chcę dodać coś do zasobu wiedzy, którą nagromadziły wieki poprzednie. Ci, co żyli przede mną, zrobili tak wiele dla mnie, że chcę okazać im wdzięczność czyniąc coś dla przyszłych pokoleń. To jedyny sposób wywiązania się uczciwie z długów zaciągniętych wobec społeczeństwa.

— Ja zaś pragnęłabym upiększać życie — mówiła Ania w zamyśleniu. — Nie tyle chodzi mi o nauczanie ludzi, chociaż wiem, że to jest najszlachetniejsze dążenie, ile o to, aby życie upływało im milej. Pragnę, aby dzięki mnie przeżyli jakąś radość... radość, której by nie mogli zaznać, gdyby mnie nie było na świecie...

— Sądzę, że spełniasz to zadanie codziennie — zauważył Gilbert, z podziwem wpatrzony w Anię.

Miał słuszość — Ania posiadała wrodzony dar opromieniania radością życia każdej istoty, z którą się zetknęła. Wreszcie Gilbert pożegnał się.

— Żałuję bardzo, ale muszę iść do MacPhersonów. Moody Spurgeon wraca na niedzielę do domu i ma mi przywieźć książkę od profesora Boyda.

— Ja zaś muszę przygotować herbatę. Maryla pojechała dziś odwiedzić tę nieszczęśliwą Marię Keith i lada chwila wróci.

Gdy Maryla wróciła, wieczera była gotowa. Ogień trząsał wesoło, srebrzyste paprocie i purpurowe liście klonu przystrajały stół, a w powietrzu rozchodził się lechący podniebienie zapach gorącej szynki i grzanek. Maryla z głębokim westchnieniem osunęła się na fotel.

— Czy cię oczy bolą? Czy może masz migrenę? —ypytywała Ania troskliwie.

— Nie. Jestem zmęczona... i przygnębiona z powodu Marii i jej dzieci. Ma się coraz gorzej — dni jej są policzone. A co stanie się z dziećmi?

— Czy wuj nie dał żadnego znaku życia?

— Owszem, Maria dostała od niego list. Nie może zabrać dzieci przed wiosną. Wtedy bowiem ożeni się i łatwiej mu będzie zaopiekować się nimi. Na zimę radzi je oddać do któregoś z sąsiadów. Lecz Maria nie uczyni tego, gdyż nigdy nie łączyły jej

przyjazne stosunki z mieszkańcami Graftonu. Krótko i węzłowato: jestem pewna, że życzy ona sobie, bym ja wzięła dzieci; nie mówi o tym, lecz można to wyczytać z jej twarzy.

— O! — zawołała Ania składając ręce w podnieceniu. — Przecież ty to uczynisz? Prawda, Marylo?

— Nie zdecydowałam się jeszcze — odparła Maryla dość cierpko. — Nie załatwiam spraw bez zastanowienia, jak to jest w twoim zwyczaju. Kuzynostwo w trzeciej linii to dość wątle pokrewieństwo, a jaka straszna odpowiedzialność wychowywać dwoje sześciolletnich dzieci... bliźniąt w dodatku.

Maryla żywiła przekonanie, iż bliźniaki są dwa razy gorsze niż inne dzieci.

— Bliźnięta są bardzo miłe... mam na myśli jedną parę — zaprzeczyła Ania. — Tylko gdy ich są dwie albo trzy pary, stają się trochę męczące. Przypuszczam, że stanowiłoby to dla ciebie rozrywkę, Marylo, gdy ja jestem w szkole.

— I to miałyby być rozrywką? Raczej umęczenie i kłopot. Gdyby przynajmniej były w tym wieku, co ty, kiedy do nas przybyłaś, zaryzykowałabym jeszcze. Nie obawiam się tak bardzo Toli. Zdaje się być dobrym i spokojnym dzieckiem. Ale ten urwis Tadzio...

Ania kochała dzieci, do bliźniąt Marii Keith serce ją ciągnęło. Wspomnienie jej własnego sierociego dzieciństwa żyło w niej dotychczas. Wiedziała, że punktem honoru Maryli jest wypełnianie wszystkiego, co uważa za swój obowiązek, więc zręcznie skierowała atak w tę stronę.

— Jeśli Tadzio ma złe skłonności, tym więcej należy dbać o jego dobre wychowanie, czyż nie, Marylo? Jeśli my ich nie przygarniemy, kto to uczyni i pod czyj wpływ dzieci się dostaną? Przypuśćmy, że zaopiekują się nimi ich najbliżsi sąsiedzi — Sprottowie. Pani Linde powiada, że Henryk Sprott to największy bezbożnik, a dzieci jego nie powiedzą nigdy słowa prawdy. Czy taki przykład nie byłby czymś strasznym dla bliźniąt? Albo gdyby dostały się do Wigginsów... Pani Linde mówi, że Wiggins wyprzedaje wszystko, co posiada, i żywi rodzinę zbieranym mlekiem. Czy pozwoliłabyś, żeby twoi krewni umierali z głodu, nawet jeśli by to byli kuzyni w trzeciej linii? Mnie się wydaje, że naszym obowiązkiem jest zaopiekować się tymi dziećmi.

— I ja tak sądzę — przyznała posepnie Maryla. — Będę zmuszona powiedzieć Marii, że je wezmę. Nie miej takiej rozpromienionej miny, Aniu. Będzie to nadprogramowe zajęcie dla ciebie. Ja, ze względu na mój słaby wzrok, nie mogę

ślęczyć nad igłą, więc szycie i reperacja garderoby tej dwójki spadnie na twoje barki. A ty przecież nie lubisz szycia.

— Nie cierpię — odpowiedziała Ania spokojnie — lecz jeśli ty z poczucia obowiązku przygarniesz te biedactwa, to ja z poczucia obowiązku mogę szyć dla nich. Dobrze jest być czasem zmuszoną uczynić coś, czego się nie lubi... aby w miarę.

VIII. MARYLA PRZYGARNIA BLIŹNIĘTA.

Przy oknie swej kuchni siedziała pani Linde z szydełkiem w ręku, zupełnie jak owego wieczora przed laty, kiedy to Mateusz Cuthbert powracał do domu ze swą sierotką. Lecz wtedy była wiosna, a teraz późna jesień i lasy stały bezlistne, a pola suche i szerniały. Purpurowo złote słońce kryło się właśnie poza ciemnymi lasami Avonlea, gdy na wzgórzu ukazał się kabriolet, zaprzężony w gniadego kucyka. Pani Małgorzata wyteżyła wzrok w kierunku nadjeżdżających.

— Maryla wraca z pogrzebu — rzekła do męża, który znużony wyciągnął się na sofie. W ostatnich czasach Tomasz Linde zażywał odpoczynku jakoś częściej, niż zwykł był to czynić dawniej. Lecz pani Małgorzata, taka bystra w dostrzeganiu wszystkiego, co się działo poza jej domem, dziwnym zbiegiem okoliczności nie zwracała na to uwagi. — Przywozi bliźnięta... tak! Tadzio wychyla się poprzez fartuch, aby schwytać kucyka za ogon, a biedna Maryla bezustannie go powstrzymuje. Tola siedzi wyprostowana, istna lalka; wygląda jak świeżo wykrochmalona i wyprasowana. Maryla napracuje się dobrze tej zimy. Co prawda, w tych okolicznościach nie było dla niej innego wyjścia. No, ale będzie miała Anię do pomocy. Ania jest rozpromieniona z powodu tej historii, bo też, muszę przyznać, okazuje ona niezwykły talent w postępowaniu z dziećmi. Boże drogi, przecież zdaje się, że to wczoraj biedny Mateusz przywiózł małą Anię do domu, a wszyscy wokoło śmieli się na myśl, że Maryla będzie wychowywała dziecko. Dziś znowu przygarnia bliźnięta. Do końca życia trzeba być przygotowanym na niespodzianki.

Wypasiony kucyk włókł się przez mostek, a potem drogą ku Zielonemu Wzgórzu. Na twarzy Maryli malowało się zmęczenie. Dzieliło ich od Graftonu już dziesięć mil, a Tadzio ani na chwilę jeszcze nie przestał kręcić się i wiercić. Wszelkie usiłowania Maryli, ażeby go uspokoić, spełzały na niczym. Biedaczka była w ciągłym strachu, że mały urwis wywinie koziołka na drogę lub też poprzez fartuch stoczy się pod kopyta końskie. Wreszcie z rozpaczy zagroziła, że sprawi mu zdrowe lanie, gdy tylko przybędą do domu. Wtedy Tadzio, nie zwracając uwagi na trzymane przez nią lejce, wgramolił się jej na kolana, pulchnymi ramionkami otoczył szyję i wyciął głośno całusa.

— Nie wierzę, żeby pani to zrobiła — rzekł, cmokając przymilnie jej pomarszczony policzek. — Pani nie wygląda na taką, co bije małego chłopca za to, że

nie może usiedzieć spokojnie. Czy pani umiała siedzieć spokojnie, kiedy pani była w moim wieku?

— Owszem, zawsze siedziałam spokojnie, gdy mi kazano — rzekła Maryla, starając się mówić surowo, pomimo że serce jej topniało pod wpływem gwałtownych pieszczot Tadzia.

— Ach, to dlatego, że pani była dziewczynką — odgadł i uściskawszy ją raz jeszcze, zsunął się na swe miejsce. — Przecież pani była kiedyś dziewczynką, choć wydaje się to śmieszne. Tola umie siedzieć cicho, ale to musi być strasznie nudne. Być dziewczynką — to strasznie nudne. Tolu, rozweselę cię trochę.

Tadziowy sposób rozweselenia Toli polegał na ciągnięciu jej za loki. Dziewczynka krzyknęła i rozplakała się.

— Wracamy z pogrzebu twojej biednej matuchny, a tobie zbytki w głowie — łajęła zrozpaczona Maryla.

— Ależ ona chciała umrzeć — zapewniał Tadzio. — Wiem, bo mi to sama powiedziała. Strasznie się martwiła, że tak długo choruje. W noc przed śmiercią długo ze mną rozmawiała. Powiedziała, że pani zabierze Tolę i mnie na zimę do siebie, i prosiła, abym się dobrze sprawował. Ja właśnie zaczynam być greczny, ale czy nie można być grzecznym biegając i skacząc, tak samo jak siedząc cicho? Prosiła także, żebym był dobry dla Toli i żebym się nią opiekował. I to także robię.

— Czy darcie za włosy uważasz za opiekowanie się nią?

— Tak, bo nie pozwoliłbym nikomu innemu ciągnąć jej za włosy — objaśnił Tadzio, zaciskając piąstki i marszcząc brwi. — Niech no kto spróbuje. Teraz nie bardzo ją bolało. Płacze, bo jest dziewczynką. Ja się cieszę, że jestem chłopcem, ale martwię się, że jestem bliźniak. Kiedy siostra Kuby Sprotta sprzecza się z nim, on tylko powie: “Jestem starszy od ciebie, więc na pewno wiem lepiej” i ona musi ustąpić. A ja nie mogę tego Toli powiedzieć, więc ona mnie nie słucha. Niech mi pani pozwoli powozić, przecież jestem mężczyzną.

Oczywiście Maryla odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie wjechała na dziedziniec, gdzie jesienny wiatr wyprawiał harce z pożółkłymi liśćmi. U wejścia oczekiwała ich Ania, by pomóc przy wysiadaniu. Tola obojętnie poddała się uściskowi Ani, natomiast Tadzio odpowiedział serdecznym całusem i wesoło oznajmił:

— Jestem Tadeusz Keith.

Przy wieczerzy Tola zachowywała się jak dystygowana mała dama, lecz sprawowanie Tadzia pozostawiało wiele do życzenia.

— Jestem tak strasznie głodny, że nie mam czasu jeść porządnie — odpowiedział na uwagi Maryli. — Tola nie jest ani w połowie tak głodna jak ja. Niech pani sobie przypomni, ile się nakręciłem po drodze. Ten placek jest strasznie pyszny... i tyle rodzyneków. U nas w domu dawno już nie było ciasta, bo matuchna była przecież chora i nie mogła piec, a pani Sprott zawsze mówiła, że dość, jak nam chleba upiecze. Pani Wiggins też nie kładzie nigdy rodzyneków do swych ciastek — nie ma obawy. Czy dostanę jeszcze kawałek?

Maryla byłaby odmówiła, lecz Ania szczerą ręką odkroiła dodatkową porcję, przypominając jednocześnie Tadziewi, że należy powiedzieć “dziękuję”. Malec uśmiechnął się do niej i odgryzł wielki kęs, a po chwili, gdy zjadł wszystko, figlarnie zawołał:

— Powiem “dziękuję”, gdy dostanę trzeci kawałek!

— Nie, miałeś zupełnie dość — rzekła Maryla tonem dobrze znanym Ani. Tadzio miał się w przyszłości przekonać, że decyzje, wygłaszane tym tonem, były nieodwołalne.

Tadzio mrugnął ku Ani i przechyliwszy się poprzez stół, wyrwał z rączki Toli ciasto, z którego zdążyła zaledwie odgryźć mały kasek. Toli usteczka skrzywiły się do płaczu, a Maryla oniemiała z przerażenia, widząc, jak mały rozbójnik pakuje całą porcję do szeroko rozdziawionej buzi. Ania z miną groźnej przełożonej zawołała:

— Tadzio, żaden dżentelmen tak nie postępuje!

— Wiem o tym — odparł Tadzio, gdy tylko zdołał wydobyć głos — ale ja nie jestem dżemblem.

— Przecież chciałbyś nim być — przedkładała oburzona Ania.

— Pewno, że chcę. Ale nie można być dżemblem, dopóki się nie jest dorosłym.

— Przeciwnie, można — sprostowała Ania, uważając, iż nadarza się sposobność do wygłoszenia nauki moralnej. — Możesz starać się być dżentelmenem, będąc jeszcze małym chłopcem. A dżentelmen nigdy nie wydziera ciasta dziewczynce, nie zapomina podziękować i nie rwie nikogo za włosy.

— W takim razie nudzi się bardzo — zawyrokował Tadzio — to ja już wolę poczekać, aż dorosnę. Wtedy zostanę dżemblem.

Maryla z rezygnacją odkroiła świeży kawał ciasta dla Toli. Przeżyła dziś ciężki dzień. Zmęczona pogrzebem i drogą, nie czuła się na siłach podejmować walki z narowami Tadziewa. W tej chwili spoglądała w przyszłość z pesymizmem godnym Elizy Andrews. Bliźnięta, mimo że jasnowłose, nie były zbyt podobne do siebie. Toli długie

loki równo spływały na ramiona — okrągła główka Tadzia tonęła w masie puszystych złotych pierścieni. Piwne oczy Toli patrzyły łagodnie i słodko — w oczach zbytnika Tadzia igrał jakiś chochlik. Nosek Toli był prosty — Tadzia zadarty. Tola miała poważne usteczka — Tadzio pełne uśmiechów. Prócz tego Tadzio miał zabawny dołeczek w jednym policzku, co, gdy się śmiał, nadawało jego buzi wyraz pełen komizmu. Na twarzyczce jego malowała się stale wesołość i ochota do zbytków.

— Niech dzieci idą do łóżka — rzekła Maryla, uważając to za najlepszy sposób pozbycia się Tadzia. — Tola będzie spała w moim pokoju, Tadzia zaś umieścimy na facjatce. Nie lękasz się spać sam, Tadziu?

— Nie, ale nieprędka jeszcze pójde do łóżka — odpowiedział Tadzio spokojnie.

— Przeciwnie, pójdziesz natychmiast! — Maryla nie rzekła nic więcej, ale Tadzio wyczuł, że opór na nic się nie zda, więc posłusznie podreptał za Anią na górę.

— Gdy tylko dorosnę, nie położę się spać przez całą jedną noc. Zobaczę, co wtedy będzie — zwierzył się Ani na ucho.

W późniejszych czasach Maryla nie mogła bez dreszczu wspominać tego pierwszego tygodnia pobytu bliźniąt na Zielonym Wzgórzu. Nie dlatego, iżby był o tyle gorszy od następnych, lecz jakąż zmiana w jej dotychczasowym spokojnym życiu!

Rzadko zdarzały się chwile, gdy Tadzio nie spocił czegoś, lecz jego pierwszy, sławny w Avonlea występ odbył się w dwa dni po przybyciu. Był to piękny, łagodny, iście wrześnieowy poranek niedzielny. Wybierali się do kościoła. Maryla zajęła się ubieraniem Toli, powierzając Tadzia staraniom Ani. Malec przede wszystkim zaprotestował przeciw myciu twarzy.

— Maryla myła mnie wczoraj... a pani Wiggins wyszorowała mnie szarym mydłem w dzień pogrzebu. To zupełnie dość na cały tydzień. Po co być tak strasznie czystym? Mnie jest lepiej, kiedy jestem brudny.

— Jaś Irving sam prosi, żeby go myć codziennie — odezwała się Ania przebiegle.

Tadzio przebywał na Zielonym Wzgórzu zaledwie od czterdziestu ośmiu godzin, ale już ubóstwiał Anię, a nienawidził Jasia, o którym Ania wyrażała się z największymi pochwałami. Jeśli Jaś mył się codziennie, Tadzio był gotów uczynić to samo, bodaj z narażeniem życia. Te same względy kierowały nim, gdy poddawał się potulnie innym zabiegom koło swej toalety. Ania czuła prawie macierzyńską dumę, wprowadzając do starej ławki Cuthbertów czyściutkie, śliczne chłopię. Z początku Tadzio zachowywał się grzecznie, rzucał ukradkiem spojrzenia na siedzących w

poobliżu chłopców, starając się odgadnąć, który z nich jest Jasiem Irvingiem. Śpiewanie dwóch psalmów i czytanie Biblii odbyło się bez przeszkód, lecz gdy pastor Allan rozpoczął modły, zaszło coś nieoczekiwanego. Przed Tadzkiem siedziała Lorka White z główką lekko pochyloną. Spomiędzy dwóch jasnych warkoczy, okolona tiulową fryzką, wychylała się biała szyjka. Lorka była to tłuściutka, spokojnie wyglądająca dziewczuszka lat ośmiu, która zawsze zachowywała się w kościele bez zarzutu, poczynając od dnia, gdy jako sześciomiesięczne niemowlę została wniesiona tam przez matkę. Tadzio wsunął rączkę do kieszeni i wydobył gąsienicę... włochatą, ogromną gąsienicę. Maryla, spostrzegłszy to, schwyciła go za ramię. Ale było już za późno: Tadzio zdążył wsunąć liszkę Lorce za sukienkę. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. Pastor przerwał modlitwę i spojrzał zdumiony. Wszystkie głowy podniosły się sponad modlitewników. Lorka rzucała się w ławce, szarpiąc, jak szalona, sukienkę na plecach.

— Oj, matuś... matuś, oj, oj... wyjmij ją... zabierz ją... ten szkaradny chłopiec wpakował mi liszkę... oj, matuś... ona pełźnie dalej... oj, oj!

Pani White wstała i z surową miną wyprowadziła skracającą się i głośno szlochającą Lorkę z kościoła. Łkania dziecka zamilkły w oddali, a pan Allan kończył przerwane nabożeństwo; jednakże wszyscy obecni znajdowali się pod wrażeniem czegoś niesłychanego. Maryla pierwszy raz w życiu nie uważała podczas kazania, Ania zaś, z wypiekami na twarzy, siedziała jak struta. Po powrocie do domu Maryla kazała Tadziewi położyć się do łóżka i pozostać w nim do końca dnia. Nie pozwoliła mu dać obiadu, na wieczerzę zaś otrzymał mleko i suchy chleb. Ania zaniósła posiłek na górę i przyglądała się smutnie, jak malec zjadał z apetytem, nie okazując najmniejszej skruchy. Jej poważne spojrzenie zaniepokoiło go wreszcie.

— Jaś Irving — zauważył po namyśle — nie wsunąłby w kościele liszki za kołnierz dziewczynce, prawda?

— Z pewnością nie — odpowiedziała zgnębiona Ania.

— Więc żałuję, że to zrobiłem — przyznał się Tadzio. — Ale to była taka śliczna, wielka liszka. Znalazłem ją na schodach kościoła, gdyśmy wchodzili. Szkoda było ją zmarnować. I powiedz sama, czy krzyki tej dziewczynki nie były zabawne?

We wtorek po południu odbywało się zebranie Koła Pomocy na Zielonym Wzgórzu. Ania śpieszyła ze szkoły do domu, wiedząc, iż Maryla będzie potrzebowała jej wyręki. Zastała Tolę odświętnie ubraną w białą wykrochmaloną sukienkę z czarną szarfą. Siedziała z gośćmi w bawialni i zachowywała się jak wzorowo wychowane

dziecko, odpowiadając spokojnie na zadawane jej pytania, milcząc, gdy się do niej nie zwracano. Tadzio, rozkosznie usmolony, grzebał się w piasku na podwórzu.

— Pozwoliłam mu na to — objaśniała Maryla zrezygnowana — myślę, że w ten sposób unikniemy gorszych psot. Przy tej zabawie może się tylko więcej zabrudzić. Dopiero gdy goście skończą podwieczorek, zawołam go do pokoju. Tola będzie jadła z nami, lecz nie miałabym odwagi posadzić Tadzia przy jednym stole z członkami Koła Pomocy.

Kiedy Ania weszła poprosić gości na herbatę, Toli w bawialni nie było — przed chwilą wybiegła, odwołana przez Tadzia. Na skutek tego Maryla z Anią odbyły pośpieszną naradę w spizarni i postanowiły obojgu dzieciom dać podwieczorek później.

Gdy goście w najlepsze zapijali herbatę, do stołowego pokoju wpadła jakaś budząca litość postać dziecięca. Maryla i Ania zerwały się przerażone, goście osłupieli. Czyż mogła to być Tola... ta szlochająca istota, z której sukienki i włosów spływały na nowy dywan Maryli strumienie wody?

— Tolu, co się z tobą stało?! — zawołała Ania rzucając spojrzenie pełne poczucia winy na panią Beli, której dom, jak ogólnie mówiono, był jedynym w świecie, gdzie nigdy nie zdarzały się żadne wypadki.

— Tadzio kazał mi się wdrapać na płot zagrody dla prosiąt — skarżyła się Tola — a kiedy nie chciałam, nazwał mnie tchórzem. Więc posłuchałam go, ale zleciałam do zagrody, prosiak wpadł na mnie i zasmarował mi całą sukienkę. Wtedy Tadzio powiedział, że jeśli postoję pod studnią, to mi ją zmyje do czysta. Pompował i pompował, ale sukienka się nie uprała, a moja śliczna szarfa i trzewiki są zniszczone na nic.

Do końca podwieczorku Ania musiała czynić sama honory domu, gdyż Maryla poszła na górę przebrać Tolę. Tadzia znowu posłała do łóżka, bez kolacji. O zmroku zjawiała się w jego pokoju Ania. Przyszła na poważną pogawędkę. Była to metoda, do której ciągle jeszcze miała zaufanie, mimo iż nie zawsze dawała ona dobre wyniki. Ania powiedziała Tadziewi, że jest bardzo zmartwiona jego postępowaniem.

— Ja też jestem teraz zmartwiony — przyznał się Tadzio. — Ale co mam zrobić, kiedy martwię się zawsze po psocie, a nie wtedy, kiedy ją wymyślam. Tola nie chciała się ze mną bawić w piasku, bo bała się zabrudzić sukienkę, więc byłem wściekle zły. Czy Jaś Irving kazałby swojej siostrze wleźć na płot chlewika, gdyby wiedział, że może wpaść do środka?

— O, z pewnością podobna myśl nie przyszłaby mu nigdy do głowy. Jaś — to prawdziwy mały dżentelmen.

Tadzio przymrużył oczy i przez chwilę zdawał się rozmyślać, po czym wdrapał się na kolana Ani, zarzucił jej rączki na szyję i ukrył zarumienioną twarzyczkę na jej ramieniu.

— Aniu, czy kochasz mnie troszeczkę, chociaż nie jestem tak grzeczny jak Jaś?

— Owszem, kocham — powiedziała Ania szczerze — nie sposób było nie kochać Tadzia — ale kochałabym cię o wiele więcej, gdybyś nie był taki niegrzeczny.

— Ja dziś jeszcze coś zrobiłem — zwierzał się Tadzio przyciszonym głosem. — Teraz żałuję, ale strasznie się boję ci powiedzieć. Nie będziesz się bardzo gniewała? I nie powiesz o tym Maryli, dobrze?

— Nie wiem, Tadziu, może będę musiała. Przysięgam ci jednak, że jeśli obiecasz mi nigdy więcej tego nie uczynić, zachowam tajemnicę.

— Nie, już nigdy tego nie zrobię. Ale pewnie nie znalazłbym drugiej tego roku. Tę znalazłem na schodkach w piwnicy.

— Cóżes zrobił, Tadziu?

— Włożyłem ropuchę do łóżka Maryli. Możesz pójść i ją wyjąć. Ale czy nie zabawniej byłoby ją tam zostawić?

— Ach, Tadziu! — Ania wyrwała się z obejmujących ją rączek i popędziła do pokoju Maryli.

Pościel na łóżku była z lekka pomięta. Z nerwowym pośpiechem Ania zerwała koce i oto spod poduszki wyjrzała ku niej wielka ropucha.

— Jakże wydostanę stąd to wstrętne stworzenie — jęknęła z dreszczem obrzydzenia. Przypomniała sobie łopatkę od węgla i skoczyła po nią korzystając z tego, że Maryla była zajęta w spiżarni. Namęczyła się niemało, zanim znalazła się w podwórzu z ropuchą, która trzykrotnie zeskakiwała z szufelki, a raz ukryła się w ciemnym kącie sieni, skąd ledwie ją wydobyła. Toteż odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie wypuściła ją na wolność w sadzie. “Gdyby Maryla dowiedziała się o tym, nigdy w życiu nie poszłaby już do łóżka bez lęku. Co za szczęście, że mały grzesznik w porę przyznał się do winy. Ale oto Diana daje znaki ze swego okna. Jakże się cieszę. Doprawdy potrzeba mi jakiejś rozrywki, bo Antoś Pye w szkole, a Tadzio Keith w domu to chyba dość udręczenia jak na jeden dzień”.

IX. KWESTIA KOLORU

Ta stara wścibska Linde była tu dziś znowu, zanudzała mnie o składkę na kupno dywanu do zakrystii — mówił pan Harrison gniewnie. — Nie cierpię tej baby tak jak nikogo na świecie. Ona potrafi rzucać słowami jak kamieniami.

Ania, oparta o balustradę ganku, rozkoszowała się czarem szarego listopadowego zmierzchu. Znad świeżo zaoranych pól płynął łagodny wietrzyk i poświstywał cicho między otaczającymi ogród sosnami.

— Całe zło tkwi w tym, że pan i pani Linde nie rozumiecie się nawzajem — zauważyła po chwili, obracając twarzyczkę ku mówiącemu — to jest właśnie przyczyną braku sympatii. Ja także nie lubiłam dawniej pani Linde, lecz polubiłam ją chwilą, gdy nauczyłam się ją rozumieć.

— Być może, że pani Linde przypada do gustu niektórym osobom. Ale ja nie będę się zmuszał do jedzenia bananów dlatego, że mi ktoś wmawia, iż zasmakuję w nich, o ile będę się nimi często raczył — burknął pan Harrison. — Co zaś do rozumienia jej, przekonałem się, że jest niepoprawnie wścibska, i powiedziałem jej o tym.

— Ach, musiało to strasznie zranić jej uczucia — rzekła Ania z wyrzutem. — Jakże pan mógł powiedzieć jej coś podobnego? Ja również powiedziałam kiedyś pani Linde parę przykrych słów, ale to dlatego, że straciłam panowanie nad sobą.

— Rzekłem jej prawdę, a prawdę należy każdemu mówić w oczy.

— Ale pan nie mówi całej prawdy — zaprzeczyła Ania — pan mówi tylko nieprzyjemną część prawdy. Na przykład powiedział mi pan już z dziesięć razy, że moje włosy są rude, ale ani razu, że mam ładny nos.

— Przypuszczam, że wiesz o tym i bez mojego powiedzenia — zaśmiał się pan Harrison.

— O rudych włosach — nawiasem mówiąc, są o wiele ciemniejsze, niż były dawniej — wiem również, więc nie ma potrzeby wspomniania o tym.

— Dobrze, już dobrze. Postaram się nie mówić o tym, skoro jesteś taka wrażliwa. Wybacz mi, Aniu. Przyzwyczaiłem się do szczerości i ludzie nie powinni mi tego brać za złe.

— Ależ muszą to panu brać za złe. Okoliczność, iż jest to pańskie przyzwyczajenie, nie zmienia postaci rzeczy. Co by pan powiedział o człowieku, który

kłując ludzi szpilkami, tłumaczyłby się: “Nie pamiętajcie mi tego, taki już mam zwyczaj”. Uważałby go pan za szaleńca, czyż nie? Pani Linde jest może wścibska, ale czy powiedział jej pan także, że ma dobre serce, pełne litości dla biednych? Wie pan chyba, że Tymoteusz Cotton skradł garnek masła z jej piwnicy, a żonie powiedział, że kupił; kiedy zaś pani Cotton przy pierwszym spotkaniu z panią Linde zrobiła uwagę, że masło czuć było marchwią, ta poczciwa kobieta powiedziała: “Przykro mi, iż masło się nie udało”.

— Wierzę, że posiada pewne zalety — zgodził się pan Harrison niechętnie. — Każdy człowiek ma jakieś, nawet ja, chociaż tego nie podejrzewasz. W każdym razie na dywan nie dam ani centa; tu u was nie przestają wcale zbierać składek. A jak tam z waszym projektem pomalowania Domu Ludowego?

— Świetnie. Na ostatnim piątkowym posiedzeniu K.M.A. obliczyliśmy, że mamy aż nazbyt wiele pieniędzy na ten cel. Większość obywateli daje szczerą ręką, drogi panie.

Mimo wrodzonej słodczy Ania potrafiła, gdy okoliczności tego wymagały, ukryć żądełko ironii w niewinnym na pozór zdaniu.

— Na jaki kolor malujecie budynek?

— Wybraliśmy bardzo piękny zielony. Dach będzie, oczywiście, ciemnoczerwony. Roger Pye kupi dziś farbę w mieście.

— A kto wykona robotę?

— Józef Pye z Carmody. Z dachem prawie już skończył. Musieliśmy to powierzyć jemu, gdyż wszyscy Pye’owie, a są ich cztery rodziny, zapowiedzieli, że nie dadzą ani centa, jeżeli się nie umówimy z Józefem. Podpisali się na dwanaście dolarów, więc zdawało nam się, iż stracilibyśmy zbyt wiele. Chociaż niektórzy twierdzą, że Pye’om nie należy ustępować. Pani Linde powiada, że oni zawsze starają się wszędzie wkreślić.

— Najważniejszą rzeczą jest, czy ten Józef wywiąże się dobrze ze swego zadania. Jeśli robi to dobrze, mniejsza z tym, jak się nazywa.

— Uchodzi za dobrego rzemieślnika, ale mówią o nim, że dziwak. Prawie nigdy nie rozmawia z nikim.

— W takim razie to doprawdy oryginał, a przynajmniej tutejsi mieszkańcy będą go zwać oryginałem — odrzekł pan Harrison oschle. — Ja sam do chwili osiedlenia się w Avonlea nie byłem gadułą. Ale tu, po prostu w celu samoobrony, musiałem odzwyczaić się od milczenia. W przeciwnym razie pani Linde okrzyczałaby mnie

niemową i urządziła składkę dla nauczania mnie mowy głuchoniemych. Czy już odchodzisz, Aniu?

— Muszę. Wieczorem mam jeszcze dużo szycia dla Toli. Poza tym lękam się, że Tadzio zirytuje Marylę jakąś nową psotą. Dziś rano pierwsze jego pytanie było: “Aniu, chciałbym wiedzieć, dokąd odchodzi ciemność nocna?” Odpowiedziałam, że idzie wokoło na drugą stronę świata. Lecz po śniadaniu oświadczył, że tak nie jest, bo ciemność schodzi na dno studni. Maryla przyłapała go już dziś czterokrotnie, jak przewieszony przez cembrowinę studni zaglądał w jej głębię!

— A to szelma! — zaopiniował pan Harrison. — Przybiegł tu wczoraj i zanim przyszedłem ze stodoły, wyrwał Imbirkowi sześć piór z ogona. Od tej chwili biedny ptak strasznie posmutniał. Te dzieciaki to istne utrapienie dla was.

— Ale jednocześnie i skarb umiłowany — rzekła Ania, w duszy postanawiając wybaczyć Tadziewi następną psotę, jakąkolwiek by była, za to, iż zemścił się za nią na Imbirku.

Roger Pye przywiózł wieczorem oczekiwaną farbę, Józef zaś, mrukliwy, milczący jegomość, rozpoczął malowanie następnego dnia. Nie przeszkadzano mu w pracy. Budynek mieścił się przy tak zwanej “dolnej drodze”. Późną jesienią droga ta bywała zwykle błotnista, więc udający się do Carmody kierowali się dłuższą “górną drogą”. Dom Ludowy był otoczony gęstym lasem świerków i trudno go było dojrzeć, o ile się nie podjechało blisko. Józef Pye pracował więc w ciszy i samotności, których tak łaknęła jego dusza odludka. W piątek po południu ukończył robotę i odjechał do Carmody. Wkrótce po jego odejściu przejeżdżała tamtędy pani Linde, niepomna błotnistych wybojów “dolnej drogi”. Wiodła ją ciekawość. Pragnęła pierwsza zobaczyć, jak też wygląda Dom Ludowy w swej nowej szacie. Okrążywszy las świerków, ujrzała go wreszcie. Lecz widok ten wywarł na niej nieoczekiwane wrażenie. Rzuciła lejce, wzniosła ręce do góry i zawołała: “Boże miłościwy!” Patrzała, nie wierząc własnym oczom, aż wreszcie wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Nie mogło się obejść bez pomyłki. Nie mogło. Wiedziałam, że Pye’owie nawarzą piwa.

Pani Małgorzata jechała do domu, zatrzymując się co chwilę, aby wśród spotykanych sąsiadów rozgłaszać nowinę. Toteż wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Przez usta parobka Blythe’ów dotarła ona do Gilberta; rzucił książki, nad którymi śleczął, i popędził bez tchu na Zielone Wzgórze. Po drodze dogonił go Alfred Wright.

U furtki, pod огоłoconymi z liści wierzbami, zastali Dianę, Jankę Andrews i Anię — uosobienie rozpacz.

— To chyba nieprawda, Aniu?! — zawołał Gilbert.

— To jest prawda — odrzekła Ania z miną muzy tragedii. — Pani Linde, wracając z Carmody, wstąpiła, by mi o tym donieść. To straszne. Czy warto dążyć do jakichkolwiek ulepszeń?

— Co jest straszne? — zapytał Oliver Sloane nadchodząc właśnie z paczką przywiezioną z miasta dla Maryli.

— Jak to, nie słyszałeś jeszcze? — rzekła Janka zirytowana. — Tylko tyle: Józef Pye pomalował Dom Ludowy na niebiesko zamiast na zielono. Jaskrawym niebieskim kolorem, używanym zazwyczaj do malowania wózków i tacek. Pani Linde powiada, że to najwstrętniejsza barwa, jaką kiedykolwiek widziała, szczególnie w połączeniu z czerwonym dachem.

Omam nie zemdlalam, gdy uslyszalam o tym. Serce pęka na myśl, ile trudów ta sprawa pochlonęła.

— Na miłość boską, skąd powstała ta pomyłka? — jęknęła Diana.

Winę tego nieszczęścia można było przypisać tylko Pye'om. Miłośnicy postanowili użyć farb Harrisa, a wiadomo, że blaszanki z farbą są numerowane według próbek kolorów umieszczonych na wzorze. Wybrany zielony odcień był oznaczony numerem 147, więc kiedy Roger Pye przysłał swego syna Janka z wiadomością, że jedzie do miasta i może kupić farbę, Miłośnicy kazali go poprosić o nabycie numeru 147. Janek zaklinał się, że wypełnił ich polecenie, ojciec zaś jego równie stanowczo twierdził, że Janek powtórzył: "numer 157". I na tym sprawa stoi do dziś dnia. Tego wieczora w każdym avonlejskim domu, gdzie mieszkał jakikolwiek Miłośnik, panowała czarna rozpacz. Nastrój na Zielonym Wzgórzu był tak ponury, że nawet wesołość Tadzia przygasła. Ania płakała i była niepocieszona.

— Muszę płakać, Marylo, mimo że mam prawie siedemnaście lat — łkała. — To takie upokarzające. Wszyscy nas będą wyśmiewali. Ta wieść brzmi jak dzwon pogrzebowy dla naszego stowarzyszenia.

Jednakże w życiu, podobnie jak w snach, rzeczy przybierają często dziwny obrót. Mieszkańcy Avonlea nie mieli wcale ochoty do śmiechu — byli zbyt zagniewani. Przecież to za ich pieniądze malowano Dom Ludowy, więc też ich najboleśniej dotknęła ta pomyłka. Powszechne oburzenie skupiło się na Pye'ach. Roger Pye i Janek pokpili sprawę. Józef zaś musiał być skończonym idiotą, jeżeli po otwarciu

blaszanki nie zorientował się, że zaszła jakaś pomyłka. Gdy krytyka dotarła do Józefa, odburknął, że nie ma zamiaru wtrącać się do gustu obywateli Avonlea bez względu na swe osobiste zdanie w kwestii kolorów; zamówiono go do malowania budynku, nie zaś do rozprawiania o barwach; robotę swą wykonał, więc zapłata słusznie mu się należy. Po naradzie z Piotrem Sloane'em, urzędnikiem, Miłośnicy z ciężkim sercem wypłacili Pye'owi należność.

— Musicie mu zapłacić — powiedział Sloane — nie jest odpowiedzialny za to, co się stało. Nikt mu nie mówił, jakiego koloru miała być farba. Dostał blaszanki z poleceniem rozpoczęcia pracy. Ale to wstyd prawdziwy i Dom na pewno wygląda strasznie.

Nieszczęśni Miłośnicy sądzili, że odtąd Avonlea będzie żywiła do nich jeszcze więcej uprzedzeń; tymczasem stało się wprost przeciwnie: roztoczyła nad nimi swe skrzydła sympatia ogółu. Mówiono powszechnie, że ta pełna zapału młódź, która wytrwale dążyła do osiągnięcia celu, została haniebnie oszukana. Pani Linde radziła im, by nie przerywali działalności i dowiedli Pye'om, że są jeszcze na świecie ludzie, którzy umieją nie pokpić powierzonych im spraw. Major Spencer zawiadomił ich, że na własny koszt wykarczuje pieńki wzdłuż drogi obok swej posiadłości i posieje tam trawę. Stara Sloane'owa zaś wstąpiła do szkoły i z tajemniczą miną wywołała Anię na dziedziniec, ażeby jej powiedzieć, że jeśli Miłośnicy trwają w zamiarze urządzenia kwietnika na rozstaju dróg, to już ona, Sloane'owa, ręczy, iż upilnuje swej krowy, by ten żarłok nie zniszczył geranium. Nawet pan Harrison — choć może zachichotał w cichości, jeżeli w ogóle kiedykolwiek chichotał — okazał wiele sympatii.

— Nie martw się, Aniu — uspokajał. — Większość farb, blaknąc, staje się coraz brzydsza, lecz wasz niebieski kolor jest tak szkaradny, że z czasem może tylko wypięknąć. Za to dach jest pokryty zupełnie dobrze. Nie będzie się już narażonym, tak jak dawniej, na kapanie z sufitu. Bądź co bądź, dokonaliście niemało.

— I cóż z tego, kiedy niebieski Dom Ludowy w Avonlea stanie się przysłowiowym w całej okolicy — zauważyła Ania z goryczą w głosie.

Niestety, przewidywania jej spełniły się co do joty.

X. TADZIO W POSZUKIWANIU WRAŻEŃ

Pewnego listopadowego popołudnia, wracając ze szkoły do domu Ścieżką Brzóz, Ania znowu poczuła radość płynącą ze świadomości, że życie jest piękne. Przeżyła dziś miły dzień — w jej małym królestwie wszystko odbyło się jak najpomyślniej. Arystokratyczne imię Saint-Claira Donnella nie dało powodu do żadnej bójki między nim a kolegami. Priscilla Rogerson, z buzią spuchniętą i skrzywioną od bólu zęba, nie miała ochoty kokietować swoich sąsiadów. Basi Shaw zdarzyło się tylko jedno nieszczęście — rozlała kubek wody na podłogę; Antoś Pye zaś wcale do szkoły nie przyszedł.

— Jaki miły jest ten listopad — mówiła Ania, która dotąd nie zatraciła swego dziecięcego zwyczaju monologowania. — Na ogół bywa on raczej nieprzyjemny, jak gdyby rok nagle spostrzegł, że się starzeje i że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko martwić się i płakać nad tym. Obecny rok zestarzał się z wdziękiem, niby poważna matrona, która wie, że jest piękna nawet w siwych włosach i ze zmarszczkami. Mieliliśmy cudne dni i rozkoszne zmierzchy. Ostatnie dwa tygodnie minęły bardzo spokojnie, bo nawet Tadzio sprawował się... prawie dobrze. Wydaje mi się, że zaszła w nim zmiana na lepsze... Jak cichy jest las w tej chwili; żadnych odgłosów prócz wietrzyka w wierzchołkach drzew. Zupełnie jak uderzenia fal o daleki brzeg morski. Drogie moje lasy, piękne drzewa, jakże was kocham.

Ania stanęła i objąwszy brzózkę, przytuliła się do jej białego pnia. Nagle na zakręcie ścieżki ukazała się Diana, która ujrzała tę romantyczną pozę i wybuchnęła śmiechem.

— Aniu, widzę, że ty udajesz tylko dorosłą osobę. W samotności zachowujesz się zupełnie jak mała dziewczynka.

— Ależ nie można od razu przestać być małą dziewczynką! — zawołała Ania wesoło. — Mała byłam przez lat czternaście, a dorosła jestem zaledwie od trzech. W lesie zawsze czuję się dzieckiem. Powrót ze szkoły do domu i pół godziny przed zaśnięciem to prawie jedyne chwile, jakie mogę poświęcić marzeniom. Mam przecież tyle zajęcia ze szkołą, własną nauką i wychowaniem bliźniąt. Za to co wieczór w moim pokoiku na poddaszu przeżywam cudowne przygody. Zawsze widzę siebie w roli kogoś wielkiego, zasłużonego, sławnego... Bywam znakomitą primadonną, sanitariuszką lub królową. Ostatniej nocy byłam królową. Rozkosznie jest wyobrazić

to sobie. Ma się wszystkie radości związane z tym stanowiskiem, a stron ujemnych się nie odczuwa, bo każdej chwili można rozstać się z tą rolą, czego w rzeczywistym życiu uczynić niepodobna. Ale w lesie zwykłam wyobrażać sobie zupełnie co innego. Jestem nimfą leśną żyjącą w starej sośnie lub małym elfem, który kryje się pod zwiędłym listowiem. Ta biała brzoźka, którą obejmowałam, jest moją siostrą, chociaż ona jest drzewem, a ja dziewczyną. Ale to nie jest istotna różnica... Dokąd idziesz, Diano?

— Do Dicksonów. Przyrzekłam Albercie pomóc skrajać suknię. Może wstąpiłabyś tam wieczorem i poszłybyśmy potem do mnie?

— Mogę przyjść, bo przecież Alfred pojechał do miasta — odpowiedziała Ania z niewinną miną.

Diana zarumieniła się i odeszła, ale nie była obrażona.

Pomimo szczerego zamiaru odwiedzenia Dicksonów Ania nie uczyniła tego. Sytuacja panująca na Zielonym Wzgórzu wybiła jej z głowy wszelką myśl o rozrywce. Na dziedzińcu spotkała Marylę wodzącą dokoła błędnym wzrokiem.

— Aniu, Tola zginęła!

— Tola zginęła? — Ania spojrzała na Tadzia, "jeżdżącego" na furtce, i dostrzegła figlarne błyski w jego oczach. — Tadzium, czy nie wiesz, gdzie ona jest?

— Nie, nie wiem — odparł Tadzio śmiało — nie widziałem jej od obiadu, dalibóg.

— Nie było mnie w domu od pierwszej — objaśniała Maryla. — Tomasz Linde zachorował nagle i Małgorzata prosiła, abym natychmiast przyszła. Gdy wychodziłam, Tola usypiała lalkę w kuchni, a Tadzio bawił się w piasku przed stodołą. Wróciłam przed niespełną półgodziną — Toli ani śladu. Tadzio twierdzi, że od chwili mego wyjścia nie widział jej wcale.

— Bo też nie widziałem — zapewnił Tadzio stanowczo.

— Musi być gdzieś w pobliżu — uspokajała Ania — nie odważyłaby się oddalić sama. Jest przecież taka nieśmiała. Może usnęła w którymś z pokojów.

Maryla zaprzeczyła ruchem głowy.

— Przeszukałam cały dom. Ale może jest gdzie w zabudowaniach?

Rozpoczęto skrzętne poszukiwania. Zrozpaczone kobiety przetrząsały każdy kąt domu, podwórza i budynków gospodarskich. Ania przebiegła sad i Las Duchów, nawołując głośno Tolę. Maryla ze świecą zajrzała do piwnicy. Tadzio towarzyszył im obu na zmianę i okazywał dużo pomysłowości we wskazywaniu miejsc, gdzie, według niego, Tola mogłaby się znajdować. Wreszcie powrócili znowu na podwórze.

— Strasznie dziwna sprawa — westchnęła Maryla.

— Gdzież ten dzieciak się podział? — pytała Ania zrozpaczona.

— A może wpadła do studni? — poddał Tadzio wesoło.

Ania i Maryla spojrzały na siebie ze zgrozą. Myśl ta towarzyszyła każdej z nich przez cały czas, ale żadna nie odważyła się wypowiedzieć jej głośno.

— Kto wie, może? — szepnęła Maryla. Ania, blada i drżąca, podeszła do studni i przechyliła się, żeby zajrzeć. Wiadro wisiało na swoim miejscu, a hen, w głębi migotało na powierzchni pasmo światła. Studnia Cuthbertów była najgłębsza w Avonlea. Jeśliby Tola... ale Ania nie mogła dokończyć tej myśli. Wstrząsnęła się i odwróciła szybko.

— Biegnij do pana Harrisona — mówiła Maryla łamiąc ręce.

— Pan Harrison i Janek Carter są dziś w mieście, pójdę do pana Barry'ego.

Po chwili wróciła z panem Barrym. Niósł zwój liny z przytwierdzonym do niej narzędziem, przypominającym grabie. Maryla i Ania, zdrętwiałe z przerażenia, śledziły jego ruchy, gdy sondował studnię. Tadzio zaś, siedząc okrakiem na furtce, przyglądał się całej grupie z miną pełną zadowolenia. Wreszcie pan Barry potrząsnął głową z uczuciem widocznej ulgi.

— Nie ma jej tam na pewno. Ciekawa rzecz, gdzie też może być. Chodź no tu, młodzieńcze. Czy doprawdy nie masz pojęcia, gdzie się podziała twoja siostra?

— Mówilem już dziesięć razy, że nie — odparł Tadzio udając obrażonego — może jaki włóczęga tu przyszedł i skradł ją?

— Co za bzdury? — rzekła Maryla ostro. Pewność, że Tola się nie utopiła, uspokoiła ją nieco. — Czy nie przypuszczasz, Aniu, że mogła zabłądzić idąc do pana Harrisona? Od czasu gdy tam była z tobą, bezustannie wspominała papugę.

— Wątpię, czy Tola odważyłaby się sama na taką wycieczkę. Ale pobiegnę się przekonać.

Kto by w tej chwili zwrócił uwagę na Tadzia, niewątpliwie zauważyłby wyraźną zmianę w jego twarzyczce. Cichutko ześliznął się z furtki i popędził w kierunku stodoły, ile tylko miał sił w swych tłustych nóżkach.

Ania w niezbyt optymistycznym nastroju pośpieszyła przez pola ku domowi pana Harrisona. Dom był zamknięty, żaluzje spuszczone i ani śladu żywej duszy wokoło. Stanęła na ganku, wołając głośno Tolę. W kuchni rozległ się wrzaskliwy głos Imbirka, który zaklął z nagłą gwałtownością. Ale pomiędzy jego wykrzyknikami Ania usłyszała żalosny płacz, dochodzący z małego budynku, służącego panu Harrisonowi

za skład narzędzi. Skoczyła ku drzwiom, odryglowała je i porwała w objęcia drobną, zalaną łzami istotkę, skuloną na przewróconej beczulce od gwoździ.

— Ach, Tolu, Tolu! Jakiego stracha nam napędziłaś. Skądżeś się tu wzięła?

— Przyszliśmy z Tadzkiem do Imbirka — szlochała Tola — ale nie mogliśmy się do niego dostać, więc tylko Tadzio walił w drzwi, żeby go rozdrażnić. Później przyprowadził mnie tutaj, sam uciekł, a drzwi zatrzasnął. Nie mogłam się wydostać. Płakałam i płakałam. Bałam się okropnie, jeść mi się chciało. Myślałam, że już nigdy nie przyjdiesz, Aniu.

— Tadzio? — Ania nie powiedziała nic więcej.

Z ciężkim sercem prowadziła Tolę do domu. Przykrość, spowodowana zachowaniem Tadzka, zagłuszyła radość z odnalezienia dziewczynki zdrowej i całej. Pomysł zamknięcia Toli mógł być wybaczony, ale te kłamstwa, bezczelne kłamstwa opowiadane z zimną krwią. Na ten wstrętny postępek nie wolno jej było zamykać oczu. Gotowa była usiąść i płakać niczym małe dziecko. Przywiązała się do Tadzka serdecznie, nawet nie wiedziała dotąd, jak serdecznie, więc strasznie ją zabolalo odkrycie, że kłamał z najzupełniejszą świadomością.

Maryla słuchała opowiadania Ani w milczeniu nie wróżącym Tadzkiowi nic dobrego. Pan Barry roześmiał się i poradził, by za takie zbytki zdrowo obić smarkacza. Po odejściu sąsiada Ania utuliła zziębniętą, szlochającą Tolę, dała jej kolację i zaniósła do łóżka. Zeszła do kuchni w chwili, gdy Maryla z ponurą miną wchodziła prowadząc, a raczej popychając przed sobą opierającego się, pokrytego pajęczyną Tadzka, którego właśnie odnalazła w najciemniejszym kącie stajni. Odsunawszy malca od siebie, Maryla zasiadła u okna, Ania, zirytowana, przy drugim oknie, mały winowajca zaś stanął pomiędzy nimi. Maryla, patrząc na obróconego do niej plecami Tadzka, widziała postać potulnego, wystraszonego dziecka. Ale buzia chłopca, zwrócona ku Ani, miała inny wyraz. W jego zawstydzonych oczach igrał błysk koleżeńskej poufałości, jak gdyby myślał, że choć postąpił źle i musi ponieść karę, później Ania razem z nim uśmieje się z tej całej awantury. Ale szare oczy Ani nie odpowiedziały mu uśmiechem, jak bywało wówczas, gdy chodziło o zwykłe urwisowskie sprawy. To była inna sprawa... brzydka, odpychająca.

— Jak mogłeś tak postąpić, Tadzku? — zapytała Ania smutnie.

Tadzio kręcił się niespokojnie.

— Zrobiłem to dla żartu. Przecież tak długo było cicho. Zachciało mi się napędzić dorosłym trochę strachu. I udało się.

Pomimo wyrzutów sumienia i lęku Tadzio uśmiechnął się, przypominając sobie psotę.

— Ale powiedziałeś kłamstwo, Tadzio — rzekła Ania smutniej niż kiedykolwiek.

— Pewnie, że żelgałem. Gdybym nie żelgał, nie byłybyście się przestraszyły. Musiałem żelgać.

U Ani teraz dopiero następowała reakcja po strachu i przejściach dnia. Krnąbrna postawa Tadzia przepełniła czarę. Dwie wielkie łzy zabłysnęły w jej oczach.

— Jak mogłeś to zrobić, Tadzio? — spytała znowu z drzeniem w głosie — czy nie wiedziałeś, jak to strasznie brzydko?

Tadzio był przerażony: Ania płakała — on był przyczyną tego płaczu... Fala szczerzego żalu zalała jego małe gorące serduszko. Przypadł ku niej, wdrapał się na jej kolana i otoczywszy ramionkami szyję, wybuchnął płaczem.

— Nie wiedziałem, że to źle mówić łgarstwa — szlochał. — U Sprottów wszystkie dzieci łgały, a potem zaklinały się, że mówiły prawdę. Jaś Irving na pewno nigdy nie mówi łgarstw, a ja przecież staram się być tak grzeczny jak on. Boję się, że od dziś nie będziesz mnie już kochała. Czemu mi nie powiedziałaś, że to brzydko łgać? Strasznie się martwię, że przeze mnie płaczesz, i nigdy już nie powiem łgarstwa.

Oparty o ramię Ani malec nie przestawał szlochać. Ania, w radosnym zrozumieniu duszy dziecka, przycisnęła go mocno do serca i spojrzała ponad jego kędzierzawą główką ku Maryli.

— Marylo, on nie wiedział, że nie należy kłamać; przebaczymy mu tym razem, jeżeli obieca, że się to więcej nie powtórzy.

— Nigdy już tego nie zrobię, teraz, gdy wiem, że to brzydko — zapewnił Tadzio wśród łkań — jeśli mnie

kiedy złapiesz na łgarstwie, Aniu, możesz — tu zastanowił się nad wyborem odpowiedniej kary — możesz mnie żywcem obedrzeć ze skóry.

— Nie mów “łgarstwo”, Tadzio, mówi się “kłamstwo” — zwróciła uwagę nauczycielka.

— Dlaczego? — indagował Tadzio rozsiadłszy się wygodniej na kolanach swej opiekunki i podniósłszy ku niej zalane łzami, pytające oczęta. — Dlaczego “łgarstwo” ma być gorsze niż “kłamstwo”, powiedz mi?

— To ordynarne słowo. Mali chłopcy nie powinni wyrażać się ordynarnie.

— Strasznie dużo jest takich rzeczy, których mali chłopcy nie powinni robić. Nigdy nie myślałem, że jest tego aż tyle. Szkoda, że brzydko jest mówić łgar...

kłamstwa, bo to bardzo wygodnie. Ale nie będę tego mówił więcej. Tylko powiedzcie, jaką karę dostanę za to, co dziś zrobiłem?

Ania prosząco spojrzała na Marylę.

— Nie chciałabym zbyt surowo postąpić z dzieckiem — odpowiedziała cicho Maryla. — Nikt mu widocznie nie powiedział, że źle jest kłamać, a dzieci Sprottów były demoralizującym towarzystwem. Biedna Maria była zbyt cierpiąca, żeby zająć się jego wychowaniem, a trudno wymagać, aby sześcioletnie dziecko odczuwało instynktem, co złe, a co dobre. Musimy zgodzić się na to, że mały nie ma żadnych dobrych zasad, i zacząć wychowanie od początku. Jednakże dzisiejszy figiel nie może mu ująć bezkarnie. Nie widzę innej kary, jak zapakować go do łóżka bez kolacji, ale stosowałyśmy to już zbyt często. Może ty coś wymyślisz, Aniu? Masz przecież taką bujną wyobraźnię.

— Ale kary to wstrętne rzecz, a ja lubię wyobrażać sobie tylko miłe sytuacje — rzekła Ania piecąc Tadzia. — Po co wyobrażać sobie przykrości, jeśli i tak jest ich tyle w życiu?

Ostatecznie Tadzio, jak zwykle, powędrował do łóżka z nakazem, by pozostał w nim do następnego południa. Widocznie rozmyślanie nie pozwoliły mu zasnąć, bo gdy po godzinie Ania weszła do swego pokoju, zawołał ją cichutko. Zastała go siedzącego w łóżeczku z główką wspartą na rączkach.

— Aniu — spytał uroczystym tonem — czy nikt nie powinien mówić łgar... kłamstw? Powiedz mi!

— Nikt, oczywiście.

— Ani dorośli?

— Rozumie się.

— W takim razie — rzekł Tadzio stanowczo — Maryla jest kłamczuch. I jest gorsza ode mnie, bo ja nie wiedziałem, że to brzydko, a ona wie.

— Tadzio, Maryla nigdy nie kłamie! — zawołała Ania z oburzeniem.

— Właśnie skłamała. We wtorek powiedziała mi, że jeśli co dzień wieczorem nie zmówię pacierza, zdarzy mi się coś okropnego. A ja, żeby się przekonać, co się stanie, już od tygodnia nie mówię pacierza... I nic się nie stało — zakończył tonem rozczerowania.

Ania omal nie wybuchnęła szalonym śmiechem. Opanowała się jednak, zdając sobie sprawę, że miałyby to fatalne skutki, i zabrała się do ratowania opinii Maryli.

— Jak to, Tadziu — rzekła z naciskiem — przecież dziś właśnie zdarzyło ci się coś strasznego.

Tadzio spojrzął na nią powątpiewająco.

— Pewnie myślisz o pójściu spać bez kolacji — rzekł pogardliwie — ale to nie jest straszne. Oczywiście, że tego nie lubię, lecz od czasu gdy tu jestem, tyle razy mi się to już zdarzyło, że się przyzwyczailem. A wy nic na tym nie oszczędzacie, bo jem dwa razy więcej na śniadanie.

— Nie chodzi mi o to, że poszedłeś spać bez kolacji, ale o to, że skłamałeś dzisiaj. A widzisz, Tadziu, powiedzenie nieprawdy to najgorsza rzecz, jaka się może dziecku przytrafić... prawie najgorsza. A więc Maryla powiedziała ci prawdę.

— Ale ja myślałem, że to coś strasznego będzie bardzo ciekawe — protestował Tadzio.

— Maryla nie odpowiada za to, coś ty myślał. Złe postęпки nie zawsze bywają ciekawe. Najczęściej są po prostu brzydkie i niemądre.

— A jednak to było okropnie zabawne, kiedyście z Marylą zaglądały do studni — odparł niepoprawny Tadzio.

Ania zachowywała powagę w czasie tej rozmowy, lecz z chwilą gdy się znalazła na dole w bawialni, padła na kanapę śmiejąc się, aż ją boki rozboleły.

— Mogłabyś mi też powiedzieć, co cię tak ubawiło — rzekła Maryla z pewną urazą. — Ja niewiele miałam dziś powodu do śmiechu.

— Ale uśmiejesz się, gdy ci to opowiem — zapewniła Ania.

I naprawdę Maryla śmiała się serdecznie, co dowodziło niezbiecie, jak bardzo się zmieniła od czasu zaadoptowania Ani. Ale po chwili ciężko westchnęła.

— Być może, że nie należało mu tego mówić, chociaż słyszałam kiedyś, jak nasz pastor w ten sposób przemawiał do dziecka. Tadzio wyprowadził mnie jednak z równowagi tamtego wieczora, gdyś była na koncercie w Carmody, a ja sama układałam go do snu. Wyobraź sobie, dowodził, że nie warto mówić pacierza, dopóki się jest dzieckiem, bo Pan Bóg na dzieci i tak nie zwraca uwagi. Aniu, naprawdę nie wiem, co my poczniemy z tym malcem. Pierwszy raz w życiu widzę taki okaz. Ręce mi opadają.

— O, nie mów tego, Marylo. Przypomnij sobie, jaka ja byłam, gdyście mnie przygarnęli.

— Ty nigdy nie byłaś zła... nigdy. Przekonuję się o tym teraz, gdy mam do czynienia z prawdziwie złym dzieckiem. Chociaż nieraz zawiniłaś, pobudki twoich czynów były zawsze dobre. Tadzio zaś ma niedobry charakter.

— Nie wierzę, żeby tak było. To tylko figle. U nas jest zbyt spokojnie. Chłopiec nie ma rówieśników, brak mu zajęcia. Towarzystwo cichej, grzecznej Toli nie może mu wystarczyć. Czyby nie było dobrze posłać naszą parkę do szkoły?

— O, nie — rzekła Maryla stanowczo. — Mój ojciec zawsze mawiał, że nie powinno się zamykać dziecka w czterech ścianach szkoły, dopóki nie skończy siedmiu lat. Pan Allan jest też tego zdania. Niechaj bliźnięta uczą się trochę w domu, ale do szkoły pójda dopiero za rok.

— A więc spróbujemy wychowania domowego! — zawołała Ania wesoło. — Mimo wszystkich swych wad Tadzio jest słodkim bakiem. Czy można go nie kochać? Wstyd mi się przyznać, ale uczciwie mówiąc, kocham Tadzia więcej niż Tolę, mimo że nie mam jej nic do zarzucenia.

— Co prawda, ze mną jest to samo — zwierzyła się Maryla — a to niesłusznie, bo Tola jest najlepszym dzieckiem. Nie sprawia nam kłopotu, nie odczuwa się prawie jej obecności w domu.

— Tola jest zbyt dobra — rzekła Ania. — Zachowywałaby się równie dobrze, gdyby się nią nikt nie zajmował. Urodziła się już dobrze wychowana, więc nas nie potrzebuje, a wydaje mi się — zakończyła Ania, stwierdzając życiową prawdę — że najbardziej kochamy tych, którzy nas potrzebują. Tadziovi jesteśmy potrzebne

— O, jemu jest niejedno potrzebne — zgodziła się Maryla. — Małgorzata Linde powiedziała, że przede wszystkim dobre lanie.

XI. LISTY UCZNIÓW

Nauczanie jest bardzo miłym zajęciem pisała Ania do koleżanki z seminarium. — Janka uważa je za jednostajne, ale ja jestem innego zdania. Prawie co dzień zdarza się coś zabawnego. Dzieci miewają takie pocieszne pomysły. Janka karze swych uczniów za każde swobodniejsze odezwanie się i dlatego lekcje wydają się jej nudne. Dziś po południu Kubuś Andrews miał przeczytać wyraz: “nakrapiany” i nie mógł się z nim uporać. Wreszcie rzekł: “Nie mogę przeczytać, ale wiem, co to znaczy”. “Cóż takiego?” — zapytałam. “Policzki Saint-Claira Donnella”. Saint-Clair jest rzeczywiście bardzo piegowaty, lecz staram się, by dzieci nie zwracały na to uwagi; ja sama byłam kiedyś piegowata i dobrze pamiętam, ile się przez to nacierpiałam. Ale Saint-Clairowi nie sprawiło to przykrości. Natomiast za nazwanie go Saint-Clairem zbił Kubusia porządnie w drodze ze szkoły do domu. Dowiedziałam się o ich bójce nieoficjalnie, więc nie wtrączę się do tej sprawy. Wczoraj uczyłam Karolę Wright dodawania. Objasniałam: “Jeżeli masz trzy karmelki w jednej rączce, dwa w drugiej, to ile masz razem?” “Pełną garść” — odpowiedziała. A podczas lekcji przyrody na moje pytanie, dlaczego nie należy zabijać żab, Benek Sloane odrzekł poważnie: “Bo nazajutrz padałby deszcz”. Trudno jest nie roześmiać się w takich razach, Stello. Ja jednak w szkole zachowuję powagę i dopiero w domu puszczam wodze swej wesołości. Toteż Maryla powiada, że denerwują ją te dzikie wybuchy śmiechu, rozlegające się bez powodu na mojej facjatce. Twierdzi, że tak się zaczęła choroba umysłowa jednego jej znajomego z Grafionu. Sądzę, że najtrudniejszą i najbardziej zajmującą rzeczą w nauczaniu jest doprowadzić dzieci do tego, by zwierzały się ze swych najgłębszych myśli. Pewnego dżdżystego popołudnia w zeszłym tygodniu zebrałam je dokoła siebie i starałam się gawędzić z nimi tak, jak gdybym była jedną z ich grona. Prosiłam je, by mi powiedziały, czego sobie najbardziej życzą. Niektóre odpowiedzi były pospolite: lalki, koniki, łyżwy... Inne nosiły cechy oryginalności. Henia Boulter pragnęła “codziennie ubierać się w odświętną sukienkę i jadać w bawialni”. Hania Beli chciałyby “być dobrą, nie zmuszając się do tego”. Dziesięcioletnia Manusia White pragnęła być wdową. Zapytana dlaczego, odpowiedziała poważnie: “Jeżeli nie wyjdiesz za mąż, nazywają cię starą panną, jeśli zaś wyjdiesz za mąż, to mąż cię tłucze, a więc najlepiej być wdową”. Najdziwniejsze było życzenie Salusi Beli; życzyła sobie miodowego miesiąca. Na zapytanie, czy wie, co to jest, odpowiedziała:

“Elegancki kabriolet”. Dlaczego? Gdyż kuzyn jej po swoim ślubie przyjechał do nich w ślicznym kabrioecie, a obiecał poprzednio, że przyjedzie w miodowym miesiącu. Innego ranka zaproponowałam, aby mi opowiedziały najbrzydszy postępek, jaki kiedykolwiek każde z nich popełniło. Starsze nie zgodziły się, lecz niższy oddział zwierzał mi się zupełnie szczerze. Liza Beli spaliła papiloty swej ciotki. Zapytana, czy chciała je zniszczyć, odpowiedziała, że niezupełnie, pragnęła tylko zobaczyć, czy się będą paliły. Emilek Gillis wydał dziesięć centów, przeznaczonych do puszek misjonarskiej, na karmelki. Największym przestępstwem Aneczki Beli było zjedzenie paru jagód, które rosły na cmentarzu. Wacek White zjeżdżał kilkakrotnie z dachu owczarni w swych niedzielnych spodniach. “Ale zostałem za to ukarany, bo musiałem chodzić w łatanych spodniach do szkoły niedzielnej przez całe lato. A kiedy się zostanie ukaranym, nie potrzeba już tego żałować” — oświadczył. Chciałabym, żebyś poznała ich wypracowania. Tak bardzo pragnę, że przepisuję ci kilka. W zeszłym tygodniu zadałam starszemu oddziałowi wypracowanie na temat dowolny. Miał to być list do mnie z opisem jakiejś miejscowości, którą dzieci zwiedziły, lub ciekawego zdarzenia, napisany na prawdziwym listowym papierze, w prawdziwej kopercie, zaadresowany do mnie. Zaznaczyłam, iż nie chcę, aby im starsi dopomagali. W piątek rano znalazłam cały stos listów na stoliku, a wieczorem stwierdziłam raz jeszcze, że nauczanie ma zarówno swe rozkosze, jak i przykrości. Te wypracowania dały mi dużo zadowolenia. Oto list Edzia Claya z zachowaniem stylu i ortografii.

Pani nauczycielka ShiRley.

Zielone Wzorce

Kanada

ptaki.

Droga pani nauczycielko napiszę wypracowanie o ptakach, ptaki to bardzo użyteczne zwierzęta, mój kot łapie ptaki. Nazywa się Wilhelm, ale tatuś woła na niego tom. jest cały pasiasty i jedno ócho odmroził zeszłej zimy gdyby nie to byłby bardzo ładny. Mój wójek ma kota, przywłukł się kiedyś do jego domu i nie chciał odejść, woj mówi, że jest mądrzejszy od niejednego człowieka, pozwala mu spać na bójaku i ciocia mówi, że myśli o nim więcej, niż o własnych dzieciach, to nie jest sprawiedliwie, trzeba być dobrym dla kota i dawać mu słodkie mleko, ale nie trzeba być lepszym

niż dla dzieci, to wszystko co pamiętam, więc jóż nic więcej od

edward Clay

List Saint–Claira Donnella jest, jak zwykle, krótki i rzeczowy: on nigdy nie traci słów na darmo. Nie przypuszczam, by obrał przedmiot lub dodał postscriptum z prostej złośliwości. Ot, nie posiada wiele taktu ani wyobraźni.

Kochana panno Shirley

Kazała nam pani opisać coś nadzwyczajnego. Ja opiszę Dom Ludowy w Avonlea. Posiada dwoje drzwi: frontowe i tylne; ma sześć okien i komin i jest pomalowany na niebiesko. Dlatego jest nadzwyczajny. Stoi przy “dolnej drodze” do Carmody. Jest to trzeci z rzędu najważniejszy dom w Avonlea. Tamte to kościół i kuźnię. Odbywają się tam zebrania klubu, odczyty i koncerty.

Szczerze oddany

Jakub Donnell

P.S. Dom Ludowy jest koloru jaskrawoniebieskiego.

List Aneczki Bell był bardzo długi, co mnie zdziwiło, gdyż zwykle pisuje tak zwięźle jak Saint–Clair. Aneczka jest to miły, słodki dzieciak, wzór dobrego wychowania, lecz nie posiada ani cienia fantazji.

Oto jej list:

Najdroższa nauczycielko.

Piszę do Pani ten list, ażeby powiedzieć Pani, jak bardzo Ją kocham. Kocham Panią całym sercem i całą duszą — całą moją istotą. Pragnę Ci służyć na wieki. Byłoby to moim najwyższym szczęściem. Dlatego staram się w szkole być grzeczną i uczyć się dobrze.

Pani jest tak piękna, najdroższa nauczycielko. Twój głos jest jak muzyka, a Twoje oczy jak fiołki, skąpane w rosie porannej. Masz postać pełną majestatu: Twoje włosy cudownie falują. Antoś Pye mówi, że są rude, ale nie wieź mu. Znam Cię

zaledwie od paru miesięcy, lecz nie potrafię sobie wyobrazić czasów, gdy Cię nie znałam — gdy nie było Cię w moim życiu, by je błogosławić i uświęcać. Zawsze będę wspominała ten rok, jako najcudowniejszy w moim życiu, gdyż to on przyniósł mi Ciebie. Jest to również rok, kiedy przeprowadziliśmy się z Nowych Mostów do Avonlea. Miłość dla Ciebie wzbogaciła me życie i odsunęła ode mnie wiele zła i zmartwień. Wszystko to Tobie zawdzięczam, najśłodsza moja nauczycielko. Nigdy nie zapomnę, jak uroczo wyglądałaś, gdym Cię widziała po raz ostatni w Twojej czarnej sukni z kwiatami we włosach. Będę Cię wiecznie wspominała taką, nawet gdy obie będziemy stare i siwe. Zawsze pozostaniesz dla mnie młodą i piękną, najdroższa nauczycielko. Myślę o Tobie bezustannie — dniem i nocą, o świcie i o zmierzchu. Kocham Cię, gdy się uśmiechasz i gdy smutnie wzdychasz, nawet gdy spoglądasz z pogardą. Nigdy nie jesteś w złym humoże, choć Antoś Pye mówi, że zawsze jesteś zła, ale on przecież zasługuje na Twój gniew. Kocham Cię w każdej sukni, w każdej jesteś zarówno godną uwielbienia. Najukochańsza moja nauczycielko, dobranoc. Słońce już zaszło i gwiazdy zabłyśły... gwiazdy równie jasne i piękne jak Twoje oczy. Całuję Twe ręce, najśłodsza moja. Niech Bóg ma Cię w swej opiece i strzeże od wszelkiego złego.

Przywiązana uczennica

Aneczka Bell

Ten niezwykły list zdziwił mnie niemało. Wiedziałam przecież, iż Aneczka nie potrafiłaby nic podobnego napisać. Wychodząc ze szkoły, zabrałam ją na przechadzkę i łagodnie wypytywałam o historię listu. Aneczka rozplakała się i wyznała szczerze, że nigdy w życiu nie pisała listu i nie potrafiłaby go napisać. Ale w górnej szufladzie biurka matki znalazła paczkę listów, pisanych do niej kiedyś przez dawnego konkurenta.

— To nie był ojciec — szlochała Aneczka — ten pan kształcił się na pastora, więc umiał pisać piękne listy. Mamusia nie chciała wyjść za niego za mąż, bo zanudzał ją ciągle długimi mowami. Ale te listy wydały mi się śliczne i przepisałam jeden, żeby posłać pani. Napisałam “nauczycielko” na miejsce “pani” i zmieniłam kilka wyrazów, na przykład “suknia” zamiast “nastrój”. Nie wiem, co to jest “nastrój”, zapewne to coś ze stroju. Nie rozumiem, jak pani poznała, że to nie mój własny list. Pani jest bardzo mądra.

Powiedziałam Aneczce, że to brzydko przepisywać cudze listy i podawać je jako swoje własne. Obawiam się jednak, iż żałowała jedynie tego, że jej sprawka została wykryta.

— Przecież ja kocham panią — szlochała — to wszystko była prawda, chociaż pastor pierwszy tak napisał. Kocham panią z całego serca.

Naprawdę trudno jest w takich okolicznościach wylać kogoś porządnie.

A oto list Basi Shaw. Nie mogę skopiować kleksów oryginału.

Kochana nauczycielko.

Pani powiedziała, żebyśmy opisali jakieś odwiedziny. Ja byłam w odwiedzinach raz jeden tylko: zimową porą u ciotki Marii. Jest to bardzo dziwna osoba i doskonała gospodyni. Pierwszego wieczora pszy kolacji wywróciłam karafkę i stłukłam ją. Ciotka powiedziała, że karafkę tę ma od samego ślubu i dotychczas nikt jej jeszcze nie stłukł. Kiedyśmy wstali od stołu, nastąpiłam jej na suknię i wszystkie fałdy wypruły się z paska. Nazajutrz rano pszy myciu uderzyłam dzbankiem o miskę i wyszczerbiłam obie żeczy, zaś przy śniadaniu zalałam serwetę herbatą. Pomagając ciotce nakrywa do stołu upuściłam porcelanowy półmisek. Rozleciał się na kawałeczki. Wieczorem spadłam ze schodów i zwichnęłam nogę. Cały tydzień przeleżałam w łóżku. Słyszałam, jak ciotka mówiła do wuja, iż to cafe szczęście bo byłabym potłukła wszystko w domu. Jak tylko wyzdrowiałam wróciłam do rodziców. Bardzo nie lubię jeździć w odwiedziny. Wolę chodzić do szkoły, szczególnie odkąd pani jest w Avonlea.

Z szacunkiem

Barbara Shaw

Wacek White zaczyna:

Szanowna Pani.

Opowiem pani coś o mojej Bardzo Odważnej Ciotce. Mieszka w Ontario i jednego dnia, idąc do szkoły, zobaczyła obcego psa w podwórzu. Pochwyciła kij, zwała go mocno, zagnała do stodoły i zamknęła. Zaraz nadszedł jakiś człowiek i szukał lwa, który uciekł z menażerii. Ten niby pies, to był właśnie lew, a moja Bardzo

Odważna Ciotka zagnała go samym kijem do stodoły. Cud się stał, że on jej nie zjadł, ale to dlatego, że była Bardzo Odważna. Janek Gillis powiada, że jeśli ona myślała, że to pies, to wcale nie była Odważna. Ale Janek jest zazdrosny, bo on nie ma Odważnej Ciotki, tylko samych wujów. Najlepszy list zachowałam na zakończenie. Śmiesz się z mego twierdzenia, że Jaś Irving jest geniuszem, ale list jego przekona cię, że to niezwykle dziecko. Mieszka u swej babki w pobliżu zatoki i nie ma wcale towarzyszy zabaw. Pamiętasz, jak nasz profesor z seminarium zwracał nam uwagę, że nauczycielka nie powinna wyróżniać żadnego spośród swych uczniów? A jednak nie potrafię oprzeć się specjalnej sympatii dla Jasia. Sądzę, że to nic złego, bo każdy go kocha, nawet pani Linde, która powiada, że nigdy nie przypuszczała, iż tak polubi dziecko matki Amerykanki. I koledzy są do niego bardzo przywiązani. Pomimo marzycielskiego usposobienia jest dzielnym zuchem — zawsze pierwszy w grach i ćwiczeniach sportowych. Niedawno pobił Saint-Claira za jego twierdzenie, iż sztandar angielski stoi wyżej od amerykańskiego. Godząc się, przyrzekli sobie szanować odtąd wzajemnie swe przekonania. Saint-Clair mówi, że sam wali mocniej, ale Jaś gęściej.

List Jasia

Najdroższa nauczycielko.

Kazała nam pani napisać o naszych najmilszych znajomych. Dla mnie to Ludek Skalny i o nim pani opowiem. Nikt o nim nie wie, prócz babuni i ojca mojego. Chciałbym, żeby i pani go poznała, bo pani rozumie te rzeczy. Nie każdemu mogę się z tego zwierzyć. Mój Ludek Skalny mieszka w zatoce. Przed nadejściem zimy odwiedzałem ich prawie co wieczór. Teraz muszę czekać do wiosny, ale wtedy znowu ich tam zastanę, bo tacy jak oni nie odchodzą — to jest właśnie piękne. Najwcześniej poznałem Norę i zdaje mi się, że ją kocham najwięcej. Mieszka w zatoce Andrzeja, ma czarne włosy, czarne oczy i wie wszystko o syrenach i wodnikach. Żeby też pani posłuchała jej opowieści. Potem są dwaj Bracia Żeglarze. Oni nie mieszkają nigdzie, żeglują bezustannie, ale często lądują, ażeby pogawędzić ze mną. Są to dzielni podróżnicy, widzieli już wszystko na świecie, a nawet więcej. Czy pani wie, co się zdarzyło raz młodszemu Żeglarzowi? W wędrówce swej trafił na Szlak Księżycowy. Szlak Księżycowy jest to droga, którą księżyc w pełni znaczy na wodzie, wychodząc z

morza. Pani wie, prawda? A więc młodszy Żeglarz płynął po Szlaku, aż dostał się na księżyc. Tam ujrzał małe złote drzwiczki, które otworzył i szybko przez nie przepłynął. Miał tam cudowne przygody, ale nie mogę ich opisywać, bo list byłby za długi. Jest tam jeszcze Złota Pani z Pieczary. Pewnego dnia znalazłem dużą pieczarę na brzegu, wszedłem do niej i po chwili spotkałem Złotą Panią. Ma długie włosy aż do stóp, a suknia jej mieni się i błyszczy jak szczere złoto. Na swej złotej harfie gra dzień cały. Jeśli nasłuchiwać uważnie, to słyszy się tę muzykę wzdłuż całego brzegu, ale wszyscy myślą, że to wiatr szumi między skatami. Nigdy nie mówiłem Norze o Złotej Pani. Bałem się ją urazić. Ona jest urażona nawet, gdy za długo rozmawiam z Braćmi Żeglarzami. Spotykałem zawsze Braci Żeglarzy na Szarych Skałach. Młodszy jest bardzo łagodny, ale starszy ma często groźną minę. Podejrzewam starszego, że chętnie zostałby korsarzem. Jest w nim coś bardzo tajemniczego. Kiedyś zaklął, więc powiedziałem mu, że jeśli chce się tak zachowywać, to niech nie przychodzi do mnie na pogawędkę, bo przyrzekłem babuni nie zadawać się z nikim, kto klnie. Przeraził się bardzo i obiecał mi, że jeśli mu wybaczę, to zabierze mnie do Krainy Zachodu Słońca. I naprawdę następnego wieczora, gdy siedziałem na Szarych Skałach, starszy Żeglarz przybył po mnie w zaczarowanej łodzi. Łódź mieniła się blaskiem pereł i tęczy, jak wnętrze muszli, a żagiel jak światło księżyca. Popłynęliśmy wprost do Zachodzącego Słońca. Pomyśl tylko, droga nauczycielko: byłem w Krainie Zachodu Słońca. Ciekaw jestem, jak ty ją sobie wyobrażasz. Jest to kraina samych kwiatów, niby wielki ogród. Wpłynęliśmy do portu, błyszczącego jak złoto. Wprost z łodzi wyskoczyłem na łąkę żółtych jaskrów, wielkich jak róże. Przebywałem tam bardzo długo. Zdawało mi się, że to rok cały, ale starszy Żeglarz powiedział, że zaledwie kilka minut. W Krainie Zachodu Słońca czas wydaje się o wiele dłuższy niż u nas.

Kochający Panią uczeń

Jaś Irving

PS. Rozumie się, że ten cały list to bajka, droga nauczycielko.

XII. SĄDNY DZIEŃ W SZKOLE

Nastąpiło to po bezsennej nocy, spowodowanej nieznośnym bólem zębów. Wstawszy z łóżka w ciemny, ponury poranek zimowy Ania doznała uczucia, iż życie jest smutne i bezwartościowe. Udała się do szkoły w bynajmniej nie anielskim usposobieniu. Twarz jej spuchła, a ból dokuczał srodze. W klasie było zimno i pełno dymu, gdyż nie można było rozpać ognia. Drżące z chłodu dzieci skupiały się po kątach. Tonem ostrzejszym niż kiedykolwiek Ania kazała im zająć miejsca. Antoś Pye poszedł na swe miejsce ze swą zwykłą impertynencką miną, szepnął coś sąsiadowi i zerknął ku Ani z drwiącym uśmieszkiem. Zdawało się Ani, że szyferki nigdy nie skrzypiały o tabliczki tak jak tego poranka. Gdy Basta Shaw szła do tablicy ze swymi rachunkami, potknęła się o szufelkę z węglem i upadła jak długa. Skutki tego były oplakane. Jej własna tabliczka stłukła się na kawałki, węgiel rozsypał się po podłodze, a na widok umorusanej twarzyczki Basi chłopcy wybuchnęli głośnym śmiechem. Ania odwróciła się od grupy uczniów, których czytania słuchała.

— Doprawdy, Basiu — rzekła lodowatym tonem — jeśli nie potrafisz się ruszyć, nie zawadzając o wszystko po drodze, siedź lepiej na miejscu. Przecież to okropne, żeby dziewczynka w twoim wieku była taka niezdarna.

Biedna Basta wróciła na miejsce, a łzy jej, pomieszane z pyłem węglowym, jeszcze bardziej pobudziły dzieci do śmiechu. Nigdy dotąd ta ubóstwiana nauczycielka nie przemawiała do niej takim tonem, więc Basta była niepoczyszona. Ania sama uczuła jakiś niepokój sumienia, ale to spotęgowało tylko jej zdenerwowanie i do dziś dnia klasa pamięta zapewne tę lekcję i bezlitosny wymiar kar w postaci niezliczonej ilości zadań. Podczas gdy Ania zajęta była przeglądaniem zeszytów, do klasy wpadł zdyszany Saint-Clair.

— Saint-Clair, spóźniłeś się o całe pół godziny — zwróciła się doń surowo — czemu to?

— Przepraszam panią, musiałem pomagać mamusi przy robocie puddingu, bo spodziewamy się gości na obiad, a Klarysa-Almira jest chora — brzmiała odpowiedź. Pomimo że wygłoszona była tonem pełnym szacunku, wywołała ogólną wesołość wśród uczniów.

— Siadaj na miejsce i za karę odrób sześć zadań numer osiemdziesiąty czwarty — rzekła Ania,

Saint-Clair zdawał się zdumiony jej tonem, ale posłusznie zasiadł w ławce i wyjął tabliczkę. Po chwili zaś ukradkiem podał Józiowi Sloane jakąś maleńką paczuszkę. Ania jednak zauważyła to i w mgnieniu oka wytłumaczyła sobie, o co chodzi.

W ostatnich czasach stara pani Sloane, ażeby powiększyć swe skromne dochody, zajęła się wypiekiem i sprzedażą orzechowych makaroników. Był to ulubiony przysmak malców i Ania miała dosyć kłopotu z tego powodu. Po drodze do szkoły chłopcy opróżniali swe skarbonki u pani Sloane, ciastka przynosili do klasy i podczas lekcji potajemnie zjadali je i częstowali kolegów. Wreszcie Ania zapowiedziała dzieciom, że będzie odbierała każde przyniesione do szkoły ciastko. I oto tuż pod jej boki Saint-Clair przesyła koledze paczkę, owiniętą w papier w niebieskie paski, w który pani Sloane zwykła była pakować makaroniki.

— Józiu — odezwała się Ania spokojnie — przynieś tu tę paczkę.

Józio, wylękły i zawstydzony, usłuchał. Przestraszony, zawsze czerwienił się i jękał, toteż w tej chwili wyglądał na prawdziwego winowajcę.

— Wrzuć to do ognia — rozkazała Ania.

— P... p... proszę pa... p... pani — zaczął.

— Uczyń to w tej chwili. Ani słowa więcej.

— Al... al... ale t... t... to są... — jękał się zrozpaczony Józio.

— Józiu, słuchasz czy nie? — spytała Ania.

Nawet śmielszy i pewniejszy siebie chłopiec niż Józio przestraszyłby się jej tonu i groźnego błysku w oczach. Była to nowa Ania, jakiej żaden z uczniów dotychczas nie znał. Józio strwożonym wzrokiem spojrzał na Saint-Claira, zbliżył się do pieca, otworzył wielkie czworokątne drzwiczki i zanim Saint-Clair, który zerwał się na równe nogi, zdolał coś wyrzec, wrzucił paczkę w ogień. I w sam czas odskoczył na bok. Przez kilka chwil wszyscy obecni skamienieli ze strachu, nie mogli pojąć, co się stało: czy to było trzęsienie ziemi, czy wybuch wulkanu? Niewinnie wyglądająca paczka, którą Ania niebacznie wzięła za makaroniki, zawierała fajerwerki i rakiety, przywiezione z miasta przez ojca Saint-Claira dla pana Sloane, którego urodziny miano obchodzić tego wieczora. Rozległ się huk i trzask, snop iskier z sykiem i skwierczeniem rozsypał się po pokoju, Ania, blada z przerażenia, osunęła się na krzesło, a wszystkie dziewczynki, wydając trwożne okrzyki, powskakiwały na ławki. Józio stał jak skamieniały wśród tego rwetesu i tylko Saint-Clair pokładał się ze śmiechu. Priscilla Rogerson zemdląła, Aneczka Beli zaś zaczęła łkać spazmatycznie.

Wydawało się, że trwa to bardzo długo, chociaż między pierwszym a ostatnim wybuchem upłynęło zaledwie kilka minut. Oprzytomniawszy, Ania szybko otworzyła drzwi i okna, aby dać ujście gazom i dymowi napęniającym pokój. Potem z pomocą dziewczynek wyniosła nieprzytomną Priscillę do sieni, gdzie Basia Shaw, opanowana pragnieniem niesienia pomocy, wylała kubel lodowatej wody na twarz i szyję biednej Priscilli, zanim jeszcze ktokolwiek zdołał ją powstrzymać. Cała godzina minęła, zanim spokój został przywrócony... ale był to spokój przed burzą. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że nawet wybuch nie wpłynął na zmianę nastroju nauczycielki. Nikt, z wyjątkiem Antosia Pye'a, nie odważył się szepnąć słówka. Kiedy Edzio Clay, odrabiając zadanie z rachunków, nieumyślnie zgrzytnął szyferkiem, pochwycił takie spojrzenie Ani, że zapragnął, żeby się ziemia pod nim rozstała. Na lekcji geografii Ania gnała uczniów przez lądy i morza z pośpiechem, który ich oszałamiał. Najłżejsze zająknięcie się przy rozbiórce gramatycznym wywoływało surowe napomnienia. Stefanek Sloane czuł, że nigdy w życiu nie zmaże tej strasznej winy, jaką popełnił, pisząc "wony" zamiast "wonny". Ania rozumiała, że okryła się śmiesznością i dostarczyła tematu do drwin całej Avonlea. Świadomość ta rozdrażniała ją jeszcze bardziej. W spokojniejszym nastroju sama spoglądałaby na tę sytuację z uśmiechem. Ale teraz było to niemożliwe. Gdy Ania po południu wróciła do szkoły, zastała dzieci, jak zwykle, w ławkach pochylone nad zeszytami. Wyjątek stanowił Antoś Pye, który obserwował ją sponad książki wzrokiem pełnym ciekawości i drwiny. Ania otworzyła szufladę swego stolika, szukając kredy, gdy nagle spod jej ręki wyskoczyła na stół myszka i uciekła na podłogę. Ania krzyknęła, jak gdyby ujrzała żmiję, a Antoś roześmiał się głośno. Zapadło milczenie. Ciężkie, głuche milczenie. Aneczka Beli wahała się: rozplakać się czy też nie, tym bardziej że nie wiedziała na pewno, dokąd myszka czmychnęła. Ostatecznie postanowiła nie płakać. Czy płacz może przynieść komu ulgę, gdy się ma przed sobą twarz nauczycielki bladą jak płótno, z groźnie błyszczącymi oczami?

— Kto włożył mysz do mojej szuflady? — zapytała Ania; głos jej był cichy, lecz przejął dreszczem Jasia Irvinga. Józio Sloane pochwycił jej spojrzenie i zaczął się jąkać:

— T... t... to n... n... nie ja, proszę p... pani.

Ania nie zwróciła uwagi na strwożonego Józia. Patrzyła na Antosia, który odpowiadał jej zuchwałym spojrzeniem.

— Antosiu, czy to ty?

— Tak, to ja — odparł hardo.

Ania ujęła linie, leżącą na stoliku. Była to długa, ciężka, drewniana linia.

— Zbliź się.

Antoś podlegał już nieraz bardziej surowym karom. Ania, nawet ta wzburzona Ania, nie potrafiłaby ukarać dziecka okrutnie. Ale linia cięła dotkliwie i wreszcie zuchowatość opuściła małego urwisa. Zadrżał i łzy stanęły mu w oczach. Anię ogarnęły wyrzuty sumienia. Odrzuciła linie i kazała Antosiowi iść na miejsce. Czuła wstyd, żal i znużenie. Nagły jej gniew minął i dałaby wiele za możliwość poszukania ulgi we łzach. Więc wszystkie jej przechwałki skończyły się na tym: tylko co wybiła jednego ze swych uczniów. Jakże Janka będzie triumfowała, a jak pan Harrison będzie pokpiwał! Ale co najgorsze, straciła ostatnią możliwość zdobycia sympatii Antosia, który nigdy jej już nie polubi. Nadludzkim wysiłkiem powstrzymała łzy do chwili powrotu do domu. Zamknęła się w swym pokoiku na facjacie i w poduszkę wypłakała wstyd, rozczarowanie i wyrzuty sumienia. Płakała tak długo, aż zaniepokojona Maryla przyszła do niej, nalegając, by się jej zwierzyła ze swego zmartwienia.

— Sumienie mnie dręczy — szlochała Ania — cóż to był za sądny dzień, Marylo. Wstydzę się tego, co zrobiłam. Straciłam panowanie nad sobą i zbiłam Antosia Pye'a.

— Cieszę się z tego bardzo — odrzekła Maryla z przekonaniem — należało to już dawno uczynić.

— O, nie, nie, Marylo. Nie wiem, jak będę mogła spojrzeć dzieciom w oczy. Czuję się strasznie upokorzona. Nie masz pojęcia, jak byłam szorstka, niedobra i niesprawiedliwa. Nie mogę zapomnieć wyrazu oczu Jasia Irvinga — zdawał się taki zdziwiony i rozczarowany. Ach, Marylo, tak bardzo starałam się być cierpliwa, aby zdobyć sympatię Antosia, a teraz wszystko na nic. Maryla niezwykle czule przesunęła swą twardą, spracowaną dłoń po miękkich, falujących włosach dziewczęcia. Gdy łkania ucichły, rzekła łagodnie:

— Za bardzo się przejmujesz, Aniu. Wszyscy popełniamy błędy, ale ludzie zapominają o nich. A każdy miewa swój sądny dzień. Co się tyczy Antosia, cóż ci to szkodzi, że nie obdarza cię sympatią? Przecież jest jedynym wśród twoich uczniów, który cię nie lubi.

— To już trudno. Pragnę, by wszyscy mnie kochali, i cierpię, gdy mnie ktoś nie lubi. Tego malca już sobie nie zjednam. Dzisiaj zachowywałam się idiotycznie. Opowiem ci wszystko.

Maryla wysłuchiwała całego opowiadania, a jeśli nawet uśmiechała się ukradkiem od czasu do czasu, Ania tego nie widziała. Gdy Ania skończyła, Maryla rzekła uspokajająco:

— Nie myśl już o tym. Dzisiejszy dzień minął, jutro nastąpi nowy bez pomyłek i zmartwień, jak zwykłaś mawiać. Teraz chodź na wieczerzę. Przekonasz się, czy filiżanka dobrej herbaty i ciastka ze śliwkami nie poprawią twego humoru.

— Ciastka nie uleczą chorej duszy — rzekła zrozpaczona Ania. Ale Maryla uznała to za dobry znak, że Ania powróciła do swego górnolotnego stylu.

Miły nastrój przy wieczerzy, jasne twarzyczki bliźniąt i niezrównane ciastka śliwkowe — Tadzio zjadł ich aż cztery — pomimo wszystko “uleczyły chorą duszę”. Nocy tej Ania spała świetnie, a nazajutrz, ujrzawszy świat przeistoczony, uczuła się rześka i wesoła. Miękki, puszysty śnieg padał całą noc i otulił świat całunem, który teraz, błyszcząc w chłodnych promieniach zimowego słońca, wydał się Ani zasłoną rozpostartą miłosiernie nad wszystkimi błędami i upokorzeniami przeszłości. Każdy poranek stwarza nam nowy świat! W każdy poranek zakwita nadziei kwiat! — śpiewała Ania ubierając się.

Z powodu zasp śnieżnych musiała pójść do szkoły okólną drogą. Złośliwy — jak jej się wydawało — los zrządził, że na zakręcie alei spotkała Antosia brnącego po śniegu. Doznała uczucia, jak gdyby to ona była winna wczorajszej scenie, ale ku jej niewypowiedzianemu zdumieniu Antoś uchylił czapkę, czego nie czynił nigdy przedtem, i rzekł uprzejmie:

— Jaka ciężka droga, prawda? Czy mogę pani zanieść książki?

Ania wręczyła mu je, nie będąc pewna, czy nie śni. Dalej szli już w milczeniu, lecz kiedy Ania odbierając przed szkołą książki uśmiechnęła się — nie swym zwykłym “łagodnym” uśmiechem, który przybierała specjalnie dla niego, ale z nagłym błyskiem koleżeńskiej zażyłości w oczach — Antoś odpowiedział uśmiechem... nie, raczej zaśmiał się cicho, a choć śmiech nie jest zazwyczaj uważany za oznakę szacunku, Ania poczuła, że zyskała jego szacunek, a może nawet i sympatię. Pani Linde, podczas najbliższych swych odwiedzin, potwierdziła jej przypuszczenie.

— Aniu, wygrałaś sprawę z Antosiem Pye’em, ot co! Powiada, że pomimo iż jesteś dziewczyną, jesteś coś warta. Lanie, które mu sprawiłaś, dorównało batom, jakie brał od nauczyciela.

— Nigdy się nie spodziewałam, że zdobędę go z pomocą kija — rzekła Ania smutnie, czując, że jej teorie zawiodły ją sromotnie. — Mimo to jestem pewna, że moja zasada łagodnego postępowania musi być słuszna.

— Tak, ale Pye'owie stanowią wyjątek od każdej reguły, ot co! — oświadczyła z przekonaniem pani Linde.

— Wiedziałem, że na tym się skończy — powiedział pan Harrison.

Janka zaś drwiła bezlitośnie.

XIII. ROZKOSZNA MAJÓWKA

Idąc Ścieżką Brzóz Ania spotkała Dianę dążącą ku Zielonemu Wzgórzcu. Usiadły na brzegu Źródła Nimf, gdzie delikatne paprocie rozprostowywały swe liście, niby zielone duszki budzące się ze snu.

— Szłam właśnie zaprosić cię na moje urodziny — rzekła Ania.

— Na twoje urodziny? Ależ twoje urodziny były w marcu.

— To nie z mojej winy — zaśmiała się Ania. — Jeśli moi rodzice radziliby się mnie w tej sprawie, byłabym z pewnością wybrała wiosnę. Rozkosznie musi być przyjść na świat jednocześnie z fiołkami i konwaliami — zdaje ci się wtedy, że jesteś ich mleczną siostrą. Postanowiłam przynajmniej obchodzić moje urodziny na wiosnę. Janka będzie w domu, a Priscilla przyjdzie w sobotę. We czwórkę wyruszymy do lasu na spotkanie wiosny. Tego roku żadna z nas nie widziała jej jeszcze. Napatrzymy się na nią tutaj lepiej niż gdziekolwiek indziej. Chciałabym obejrzeć polanki i odludne miejsca, zwiedzić wszystkie pola i ustronia wokół. Jestem przekonana, że znajdziemy moc pięknych zakątków, których nikt nigdy nie widział, chociaż na nie często patrzono. Zaprzyjaźnimy się z niebem, wiatrem i obłokami i przyniesiemy do domu wiosnę w sercach.

— To brzmi prześlicznie — rzekła Diana. — Ale czy w lesie nie jest jeszcze zbyt wilgotno?

— Weźmiemy kalosze. — Było to ustępstwo Ani na rzecz praktycznej strony życia. — Tylko proszę cię, przyjdź w sobotę wczesnym rankiem pomóc mi przygotować prowiant. Chcę zabrać najdelikatniejsze przysmaki, odpowiednie na pierwsze dni wiosny: paluszki, kruche ciasteczka z białym i różowym lukrem, pianki i biszkopty. Musimy, co prawda, wziąć i kanapki, choć to zupełnie nie jest poetyczne.

Sobota okazała się cudownym dniem na majówkę. Poranek był jasny, ciepły, słoneczny; figlarny wietrzyk płynął poprzez łąki i sady. Na zalanych blaskiem wzgórzach i polach rozpostarła się młodziutka, przetykana kwiatami zieleń. Nawet pan Harrison, bronujący ziemię w pobliżu swego domostwa, poczuł w swych bynajmniej nie młodzieńczych kościach czarodziejski wpływ wiosny. Nagle echo przyniosło doń dźwięczne głosy i wesoły śmiech — skrajem lasu przesunęły się cztery postacie dziewczęce z koszyczkami w rękach.

— W takim dniu, jak dzisiejszy, łatwo jest być szczęśliwą — rzekła Ania z właściwą sobie filozofią.

— Postarajmy się spędzić go tak, by pozostawił nam na zawsze rozkoszne wspomnienie. Szukamy dziś tylko piękna — na wszystko inne zamykamy oczy. “Pierzchnijcie, smutki”... Janko, myślisz o jakiejś przykrości doznanej wczoraj w szkole.

— Skąd wiesz? — zdumiała się Janka.

— Och, znam ten wyraz twarzy, obserwowałam go nieraz u ciebie. Nie myśl o tej przykrości, niechaj poczeka do poniedziałku, a jeśli nie poczeka, tym lepiej. Dziewczęta, spójrzcie na tę łąkę fiołków! Oto coś, co należy umieścić w zbiorze wspomnień. Jako osiemdziesięcioletnia staruszka, jeśli kiedykolwiek nią będę, zdołam odtworzyć w myśli ten obraz tak żywy, jak go teraz widzę. Oto pierwszy cudowny dar dzisiejszego dnia.

— Jeżeli pocałunek mógłby być rzeczą materialną, to powinien być fiołkiem — marzyła Priscilla.

Ania promieniała.

— Jakże się cieszę, Priscillo, że tę myśl wypowiedziałaś, zamiast ukryć ją w sobie. Świat byłby bardziej zajmujący, chociaż i tak jest dosyć zajmujący, gdyby ludzie szczerze wypowiadali swe myśli.

— To byłoby zbyt przykre dla wielu osób — wtrąciła Janka rozważnie.

— Tym gorzej dla nich. Czemu miewają brzydkie myśli? My dziś możemy wyjawiać wszystko, bo myślimy tylko o rzeczach pięknych. Ale oto dróżka, której nigdy dotychczas nie widziałam. Chodźmy tędy.

Dróżka była tak wąska, iż gałęzie sosen muskały twarze dziewcząt, mimo że szły gęsiego. Pod sosnami rozpościerały się poduszki aksamitnego mchu, a dalej, gdzie drzewa były rzadsze i mniejsze, zadziwiała obfitością różnorodnej zieleni.

— Jaka moc lwich paszczy! — wykrzyknęła Diana.

— Nazrywam ich wielką wiązanę, są takie śliczne.

— Skąd ta nazwa dla tak niewinnych kwiatów? — zapytała Priscilla.

— Stąd, że osoba, która je nazwała, posiadała zbyt mało lub zbyt wiele wyobraźni — rzekła Ania. — Ach, dziewczęta, spójrzcie na to!

“To” było płytką leśną sadzawką pośrodku otwartej polanki, gdzie kończyła się ścieżka. Latem miejsce to wysychało i pokrywało się lasem paproci, teraz zaś było

spokojną, lśniąca powierzchnią, okrągłą jak obręcz i przezroczystą jak kryształ. Otaczały ją pierścieniem smukłe młode brzoźki, a drobne paprocie stroiły jej brzegi.

— Jakież to piękne! — zawołała Janka.

— Zatoczmy krąg wokoło, niby leśne boginki — proponowała Ania rzucając koszyk i wyciągając ręce ku koleżankom.

Lecz taniec się nie udał, bo grunt był bagnisty i Janka wciąż gubiła kalosze.

— Nimfy leśne nie mogą nosić kaloszy — zdecydowała.

— Zanim opuścimy to miejsce, musimy mu nadać jakąś nazwę — rzekła Ania.

— Niech każda z nas poda jakiś projekt, po czym będziemy ciągnąć losy. Ty, Diano?

— Brzozowa Sadzawka — szybko wybrała Diana.

— Leśne Jezioro — rzekła Janka.

Ania, stojąca poza nimi, błagała wzrokiem Priscillę o mniej pospolitą nazwę.

— Srebrzyste Wody — rzuciła Priscilla.

Ani wybór padł na “Zwierciadło Nimf”. Nazwy te, spisane na paskach kory brzozowej ołówkiem, z którym nie rozstawała się nigdy “kierowniczka szkoły” Janka, wrzucono do kapelusza Ani. Priscilla, zamknąwszy oczy, przystąpiła do ciągnięcia.

— Leśne Jezioro — z triumfem odczytała Janka. Nazwa musiała zostać przyjęta, chociaż Ania w duszy uważała, że los spletał sadzawce złośliwego figla. Przedzierając się przez gęste podszycie, dziewczęta weszły do lasu, graniczącego z pastwiskiem Sloane’ów. Tutaj trafiły na aleję, zagłębiającą się w stary las, i postanowiły ją zwiedzić. Poszukiwania ich zostały nagrodzone mnóstwem pięknych niespodzianek. Najpierw trafiły na drogę, nad którą dzikie wiśnie, rosnące z obu stron, tworzyły sklepienie z gałęzi osypanych białym kwieciem. Dziewczęta zrzuciły kapelusze i przystroili głowy wieńcami tego czarownego kwiecia. Po chwili zagłębiły się w las świerkowy tak gęsty, iż panował tam mrok jak o zmierzchu... Ani promienia słońca, ani skrawka nieba.

— Tu mieszkają diabliki leśne. Są one bardzo złośliwe, lecz nie uczynią nam krzywdy, gdyż nie wolno im broić wiosenną porą. Właśnie jeden zerknął ku nam spoza tej starej karłowatej sosny. A czy zauważyliście tę grupkę pod wielkim, nakrapianym muchomore? Dobre duchy wybierają sobie siedziby na polanach zalanych słońcem.

— Pragnęłabym, aby rzeczywiście były tutaj wróżki — rzekła Janka. — Jak by to było cudownie móc zażądać spełnienia trzech życzeń, a chociażby tylko jednego. Jakie byłyby wasze życzenia? Ja pragnęłabym być bogatą, piękną i mądrą.

— Ja wysoką i smukłą — rzekła Diana.

— A ja sławną — wygłosiła Priscilla.

Ania pomyślała o kolorze swych włosów, lecz odrzuciła tę myśl jako zbyt egoistyczną.

— Ja życzyłabym sobie, by na świecie i w sercach ludzkich wiecznie panowała wiosna — rzekła.

— To znaczy pragnąć, aby ziemia stała się niebem — zauważyła Priscilla.

— Częścią nieba. W innych częściach byłoby lato i jesień, a nawet i zima. Myślę, że miałabym ochotę oglądać w niebie błyszczące śnieżne pola i oszronione gałęzie. A ty, Janko?

— Ja... ja nie wiem — powiedziała zakłopotana Janka.

Była to dobra dziewczyna, starała się żyć tak, jak powinna żyć osoba na jej stanowisku, wierzyła we wszystko, czego ją uczył kościół, ale nie rozmyślała nigdy o niebie z własnej woli.

— Minia May zapytywała mnie wczoraj, czy w niebie będziemy nosić nasze świąteczne sukienki — zaśmiała się Diana.

— A tyś nie potwierdziła, że będziemy?

— Ach, nie. Powiedziałam jej, że wcale nie będziemy tam myśleć o sukniach.

— O, ja przypuszczam, że będziemy... troszeczkę — odparła z powagą Ania. — W wieczności będzie dość czasu, aby móc myśleć o tym i nie zaniedbywać równocześnie ważniejszych rzeczy. Ja na przykład wierzę, że będziemy tam miały piękne suknie... szaty jest może odpowiedniejszym słowem. Chciałabym na początek, przez kilka stuleci nosić różowe... o, pewna jestem, że dużo czasu upłynęłoby, nim bym się tym znudziła. Uwielbiam różowy kolor, a nigdy nie będę go mogła nosić w tym życiu.

Za lasem droga spuszczała się w dół na słoneczną polanę ku strumykowi, przeciętemu kładką. Dalej zaś roztaczało się bogactwo zalanego słońcem lasu, gdzie listowie było zielone i świeże, powietrze — niby przezroczyste, złote wino, a na ziemi słały się drżące plamy promieni słonecznych. I znowu gaj dzikich wisien, i dolina giętkich sosenek, a wreszcie wzgórze tak strome, że dziewczęta dosięgły szczytu zadyszane. Tam oczekiwała je najrozkoszniejsza niespodzianka. Poza nimi rozciągały się pola dochodzące do "górnego drogi" z Carmody; przed nimi zaś, otoczony bukami i świerkami, widniał mały ogródek lub coś, co kiedyś było ogródkiem. Okalał go rozsypujący się mur kamienny, porośnięty mchem i trawą. Można było jeszcze

odróżnić ślady dawnych ścieżek. Przez środek ciągnął się szpaler krzaków różanych, a z jednego brzegu sznur wisien osypanych śnieżnobiałym puchem. Cały ogród tonął w morzu białych i żółtych narcyzów, wśród których gdzieniegdzie wychylały się kępki soczystej, szmaragdowej trawy.

— Ach, jakże bosko! — zawołały chórem trzy głosy. Ania, zapatrzona, milczała.

— Jakim cudem powstał ten ogród? — zapytała Priscilla zdumiona.

— Musi to być ogród Heleny Gray — wyjaśniła Diana. — Matka opowiadała nam o nim, ale nigdy go nie widziałam i nie sądziłam, żeby mógł istnieć jeszcze. Znasz tę historię, Aniu?

— Nie, chociaż nazwisko nie jest mi obce.

— Widziałas je na cmentarzu. Helena pochowana jest w topolowej alei. Znasz ten nagrobek kamienny z wyrzeźbioną na nim otwartą bramą i napisem: “Tu spoczywa Helena Gray, zmarła w dwudziestej drugiej wiosnie życia”. Obok jest grób Jana Graya, ale bez nagrobka. Dziwne, że Maryla ci o tym nie opowiadała. Ale to historia sprzed trzydziestu lat, więc wszyscy o niej zapomnieli.

— Ach, musimy ją usłyszeć! — zawołała Ania. — Usiądźmy wśród narcyzów, a Diana niechaj opowiada. Spójrzcie tylko, tysiące kwiatów rozspanych wokoło, jak gdyby kobieriec utkany ze słonecznych księżycowych promieni zaścierał ogród. Co za bajeczne odkrycie. I pomyśleć, że przez sześć lat mieszkałam stąd o milę i nie znałam tego cudu. Zaczynaj, Diano.

— Dawno temu — mówiła Diana — folwark ten należał do starego Daniela Graya, który wówczas mieszkał w dzisiejszym domu Sloane’a. Pewnej zimy jedyny syn Daniela, Jan, wyjechał do Bostonu szukać zajęcia i tam zakochał się w młodej dziewczynie, Helenie Murray. Pracowała w fabryce, ale nie cierpiała swego zawodu. Wychowana była na wsi i do wsi tęskniła. Przyjęła oświadczyzny Jana pod warunkiem, że zamieszkają w jakiejś cichej miejscowości wśród pól i lasów. Przywiózł ją więc do Avonlea. Pani Linde powiada, że ryzykował wiele żeniąc się z Amerykanką, tym bardziej iż była ona słabego zdrowia i nie miała pojęcia o gospodarstwie. Matka jednak mówi, że Helena była piękna i pełna słodczy, a Jan dosłownie całował ślady jej stóp. Stary Gray podarował synowi folwark. Jan wybudował mały domek i mieszkał w nim z Heleną przez cztery lata. Nie wychodziła nigdzie i prawie nikt jej nie odwiedzał, z wyjątkiem mojej matki i pani Linde. Jan założył jej ten ogród, którym cieszyła się jak dziecko. Nie była dobrą gospodynią, natomiast zamięłowaną ogrodniczką i kwiatom poświęcała wszystkie wolne chwile. Nagle zachorowała. Matka

moja przypuszcza, że biedaczka miała suchoty, zanim tu przybyła. Nie leżała w łóżku, ale z dnia na dzień stawała się bledsza i słabsza. Jan nie pozwolił nikomu jej doglądać, sam ją pielęgnował, a matka mówi, że był delikatny i czuły jak kobieta. Codziennie wynosił ją, otuloną w szal, do ogrodu i umieszczał na słońcu. Tam czuła się zupełnie szczęśliwa. Podobno prosiła rano i wieczór Jana, by klękał przy niej i modlił się wraz z nią, ażeby Bóg zesłał jej śmierć wśród kwiatów. Modlitwa ich została wysłuchana. Pewnego dnia Jan wyniósł ją jak zwykle do ogrodu, zerwał wszystkie rozkwitłe róże i zarzucił nimi całą jej postać. Uśmiechnęła się, przymknęła oczy i... zakończyła życie.

— Jaka piękna historia — westchnęła Ania ocierając łzy.

— A co się stało z Janem? — spytała Priscilla.

— Po śmierci Heleny sprzedał folwark panu Sloane i powrócił do Bostonu. Gdy w dziesięć lat potem umarł na obczyźnie, został przewieziony do Avonlea i pochowany obok żony.

— Nie pojmuję, jak ona mogła pragnąć mieszkać w tym kącie z dala od świata i ludzi — rzekła Janka.

— O, ja to doskonale rozumiem — odpowiedziała przejęta Ania. — Nie zgodziłabym się tak mieszkać stale, bo choć lubię lasy i pola, kocham też ludzi. Ale potrafię odczuć ten stan duszy Heleny. Była śmiertelnie znużona gwarem wielkiego miasta i tłumami obojętnych dla niej ludzi. Pragnęła uciec od tego wszystkiego do jakiejś cichej, zielonej samotni, gdzie znalazłaby spokój. Życzenia jej spełniły się, co niewielu ludziom jest dane. Przeżyła cztery piękne lata — cztery lata bezgranicznego szczęścia.

Można jej raczej zazdrościć niż litować się nad nią. I jakież to poetyczne: zasnęła snem wiecznym wśród kwiatów, żegnana słodkim uśmiechem ukochanego.

— Ona posadziła te wiśnie w ogródku. Zwierzyła się mojej mamie, że wie, iż nie doczeka ich owocu, lecz cieszy ją świadomość, iż to, co zasadziła, będzie zdobiło świat jeszcze po jej śmierci — objaśniła Diana.

— Jakże się cieszę, że znalazłyśmy tę drogę — rzekła Ania z rozjaśnioną twarzą.

— Przecież dziś moje urodziny, a ten ogród i jego historia to cudowny podarunek urodzinowy. Diano, czy matka opisywała ci, jak wyglądała Helena Gray?

— Nie, mówiła tylko, że była bardzo ładna.

— O, jak to dobrze, bo w takim razie mogę ją sobie wyobrazić, jak zechcę. Więc niechaj będzie drobna i szczupła, o ciemnych, miękkich, wijących się włosach, wielkich, piwnych oczach i bladej, zamyślanej twarzyczce.

Pozostawiwszy koszyki w ogródku, dziewczęta spędziły resztę dnia na włóczędce po przyległych lasach i polach odnajdując coraz to nowe czarowne ścieżki i ustronia. Gdy poczuły głód, zasiadły do posiłku w najpiękniejszym zakątku, nad brzegiem szemrzącego strumyka, gdzie białe brzoźki wystrzeliwały pośrodku wysokich, puszystych traw. Przygotowane rękami Ani przysmaki znikwały w mgnieniu oka, nawet niepoetyczne kanapki spotkały się z gorącym uznaniem, gdyż długa przechadzka i świeże powietrze zaostriżyły apetyty dziewcząt. Dla przyjaciółek Ania zabrała z domu lemoniadę i szklanki, sama jednak piła zimną wodę źródlaną w filizance zrobionej z kory brzozowej. Filizanka ciekła, a woda miała ziemny posmak, jak to zwykle bywa na wiosnę, lecz Ania lubiła romantyczne sytuacje.

— Czy widzicie ten poemat? — zwróciła się nagle do koleżanek.

— Gdzie? — Janka i Diana wyteńczyły wzrok, jakby spodziewały się, że zobaczą znaki runiczne na korze brzoź.

— Tam... niżej, w strumyku... ten stary omszony pień, po którym woda się sączy cienkimi niteczkami, jak gdyby czesana niewidzialnym grzebieniem, a promień słoneczny ześlizguje się niby złota strzała. O, to najcudowniejszy poemat, jaki kiedykolwiek widziałam.

— Nazwałabym to raczej obrazem — poprawiła Janka — poemat to wiersze i strofy.

— O, nie — Ania potrząsnęła stanowczo główką, przystrojoną wieńcem białego kwiecia. — Wiersze i strofy to tylko szata zewnętrzna poematu i nie są nim bardziej niż falbanki i koroneczki tobą, Janko. Prawdziwy poemat — to jego dusza, a ten piękny strzep to dusza nie napisanego poematu. Nie co dzień można zobaczyć duszę — nawet poematu.

— Chciałabym wiedzieć, jak wygląda dusza... dusza ludzka — mówiła zamyślona Priscilla.

— Jak ta światłość — odrzekła Ania wskazując na promienie słoneczne, przesiane przez koronę brzozy — tylko że ma jakiś kształt. Wyobrażam sobie, że dusze utkane są ze światła. Jedne mają różowe odblaski, inne — łagodne migotanie niczym promień księżycowy na wodzie, jeszcze inne są blade i nikłe jak mgły o brzasku.

— Czytałam kiedyś, że dusze są jak kwiaty — przypomniała sobie Priscilla.

— W takim razie twoja dusza jest żółtym narcyzem — rzekła Ania. — Diany — szkarłatną różą, a Janki — kwiatem jabłoni, słodkim i zdrowym.

— Twoja zaś białym fiołkiem alpejskim z purpurowymi żyłkami w sercu — dodała Priscilla.

Janka szepnęła Dianie, że nie może zrozumieć, o czym one rozmawiają. Czy ona, Diana, rozumie? Dziewczęta wróciły do domu przy świetle złościście zachodzącego słońca, niosąc koszyki pełne narcyzów z ogródka Heleny. Swoją wiązanekę Ania złożyła następnego dnia na jej grobie. Kaszki pogwizdywały wśród sosen, a od stawu dochodził żabi rechot. Woda w małych jeziorkach pomiędzy wzgórzami miała blask topazów i szmaragdów.

— A jednak bardzo miło spędziłyśmy czas — rzekła Diana, jak gdyby nie spodziewała się tego wyruszając na wycieczkę.

— To był naprawdę “złoty dzień” — wyraziła się Priscilla.

— I ja też jestem zachwycona lasem — przyznała się Janka.

Ania milczała. Patrząc w dal na gasnące blaski, myślała o Helenie Gray.

XIV. ZAŻEGNANE NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Pewnego wieczora Ania, wracając do domu, spotkała panią Linde, która, jak zwykle, dźwigała na swych barkach cały wór kłopotów, dotyczących się spraw kościoła i gminy.

— Właśnie wracam od Cottonów. Chciałam, by Alicja przyszła na parę dni pomóc mi w gospodarstwie — opowiadała. — Była u mnie w zeszłym tygodniu, bo chociaż powolna z niej pomocnica, ale lepsza niż żadna. Niestety, nie przyjdzie, jest chora. Mąż jej także kaszle i stęka. Umiera od lat dziesięciu i zapewne jeszcze drugie dziesięć będzie umierał. Jest to strasznie niezaradna i biedna rodzina i Bóg jeden wie, co się z nią stanie.

Pani Linde westchnęła, jak gdyby wątpiła, czy Bóg zna rozmiary tej nędzy.

— Maryla we wtorek była u okulisty, prawda? Cóż powiedział? — pytała dalej.

— Był bardzo zadowolony — odrzekła Ania z radością — twierdzi, że nastąpiła znaczna poprawa i niebezpieczeństwo utraty wzroku minęło. Nie będzie tylko mogła dużo czytać i haftować. A jakże z pani przygotowaniami do bazaru dobroczynnego?

Avonlejskie Koło Pomocy organizowało jarmark i kolację, a pani Linde była duszą tego przedsięwzięcia.

— Świetnie. Dobrze, żeś mi przypomniała. Pani Allan poradziła, by urządzić namiot w stylu staroświeckiej kuchni i wydać kolację złożoną z pasztetu, pieroga, fasoli i tym podobnych potraw. Zbieramy więc na wszystkie strony staroświeckie meble i wszelką staroświecczyznę. Pani Fletcher pożyczyła nam kilimy swojej matki, pani Boulter kilka starych foteli, a ciotka Maria swój kredens z oszklonymi drzwiami. Sądzę, że Maryla użyczy mosiężnych lichtarzy. Staramy się też wyławiać, skąd się da, staroświecką porcelanę. Pani Allan specjalnie zależy na zdobyciu granatowego chińskiego półmiska. Ale zdaje się, że nigdzie go nie ma. Może wiesz, u kogo z naszych znajomych można by go znaleźć?

— Widziałam taki u panny Józefiny Barry. Napiszę do niej z prośbą o pożyczenie go nam na tę uroczystość.

— Będę ci bardzo wdzięczna. Myślę, że kolacja odbędzie się za dwa tygodnie. Wuj Andrews przepowiada na ten czas deszcz i burze, a to, jak wiesz, jest rękojmą pięknej pogody.

Przysłowie “nikt nie jest prorokiem we własnym kraju” doskonale dawało się zastosować do wuja Andrews. Był on przedmiotem niemiłosiernych drwin, gdyż jego przepowiednie co do pogody nie sprawdzały się prawie nigdy. Pan Wright, uważany za miejscowego dowcipnisa, twierdził, że obywatele Avonlea nie mają potrzeby szukać wskazówek meteorologicznych w gazetach, wystarczy zapytać o nie wuja Andrews i oczekiwać wprost przeciwnej pogody. Nie zrażony tym bynajmniej wuj trwał przy swych prorocत्वach. Ania, wróciwszy do domu, wydobyła z kieszeni list, adresowany do Maryli.

— To zapewne list od wuja naszych bliźniąt — rzekła zaniepokojona — ciekawam też, co on pisze?

— Najprostsza rzecz otworzyć list i przeczytać — odpowiedziała Maryla trochę szorstko.

Ktoś bardziej spostrzegawczy mógłby zauważyć, że i ona była niespokojna, lecz wolałaby umrzeć niż się z tym zdradzić. Ania rozdarła kopertę i przebiegła wzrokiem nieczytelne i nieortograficzne pismo.

— Donosi nam, że nie może zabrać dzieci na wiosnę. Chorował prawie całą zimę i ślub jego został odłożony. Pyta, czy zechcemy zatrzymać je do jesieni, a wtedy postarałby się przyjechać po nie. Zatrzymamy je, prawda, Marylo?

— Nie widzę innego wyjścia — odpowiedziała Maryla trochę ponuro, chociaż w duszy czuła tajemną ulgę. — Bądź co bądź, nie mamy z nimi tyle kłopotu, co dawniej, a może przywykłyśmy już do nich. W Tadziu zaszła duża zmiana.

— Jego zachowanie jest bez wątpienia znacznie lepsze — rzekła Ania oględnie, jakby nie chcąc wyrazić swego zdania o charakterze malca.

Powróciwszy bowiem ze szkoły poprzedniego dnia, Ania nie zastała w domu Maryli, która była na posiedzeniu Koła Pomocy. Tola spała na fotelu w kuchni, Tadzio zaś w spiżarce, zapomniawszy o bożym świecie, wyjadał z wielkiego słoja sławne śliwkowe konfitury Maryli — “gościowe konfitury” — według jego określenia. Nie wolno było mu ich tknąć, toteż miał minę prawdziwego winowajcy, gdy Ania niespodziewanie stanęła w progu.

— Tadziu, czy nie wiesz, że brzydko postępujesz? Zabroniłam ci przecież dotykać czegokolwiek w spiżarce.

— Owszem, wiem — przyznał Tadzio niechętnie — ale konfitura jest strasznie pyszna, Aniu. Zajrzałem tylko do słoika, a że wyglądała tak smacznie, chciałem troszkę spróbować. Z początku wsadziłem tylko palec — Ania wydała okrzyk zgrozy —

i oblizałem go do czysta, ale konfitura była jeszcze bardziej dobra, niż myślałem, więc złapałem łyżeczkę i na całego.

Ania palnęła takie kazanie na temat “kradzieży” konfitur, że Tadzio uczuł wyrzuty sumienia i wśród powodzi łez i pocałunków przyrzekł poprawę:

— Na szczęście, w niebie będzie dość konfitur — rzekł dodając sobie otuchy.

Ania stłumiła śmiech.

— Być może — rzekła — jeśli będzie nam to potrzebne, ale skąd ci to przyszło do głowy?

— Uczyłem się w katechizmie — odparł Tadzio.

— O, nie, nie ma nic podobnego w katechizmie, Tadzio.

— A ja mówię, że jest — upierał się Tadzio — właśnie w niedzielę uczyła mnie Maryla: Dlaczego powinniśmy kochać Boga? Bo nas stwarza strzeże i odkupuje.

— Muszę pójść napić się wody — rzekła Ania pośpiesznie.

Powróciwszy, zużyła dużo czasu i trudu na wytłumaczenie Tadziovi, że opuszczenie przecinka zmieniło zupełnie sens zdania z katechizmu.*

— Tak, myślałem sobie, że to byłoby za dobrze — westchnął Tadzio z rozczarowaniem. — Zresztą, kiedy Pan Bóg miałby czas na robienie konfitur, jeżeli w niebie jest “jedno wielkie święto”? Właściwie nie wiem, czy chciałbym iść do nieba. A czy niedziele są tam także?

— Niedziele i różne inne cudowne dni, Tadzio. Każdy dzień jest jeszcze piękniejszy, niż był poprzedni — zapewniała Ania, zadowolona, że nie ma w pobliżu Maryli, którą by podobne wyjaśnienia raziły. Maryla nie pozwalała bowiem na żadne fantastyczne przeróbki tekstu Biblii. Co niedziela Tadzio i Tola uczyli się psalmu oraz jednego pytania z katechizmu i dwóch wersetów z Biblii. Tola uczyła się potulnie i recytowała jak nakręcona maszynka, nie okazując wielkiego zainteresowania ani zrozumienia; natomiast ciekawość Tadzia była pobudzona i często zadawał pytania, które kazały Maryli drzeć o jego duszę.

— Stefek Sloane powiada, że w niebie nic się nie robi, tylko spaceruje w białych sukniach i gra na harfie. On chce tam pójść dopiero, gdy będzie stary, bo może wtedy będzie mu się tam lepiej podobało. Mówi, że chodzić w sukni to okropna rzecz — i ja też tak myślę. Dlaczego mężczyźni–aniołowie nie mogą nosić spodni? Stefka to

* Strzeże — po angielsku preserves — znaczy również: konfitury. Tadzio zrozumiał więc: “stwarza konfitury”.

bardzo obchodzi, bo zrobią z niego pastora. Babka zostawiła dla niego pieniądze, ale dadzą mu je tylko wtedy, gdy będzie pastorem. Bo babka koniecznie chciała mieć taką godną osobę w rodzinie. Stefkowi jest prawie wszystko jedno, ale wolałby zostać kowalem. Już on się dosyć nadokazuje, zanim zacznie być pastorem, bo potem to nic z zabawy. Ja tam ani myślę być pastorem. Chcę być kupcem, jak pan Blair, i mieć całe skrzynki karmelków i bananów. Do takiego nieba jak twoje, Aniu, tobym jeszcze poszedł, ale żeby mi pozwolili grać na harmonijce zamiast na harfie. Jak myślisz, pozwolą?

— Myślę, że pozwolą, jeśli będziesz tego pragnął — była to cała odpowiedź, na którą Ania mogła się zdobyć, nie wybuchając śmiechem.

Tego wieczora posiedzenie K.M.A. odbywało się u Janki Andrews. Z powodu ważnych spraw na porządku dziennym wymagana była obecność wszystkich członków. K.M.A. dokonało już cudów, działalność jego znajdowała się w pełnym rozkwicie. Major Spencer dotrzymał obietnicy i wczesną wiosną wykarczował, okopał i obsiał pas należącej do niego ziemi przy drodze. Kilkunastu obywateli, jedni, aby się nie pozwolić prześcignąć Spencerowi, inni, pobudzeni do czynu przez Miłośników, poszło za jego przykładem; toteż wkrótce na miejscu dawnych nędznych zarośli, przytykających do drogi, ukazały się aksamitne pasy miękkiej murawy. Domy, przed którymi droga nie została uporządkowana, wyglądały tak zaniedbane, że ich właściciele, zawstydzeni, postanowili już na przyszłą wiosnę zabrać się do ulepszeń. Ów trójkąt na rozdrożu, w środku którego Ania urządziła kwietnik z geranium, nie napastowany przez żarłoczne krowy, z daleka przyciągał wzrok przechodniów. Toteż Miłośnicy uważali, że powodzi im się świetnie, pomimo że pan Boulter, uprzejmie zagadnięty przez starannie dobraną delegację w sprawie starej rudery na jego gruntach, odpowiedział szorstko, iż nie życzy sobie, by ktokolwiek mieszał się do jego interesów. Na tym nadzwyczajnym posiedzeniu miano napisać podanie do Komitetu Szkolnego, uprzejmie prosząc o ogrodzenie płotem gruntów szkolnych. Był również projekt przedyskutowania wniosku o zasadzenie drzew przed kościołem, o ile fundusze Koła na to pozwolą, gdyż — jak twierdziła Ania — zbieranie nowych składek byłoby bezcelowe, dopóki jaskrawy kolor Domu Ludowego żywo przypomina nieudolność ich pierwszego wystąpienia.

Zebranie odbywało się w bawialni Andrewsów i Janka właśnie wstała, ażeby postawić wniosek o wybranie komisji do zajęcia się sprawą wspomnianych drzew, gdy

do pokoju wpadła wystrojona Berta Pye. Miała ona zwyczaj spóźniać się. “Ażeby wejściem swym wywołać większe wrażenie” — mawiali złośliwi.

Tym razem wejście jej uczyniło rzeczywiście wrażenie. Z tragiczną miną zatrzymała się na środku pokoju, wzniosła ręce, przewróciła oczami i zawołała:

— Usłyszałam właśnie straszną nowinę! Pomyślcie tylko! Pan Parker wydzierzawia cały swój płót przy drodze Stowarzyszeniu Aptekarzy do malowania na nim reklam.

Po raz pierwszy w życiu Berta zrobiła wrażenie, jakiego pragnęła. Większego nie uczyniłaby nawet bomba rzucona pomiędzy spokojnych Miłośników.

— To nie może być — rzekła niepewnie Ania.

— Ja to samo powiedziałam — odparła Berta, która się świetnie bawiła tym wszystkim. — Powiedziałam, że to niemożliwe; Parker nie będzie miał odwagi uczynić tego. Ale gdy ojciec mój, spotkawszy go dziś, zapytał go o to, ten wstrętny samolub odparł, że to prawda. Jego farma przytyka do drogi z Nowych Mostów. Jakiż to straszny widok: ogłoszenia o pigułkach rycynusowych i plastrach na odciski wzdłuż drogi. Czy pojmujecie?

Miłośnicy pojmowali to aż nazbyt dobrze. Nawet ci spośród nich, którzy byli obdarzeni najmniej bujną wyobraźnią, zdawali sobie w pełni sprawę z brzydoty i niewłaściwości tego rodzaju reklam, rozlepionych na półmilowym parkanie. Wszelkie myśli o kościele i gruntach rozwiały się wobec niebezpieczeństwa. Zapomniano o zasadach parlamentarnej dysputy, zrozpaczona Ania zaniechała prowadzenie protokołu. Wszyscy mówili jednocześnie — zapanował straszny zgielk.

— Ach uspokójmy się! — błagała Ania, najbardziej podniecona ze wszystkich. — Postarajmy się zażegnać niebezpieczeństwo. — Ciekawa jestem jak — rzekła Janka z goryczą. — Znasz przecież Parkera. Ten człowiek robi wszystko dla pieniędzy. Nie posiada isierki uczuć obywatelskich ani odrobiny poczucia piękna. Perspektywa była niewesoła. Józef Parker i jego siostra nie mieli krewnych w Avonlea, nie było więc mowy o wpływach przez stosunki rodzinne. Marta Parker, niewiasta w podeszłym wieku, ostro krytykowała młodzież w ogóle, a Miłośników w szczególności. Józef Parker był jowialnym jegomościem o tak gładkich manierach, że należało się dziwić dlaczego posiada niewielu przyjaciół. Brak jego popularności tłumaczył się może tym, że zbyt często szczęściło mu się w interesach. Uchodził za człowieka w gruncie rzeczy twardego, który nie dba o żadne zasady.

— Czy nikt nie ma na niego wpływu? — spytała Ania z rozpaczą. — Odwiedza czasem Luizę Spencer w Białych Piaskach — podała Karola Sloane — zwróćmy się do niej o pośrednictwo. — Nic z tego — zawyrokował Gilbert — Znam dobrze Luizę Spencer. Ona nie wierzy w żadne wiejskie koła miłośników, wierzy tylko w dolary i centy. Gotowa jeszcze pochwalić jego zamiary. — Jedyne rady wybrać delegację, która się uda do niego z protestem — namawiała Julia Bell. — Trzeba posłać dziewczęta, bo dla chłopców będzie niegrzeczny. Ale ja nie pójdę, mnie proszę nie wybierać. — Niech idzie Ania sama jedna — wtrącił Oliver Sloane. — Jeśli kiedykolwiek potrafi przekonać Parkera, to tylko ona. Ania zaprotestowała. Chętnie pójdzie i będzie miała przemowę, ale musi jej ktoś towarzyszyć jako „duchowa podpora”. Wobec tego Diana i Janka zostały pasowane na „duchowe podpory” i zebrani rozeszli się, brzęcząc jak pszczoły wylatujące z ula. Ania była tak zgnębiona, że nie mogła zasnąć do rana, a gdy wreszcie sen ją zmorzył, śniła, że Komitet kazał otoczyć szkołę płotem, na którym widniał napis: „Używajcie niezawodnego środka Purgenu”. Nazajutrz rano delegacja udała się do pana Parkera. Ania ze swadą zbijała jego nikczemny projekt, Janka zaś i Diana dzielnie „podtrzymywały ją duchowo”. Parker był słodki i uprzejmy, powiedział parę komplementów o wdzięcznych kwiatach wiosennych; bardzo żałował, że musi odmówić tak czarującym młodym osobom, ale w tych ciężkich czasach nie wolno powodować się sentymentami.

— Przyrzeknę wam co innego — rzekł z porozumiewawczym mrugnięciem jasnych, okrągłych oczu. — Powiem agentowi, żeby używał tylko ładnych, żywych kolorów: żółtego, czerwonego. Kolor niebieski musi być wyłączony.

Zwyciężona delegacja powróciła do domu, używając w myśli wyrażen nie nadających się do powtórzenia.

— Uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Resztę musimy zdać na łaskę Opatrzności — powiedziała Janka, nieświadomie naśladowując ton i sposób wyrażania się pani Linde.

— Czy też pan Allan nie mógłby na niego wpłynąć? — zastanawiała się Diana.

Ania potrząsnęła przecząco głową.

— Nie mamy prawa trudzić pana Allana, szczególnie teraz, gdy jego maleństwo jest chore. Parker wyśliźnie mu się równie zrecznie jak nam. Ostatnio zaczął co prawda bardzo regularnie uczęszczać do kościoła, ale czyni to tylko przez wzgląd na religijność ojca Luizy Spencer. Parker jest jedynym mieszkańcem Avonlea, któremu

przyszłoby do głowy wynajmowanie płotów. Nawet tacy skąpcy jak pan Boulter i Wawrzyniec White nie poniżyliby się do tego stopnia. Zanadto dbają o opinię ogółu.

Opinia ogółu potępiła, oczywiście, Parkera, gdy wiadomość o jego postępowaniu rozniosła się po Avonlea. Ale to nie zmieniło postaci rzeczy. Parker pozostał nieugięty. Miłośnicy zaś starali się pogodzić z myślą, że najładniejsza część drogi do Nowych Mostów zostanie zeszpecona przez ogłoszenia aptekarskie. Tymczasem na następnym posiedzeniu K.M.A. Ania, wezwana przez prezesa do zdania sprawy z czynności delegacji, najspokojniej oświadczyła, jakoby pan Parker polecił poinformować Koło, iż płotu swego nie wynajmie Stowarzyszeniu Aptekarzy. Janka i Diana nie wierzyły własnym uszom. Zwyczaje parlamentarne, surowo przestrzegane w K.M.A., nie pozwoliły im bezzwłocznie zaspokoić ciekawości. Lecz po skończeniu posiedzenia wszyscy otoczyli Anię, żądając wyjaśnień. Ania jednak nie powiedziała nic ponadto, że pan Parker, spotkawszy ją poprzedniego wieczora na drodze, oświadczył, iż w myśl życzeń K.M.A. postanowił odstąpić od swego zamiaru. Była to szczerza prawda. Lecz kiedy Janka Andrews w drodze powrotnej do domu zwierzyła się Oliverowi Sloane ze swego głębokiego przekonania, że w tajemniczej zmianie decyzji Parkera kryło się coś więcej niż to, co wyznała Ania — mówiła także

prawdę. Poprzedniego wieczora Ania odwiedziła babkę Jasia Irvinga i wracała do domu skróconą drogą, wiodącą z początku przez nisko położone pola nadbrzeżne, następnie przez las bukowy i małą ścieżynę, która łączyła się z szosą w pobliżu Jeziora Lśniących Wód, nazywanego przez ludzi o niezbyt bujnej wyobraźni sadzawką Barrych. W tym właśnie miejscu stały przy drodze dwa kabriolety. W jednym siedział Parker, w drugim Corcoran, mieszkaniec Nowych Mostów, o którym pani Linde ze znaczącą miną powiedziałaby, iż nigdy nie dowiedziono mu, że postąpił nieuczciwie. Był on agentem towarzystwa sprzedaży narzędzi rolniczych i wybitną osobistością w sprawach politycznych. Zazwyczaj maczał palce — niektórzy mówili, że i całą rękę — w każdym politycznym bigosie, który warzono. Ponieważ zaś Kanada znajdowała się w przededniu powszechnych wyborów, Corcoran był od paru tygodni bardzo czynny w werbowaniu stronników dla kandydata swojej partii. Właśnie gdy Ania wychodziła na drogę, spod zwieszających się gałęzi bukowych doszły ją słowa Corcorana:

— Jeśli będzie pan głosował za Amesburym... hm. Mam pański weksel na bronę kupioną przez pana na wiosnę. Sądzę, że rad by go pan mieć z powrotem. Co?

— N... no tak — przeciągał wyrazy Parker — jeśli pan tak stawia kwestię... zgodzę się chyba. W dzisiejszych ciężkich czasach należy dbać o pieniądze.

W tejże chwili obaj spostrzegli Anię i momentalnie przerwali rozmowę. Ania obojętnie skinęła głową i szła dalej z nieco wyżej niż zazwyczaj wzniesioną bródką, ale Parker zatrzymał ją.

— Może cię podwieźć, Aniu? — zapytał żywo.

— Nie, dziękuję — odparła Ania uprzejmie, lecz z taką kłującą pogardą w głosie, że nawet niezbyt wrażliwy Parker poczuł się dotknięty. Poczerwieniał i gniewnie ściągnął lejce. Ale w następnej chwili już się opamiętał. Spojrzał niechętnie na Anię, która oddalała się spokojnie, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Czyżby słyszała niedwuznaczną propozycję Corcorana i jego własną, aż nazbyt wyraźną odpowiedź? Przeklęty Corcoran! Że też nie potrafi wyrażać się ostrożniej! Dobrze go urządził! I przekłete rudowłose nauczycielki, które wyskakują z lasów bukowych, gdzie nie wiadomo po co się włóczą. Parker, który mierzył wszystkich własną miarką — skutkiem tego nieraz się mylił — doszedł do przekonania, że jeśli Ania rozmowę słyszała, to opowiadać będzie o jego sprzedajności na prawo i lewo. Co prawda, Parker, jakeśmy to już widzieli, nie bardzo dbał o opinię ogółu, ale zostać uznanym za sprzedawczyka i dla niego byłoby straszne. A jeśliby ta wiadomość doszła kiedykolwiek uszu starego Spencera, żegnaj na zawsze, nadziejo zdobycia Luizy wraz z widokami bogatego dziedzictwa po majątnym farmerze! Już i tak szły słuchy, że Spencer krzywo nań spogląda, nie należało ryzykować więcej.

— Hm... hm... Aniu, chciałem się z tobą rozmówić w sprawie, o której dyskutowaliśmy ostatnio. Postanowiłem nie wynajmować płotu Stowarzyszeniu Aptekarzy. Wasze Koło zasługuje na poparcie.

Ania odtajała odrobinę.

— Dziękuję panu — rzekła.

— I... i... nie wspominaj nikomu o tej mojej pogawędce z Corcoranem.

“Świat składa się z różnych typów ludzkich, jak mówiono mi nieraz, ale bez niektórych naprawdę by się obeszło — rozmyślała Ania tego wieczora w swoim pokoiku. — W żadnym razie nie rozgłosiłabym tej wstrętnej rozmowy, więc sumienie moje jest czyste w tym punkcie. Doprawdy nie wiem, czemu zawdzięczamy taki obrót sprawy. Ja nic nie zrobiłam, a trudno przypuszczać, żeby Opatrzność używała za narzędzie do swoich celów takich ludzi jak Parker i Corcoran”.

XV. POCZĄTEK WAKACJI

W cichy złocisty wieczór, kiedy wietrzyk tajemniczo szemrał wśród świerków otaczających dziedziniec, a cienie wydłużały się leniwie na skraju lasu, Ania, zaryglowawszy drzwi szkoły, schowała klucz do kieszeni. Westchnęła z zadowoleniem: rok szkolny się zakończył. Komitet Szkolny odnowił z nią umowę na rok następny, nie szczędząc przy tej sposobności serdecznych wyrazów uznania. Tylko pan Andrews zwrócił jej uwagę, że powinna częściej używać różgi. I oto uśmiechały się do niej zachęcająco dwa miesiące dobrze zasłużonego wypoczynku. Schodząc ze wzgórza z koszykiem kwiatów w ręce, Ania czuła zadowolenie ze świata i z siebie. Od chwili ukazania się pierwszych fiołków nie zaniedbywała nigdy swej cotygodniowej pielgrzymki do grobu Mateusza. Wszyscy w Avonlea, z wyjątkiem Maryli, zapomnieli już o cichym, nieśmiałym Mateuszu Cuthbercie, lecz w sercu Ani obraz jego żył i miał żyć zawsze. Pamiętała ze czcią o człowieku, który pierwszy otoczył ją miłością, jakiej jej osamotnione dzieciństwo tak gorąco pragnęło. U podnóża pagórka w cieniu świerków siedział na płocie mały chłopczyk o wielkich, marzących oczach i ślicznej inteligentnej twarzyczce. Zsunął się i z uśmiechem przypadł do Ani, lecz na policzkach jego były ślady łez.

— Czekałem tutaj, bo wiedziałem, że pani z pewnością pójdzie na cmentarz — rzekł wsuwając swą rączkę w jej dłoń. — I ja tam idę. Zanoszę od babuni tę wiązanekę geranium na grób dziadziusia Irvinga. A te białe różyczki położę obok dla mojej matuchny, bo przecież nie mogę ich zanieść na jej mogiłę. Ale i tak dowie się o nich, prawda?

— O, z pewnością, Jasiu.

— Wie pani, dzisiaj upływają trzy lata od dnia jej śmierci. To strasznie, strasznie długo, ale boli tak samo jak wtedy... i brak mi jej też tak jak wtedy. Nieraz zdaje mi się, że nie wytrzymam bez niej dłużej.

— Głos dziecka załamał się, a usteczka zadrżały. Pochylił główkę nad kwiatami w nadziei, że nauczycielka nie zauważy łez w jego oczach.

— A jednak — rzekła Ania bardzo łagodnie — nie chciałbyś nie odczuwać tego bólu; nawet gdybyś mógł, nie chciałbyś zapomnieć swojej matuchny, Jasiu.

— Za nic w świecie! Tak właśnie czuję. Pani mnie doskonale rozumie. Nikt inny nie rozumie mnie tak dobrze, nawet babunia, chociaż jest dla mnie bardzo dobra. I

ojciec mnie rozumiał, ale nie mogłem z nim długo o mamusi rozmawiać, bo natychmiast stawał się smutny. Gdy zakrywał twarz rękami, od razu wiedziałem, że trzeba przestać mówić. Biedny ojciec. Strasznie jest samotny beze mnie. W domu mamy teraz tylko gospodynię, a ojciec uważa, że gospodynie nie umieją wychowywać małych chłopców. Tym bardziej że ojciec tak często wyjeżdża za interesami. Babunie lepiej się na tym znają, prawie tak jak matki. Kiedyś, gdy będę dorosły, wrócę do ojca i nigdy się już nie rozstaniemy.

Jaś tyle już opowiadał Ani o swoich rodzicach, że miała wrażenie, iż to byli jej starzy znajomi. Wyobrażała sobie matkę jego jako bardzo podobną z charakteru i usposobienia do malca, ojca zaś jako człowieka zamkniętego w sobie, który starannie ukrywał przed światem swą głęboką, wrażliwą duszę.

— Ojca trudno poznać — zwierzał jej się Jaś pewnego razu. — Nie znałem go zupełnie, zanim matuchna umarła. Ale każdy, kto go pozna, musi się nim zachwycić. Najwięcej na świecie kocham jego, potem babunię, a potem panią. Kochałbym panią zaraz po ojcu, gdyby nie było moim obowiązkiem kochać bardziej babunię, która się dla mnie tak poświęca, prawda? Chciałbym, żeby babunia nie zabierała światła z mego pokoju, dopóki nie usnę. Ale babunia mówi, że nie wolno być tchórzem, i zabiera lampę, skoro tylko mnie ułoży. Ja się nie boję, ale wolałbym mieć światło. Matuchna zawsze siedziała koło mego łóżka i trzymała mnie za rękę, dopóki mnie sen nie zmorzył. Matuchna mnie psuła, matki często psują dzieci, pani wie?

Nie, Ania nie wiedziała o tym z własnego doświadczenia, ale mogła to sobie wyobrazić. Ze smutkiem myślała o swej “matuchnie”, która uważała ją za “cudnie piękną” i dawno już została pochowana obok swego młodziutkiego małżonka na dalekim, samotnym cmentarzu. Nie mogła pamiętać swej matki i zazdrościła Jasiowi jego wspomnień.

— W przyszłym tygodniu są moje urodziny — rzekł chłopczyk, schodząc wraz z Anią z pagórka, skąpanego w blasku zachodzącego słońca. — Ojciec pisał, że przysła mi coś, co mi sprawi największą przyjemność w świecie. Myślę, że to już nadeszło, bo babunia zamknęła na klucz biblioteczkę, czego nigdy dawniej nie robiła. A kiedy zapytałem dlaczego, odrzekła z tajemniczą miną, że mali chłopcy nie powinni być ciekawi. Urodziny to bardzo miła rzecz, prawda? Kończę lat jedenaście, ale podobno nie wyglądam na tyle. Babunia mówi, że jestem taki mały, bo nie jem dosyć owsianki. Staram się jeść dużo, ale babunia daje takie wielkie porcje! Od czasu gdy mi pani poradziła, żebym się modlił do Boga o pomoc w trudnych sprawach, modliłem się co

wieczór. Prosiłem Boga o siły, żebym mógł zjeść rano całą porcję owsianki. Ale nigdy mi się to nie udało. Nie wiem, czy mam za mało łaski u Pana Boga, czy też dostaję za duże porcje? Babunia mówi, że ojca wychowała na owsiance, a trzeba widzieć, jaki jest barczysty. Ja jednak myślę, że od tej owsianki rozchoruję się kiedyś i umrę — zakończył w zamyśleniu i westchnął.

Ania pozwoliła sobie na uśmiech, ponieważ Jaś na nią nie patrzył. Całe Avonlea wiedziało, że pani Irving stosuje w wychowaniu swego wnuka dobre starodawne przepisy o zdrowiu fizycznym i moralnym.

— Na pewno nie, drogi chłopcze! — zawołała wesoło. — A co słyszać z twoim Ludkiem? Czy starszy Żeglarz sprawuje się wciąż dobrze?

— Musi — rzekł Jaś z naciskiem. — Wie, że w przeciwnym razie nie będę się z nim zadawał. Ale myślę, że w gruncie rzeczy to skończony łobuz.

— A Nora dowiedziała się już o Złotej Pani?

— Nie, ale domyśla się. Jestem prawie pewny, że mnie śledziła, gdy ostatni raz szedłem do pieczary. Mnie nie zależy na tym, żeby nie wiedziała. Tylko ze względu na nią to ukrywam, żeby nie ranić jej uczuć. Ale jeśli ona sama koniecznie chce mieć serce zranione, to już trudno.

— A gdybym ja któregoś wieczora wybrała się z tobą nad morze, czy mogłabym poznać twój Skalny Ludek?

Jaś poważnie potrząsnął głową.

— Nie, mojego Ludku nie mogłaby pani zobaczyć. Tylko ja go mogę widzieć. Ale pani może widzieć swój własny Ludek. Czyż to nie cudowne, że my oboje rozumiemy takie rzeczy? — dodał, ściskając jej dłoń po koleżeńsku. — Czyż to nie cudowne, że jesteśmy tacy?

— Cudowne — zgodziła się Ania, zatapiając spojrzenie swych szarych, rozjaśnionych oczu w jego szafirowych źrenicach.

Oboje znali drogę do czarownej krainy marzeń, gdzie w dolinach wiecznie kwitną róże szczęścia, obłoki nie zasnuwają pogodnego nieba, melodyjne dzwony nigdy nie brzmią fałszywie, a pokrewnych dusz jest bez liku. Znajomość geografii tego kraju...leżącego “na wschód od słońca, na zachód od księżyca”... jest bezcenną wiedzą, której nabyć nie można na żadnym targowisku świata. Musi to być dar dobrych wróżek złożony człowiekowi w dniu jego przyjścia na świat, dar, którego życie nie zdoła zniszczyć ani odebrać. Lepiej jest go posiadać i mieszkać na poddaszu niż żyć w pałacu, będąc pozbawionym tego skarbu.

Cmentarz Avonlea był jeszcze wciąż, jak za dawnych czasów pustkowiem porośniętym trawą. Ale Miłośnicy pamiętali o nim: na ostatnim zebraniu Koła Priscilla Grant odczytała referat o cmentarzach. Miłośnicy zamierzali w przyszłości zastąpić szary, omszony płot żelaznymi sztachetami, skosić trawę, a walące się pomniki podeprzeć i odnowić. Ania złożyła przyniesione kwiaty na grobie Mateusza, potem zaś udała się do ocienionego topolami zakątka, gdzie spoczywała Helena Gray. Od czasu urodzinowej majówki zawsze, gdy była na cmentarzu, zachodziła tam. Poprzedniego wieczora odwiedziła opuszczony ogródek Heleny i stamtąd przyniosła białe róże, sadzone niegdyś jej ręką.

— Myślę, kochanie, że wolisz je od wszystkich innych — szepnęła.

Nagle jakiś cień padł na trawę. Obejrzawszy się spostrzegła panią Allan i razem wróciły do domu. Pani Allan nie była już owym młodziutkim stworzeniem, które przybyło do Avonlea przed pięciu laty. Twarz jej straciła nieco ze swej świeżości, a parę delikatnych bruzd koło oczu i przy ustach zdradzało przebyte cierpienia. Mogiłka jej córeczki na tymże cmentarzu była niewątpliwie przyczyną niejednej z nich, kilka zaś ostatnich zjawiało się podczas tylko co przebytej ciężkiej choroby jej synka. Ale dołączki pastorowej były równie miłe jak dawniej, oczy — jasne i czyste, a utraconą piękność dziewczęcą wynagrodził wyraz macierzyńskiej czułości i siły charakteru.

— Cieszysz się swymi wakacjami, Aniu? — rzekła, gdy opuściły cmentarz

Ania skinęła głową.

— Bardzo. Gdy to słowo zjawia się na mych wargach, wydaje mi się, że jem słodczyce. Jestem pewna, że lato będzie rozkoszne. Przede wszystkim pani Morgan przyjedzie w lipcu do Kanady i Priscilla przywiezie ją do nas. Na samą myśl o tym czuję jeden z moich “dawnych” dreszczów.

— I ja myślę, że mile spędzisz lato. Pracowałeś ciężko cały ubiegły rok, ale miałaś też świetne rezultaty.

— O, niezupełnie. Często nie mogłam osiągnąć swego celu. Nie wszystko, co sobie postanowiłam, przystępując do pracy na jesieni, udało mi się przeprowadzić. Nie dorosłam do moich ideałów.

— To się niejednemu z nas zdarza — odpowiedziała pani Allan z westchnieniem — ale wiesz przecież: “niski cel, nie zaś niepowodzenie jest przestępstwem”. Musimy dążyć do ideału, choćbyśmy nigdy nie mieli go osiągnąć. Życie bez ideału byłoby marną wegetacją, z nim zaś jest piękne i wzniosłe. Wytrwaj przy swoim ideale, Aniu.

— Postaram się. Ale zarzuciłam już niejedną z moich teorii — odpowiedziała Ania z bladym uśmiechem. — Zabierając się do pracy nauczycielskiej, przygotowałam sobie najpiękniejszy ich zbiór. Lecz rozwiewały się jedna za drugą.

— Nawet teoria o karze cielesnej — przekomarzała się pastorowa.

Ania spłonęła rumieńcem.

— Nigdy nie wybaczę sobie tej awantury z Antosiem.

— Cóż znowu, kochanie, zasłużył na to. I dobrze mu to zrobiło. Od tamtego czasu nie miałaś już z nim kłopotu, on zaś uznał, że dorównujesz nauczycielowi. Z chwilą gdy linia wybiła mu z głowy przekonanie, że dziewczyna to nic dobrego, łagodność twoja zdobyła jego sympatię.

— Może i zasłużył na karę, ale nie o to chodzi. Nie czyniłabym sobie wyrzutów, gdybym ze spokojem i rozumą zdecydowała, że należy go zbić. Muszę jednak przyznać, że uniosłam się gniewem i dlatego go wybiłam. Nie zastanawiałam się, czy postępuję słusznie. Gdyby nawet był niewinny, nie potrafiłabym się pohamować. I to mnie właśnie upokarza.

— Nie myśl o tym, Aniu. Wszyscy popełniamy błędy. Powinniśmy ich żałować i uczyć się na nich, lecz nie wlec ich za sobą w przyszłość... Ale oto Gilbert Blythe na rowerze. Zapewne wraca na wakacje do domu. Jakże wasze studia?

— Dość dobrze. Dziś wieczór pożegnamy Wergiliusza. Pozostało nam wszystkiego dwadzieścia wierszy do końca; potem nie zajrzemy do książki aż do września.

— Czy myślisz, że uda ci się wstąpić na uniwersytet?

— Nie wiem — Ania marząco patrzyła w dal na opałowy horyzont. — Wzrok Maryli nigdy się już nie poprawi, chociaż i tak jesteśmy wdzięczne Niebu, że się nie pogorszył. A mamy przecież pod opieką bliźnięta. Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby ich wuj zabrał je kiedykolwiek. Być może, że uniwersytet znajduje się poza zakrętem drogi mego życia, ale zakrętu jeszcze nie dosięgłam. Boję się myśleć o nim wiele, aby nie doznać zawodu.

— I ja pragnęłabym, abyś się dostała na uniwersytet, ale jeśli ci się to nie uda, nie martw się zbytnio. Sami stwarzamy sobie życie, gdziekolwiek jesteśmy. Uniwersytet może nam w tym tylko pomóc. Życie nasze bywa bogate lub ubogie zależnie od tego, co w nie wkładamy, a nie od tego, co zeń czerpiemy. Może być bogate i pełne zarówno tutaj, jak i na szerokim świecie, jeśli tylko potrafimy otworzyć nasze dusze na przyjęcie jego skarbów.

— Zdaje mi się, że rozumiem panią — rzekła Ania w zamyśleniu — wiem, że za tak wiele winnam być wdzięczna... O, za bardzo wiele, za moją pracę, za Jasia Irvinga, za te bliźnięta i za moich przyjaciół... Przede wszystkim za przyjaźń, bo ona tak upiększa życie.

— Serdeczna przyjaźń jest rzeczywiście bardzo pomocna w życiu. Powinniśmy sztandar jej trzymać wysoko i starać się nie zbrukać go nigdy brakiem szczerości i prawdy. Często jednak przyjaźnią nazywa się zwykłą poufałość nie mającą nic wspólnego z tamtym wzniosłym uczuciem.

— Tak, ma pani słuszość. Berta Pye i Julia Beli uważają się za przyjaciółki, nie rozłączają się prawie nigdy, a jednak Berta obmawia Julię za jej plecami i taka jest zadowolona, gdy ktoś Julię krytykuje, że każdy posądza ją o zazdrość. Uważam, iż hańbą jest nazywać podobne uczucia przyjaźnią. W przyjaciółach naszych powinniśmy szukać tego, co w nich jest najlepsze, i obdarzać ich tym, co w nas jest najlepsze. Wtedy przyjaźń będzie największym skarbem życia.

— Przyjaźń jest bardzo piękna — uśmiechnęła się pani Allan — ale kiedyś... — urwała.

Delikatna, jasna twarzyczka o szczerych oczach miała więcej wyrazu dziecka niż kobiety. Serce Ani śniło dotychczas tylko o przyjaźni i pastorowa nie chciała ścierać pyłu słodkiej nieświadomości z kwiatu. Zdanie swoje dokończy kiedyś w przyszłości.

XVI. OCZEKIWANIE NA SŁAWNĄ POWIEŚCIOPISARKĘ

Aniu — prosił Tadzio natarczywie, wspinając się na błyszczącą, pokrytą skórą sofę kuchenną, na której siedziała Ania czytając list. — Jestem strasznie głodny, nie masz pojęcia, jak strasznie.

— Zaraz dam ci kawałek chleba z masłem — odrzekła Ania, daleka myślami od rzeczywistości.

List, który czytała, zawierał widocznie jakieś niezwykle nowiny, gdyż policzki jej były pąsowe jak róże na krzaku pod oknem, a oczy promienne, jak tylko jej oczy być mogły.

— Ale ja nie jestem głodny na chleb z masłem, jestem głodny na placek ze śliwkami — mówił niezadowolony Tadzio.

— O! — zaśmiała się Ania, odkładając list i obejmując pieściotliwie chłopca. — Taki głód można łatwo wytrzymać. Wiesz przecież, że pomiędzy posiłkami Maryla nie pozwala wam jeść nic innego prócz chleba z masłem.

— Więc nasmaruj mi kawałek... proszę. Tadzio wreszcie nauczył się mówić “proszę”, ale dołączał ten wyraz dopiero po dłuższym namyśle.

Z uznaniem spojrzał na okazałą kromkę, którą mu Ania podała.

— Ty zawsze nałożysz masła, aż miło, Aniu. Maryla ledwo poskrobie. Wsuwa się o wiele łatwiej, gdy jest dużo masła.

Kromka “wsunęła się” bardzo łatwo, sądząc z jej prędkiego zniknięcia. Tadzio nagle wywinął koziółka, usiadł i rzekł stanowczym tonem:

— Aniu, zdecydowałem się już co do nieba. Nie chce tam pójść.

— Dlaczego? — Spytała Ania poważnie.

— Bo niebo jest na poddaszu Szymona Fletchera, a ja go nie cierpię.

— Niebo? Na poddaszu Fletchera? — Ania była zbyt zdumiona ażeby się roześmiać. — Skąd takie niemądre myśli?

— Emilek Boulter powiedział, że tak jest. On wszystko potrafi wytłumaczyć. Jego matka jest siostrą pani Fletcher, więc zabrała go na pogrzeb Janki Fletcher. Pastor powiedział, że Janka poszła do nieba, ale Emilek widział, że leży w trumnie. On myśli, że później zanieśli ją na strych. Gdy było już po wszystkim, Emilek z matką poszli na górę po kapelusz i Emilek zapytał: “Gdzie jest to niebo, do którego Janka poszła?” Wtedy matka wskazała na sufit i odpowiedziała: “Tam na górze”. A ponieważ

Emilek wiedział, że nad sufitem jest tylko strych, więc od razu domyślił się wszystkiego. Od tej chwili strasznie się boi odwiedzać wuja Szymona.

Ania wzięła Tadzia na kolana i starała się wybić mu z głowy te brednie. Nadawała się do tego daleko lepiej niż Maryla, gdyż pamiętała swe własne dzieciństwo i łatwo umiała się wżyć w dziwaczne pomysły, jakie siedmioletni malcy miewają czasem na temat spraw, które osobom dorosłym wydają się proste i zrozumiałe. Zaledwie udało się jej wytłumaczyć Tadziewi, że niebo nie jest na strychu Fletcherów, gdy do pokoju weszła Maryla. Wracła z ogrodu, gdzie razem z Tolą zbierały fasolę. Tola, pracowite dziewczątko, była najszcześliwsza, gdy mogła pomagać w różnych zajęciach domowych, dostępnych dla jej drobnych rączek. Karmiła kurczęta, zbierała wióry, wycierała talerze i załatwiała wiele sprawunków. Była czysta, sumienna i uważna. Nigdy nie trzeba jej było powtarzać dwukrotnie tego samego, zawsze pamiętała o swoich niewielkich obowiązkach. Tadzio natomiast był roztrzepany i nieobowiązkowy, lecz miał wrodzony dar zdobywania sympatii i zarówno Maryla, jak Ania kochały go więcej niż Tolę. Podczas gdy Tola z przejęciem łuskała fasolę, a Tadzio przygotowywał ze strączków łódki, dodając im maszty z zapalek, a żagle z papieru, Ania opowiadała Maryli treść tylko co otrzymanego listu.

— Wyobraź sobie, Marylo, dostałam list od Priscilli. Píše, że pani Morgan jest w Kanadzie i że jeśli w czwartek będzie pogoda, przyjadą koło dwunastej do Avonlea. Popołudnie spędzą z nami, a wieczorem wrócą do hotelu w Białych Piaskach, gdzie mieszkają jacyś znajomi pani Morgan. O, Marylo! Trudno mi uwierzyć, że nie śnię.

— Myślę, że pani Morgan nie różni się od innych ludzi — rzekła Maryla sucho, pomimo, że sama odczuwała pewne wzruszenie. Pani Morgan była sławną powieściopisarką, a odwiedziny jej uważano za rzadki zaszczyt. — W takim razie będą u nas na obiedzie?

— Rozumie się. Ale, Marylo, czy wolno mi będzie samej wszystko przyrządzić? Chciałabym móc coś uczynić dla autorki "Ogrodu róż", chociażby obiad dla niej ugotować. Nie będziesz się gniewała, prawda?

— Broń Boże. Nie zależy mi tak bardzo na prażeniu się w gorącej kuchni podczas upału lipcowego i nie wezmę ci za złe, jeżeli zastąpisz mnie w tej pracy.

— Ach, dzięki! — wykrzyknęła Ania, jak gdyby Maryla obdarzyła ją najwyższą łaską. — Jeszcze dzisiaj ułożę menu.

— Tylko nie wysilaj się na nadzwyczajne potrawy — ostrzegała Maryla, trochę zaniepokojona wyszukanie brzmiącym wyrazem "menu" — mogą się nie udać.

— Nie mam wcale zamiaru przygotowywać nic innego, jak tylko to, co zwykle podajemy z okazji jakiejś uroczystości zapewniała Ania. — Byłoby to przesadą. A chociaż wiem, że nie mam tyle rozwagi, ile siedemnastoletnia dziewczyna, w dodatku nauczycielka, powinna posiadać, nie jestem tak głupia. Ale pragnę, żeby przyjęcie było możliwie wykwintne i smaczne... Tadziu!ku, nie rzucaj strączków na schody, może się ktoś pośliznąć... Na wstępie podamy jakąś lekką zupę, cebulowa udaje mi się przecież zawsze świetnie. A potem pieczone kurczęta. Przeznaczę na to dwa białe koguciki. Były moimi ulubieńcami od chwili, gdy szara kura je wysiedziała — takie dwie śliczne kule z żółtego puchu. Kiedyś trzeba je przecież poświęcić, a z pewnością trudno będzie u nas o większą uroczystość. Ale zabić ich nie mogę, nawet dla pani Morgan tego nie uczynię. Poproszę Janka Cartera, by mnie w tym wyręczył.

— Ja mogę je zabić — zaofiarował się Tadzio z zapalem. — Potrafię na pewno, tylko niech je Maryla trzyma mocno za nogi.

— Z jarzyn przygotuję: groszek, puree z kartofli i sałatę — wyliczała Ania — na deser torcik cytrynowy z bitą śmietaną, a wreszcie ser, kawę, kruche ciasteczka. Jutro upiekę tort i ciasteczka oraz uprasuję moją białą muślinową sukienkę. Dziś jeszcze powiem Dianie, żeby uprała swoją. Bohaterki pani Morgan są prawie zawsze białe ubrane. Toteż postanowiłyśmy z Dianą, że przy pierwszym spotkaniu ze sławną powieściopisarką przystroimy się w białe muśliny. Będzie to pewnego rodzaju hołd dla niej, prawda, Marylo?... Tadziu!ku, nie wtykaj groszku w szpary podłogi... Zaprosimy też na obiad państwa Allan i pannę Stacy. Oni tak pragnęli ją poznać. Co za szczęśliwy traf, że panna Stacy bawi obecnie w Avonlea... Tadziu kochany, nie puszczaj strączków na wodę w wiadrze, idź z tym do korytka... Mam nadzieję, że w czwartek będzie piękna pogoda, bo gdy wuj Andrews był wczoraj u pana Harrisona, przepowiadał deszcz na cały tydzień.

— To jest rzeczywiście dobry znak — przyznała Maryla.

Wieczorem Ania pobiegła do Diany podzielić się z nią radosną nowiną. Diana przejęła się bardzo tą wiadomością. Siedząc pod wierzbą w ogrodzie Barrych, dziewczęta rozprawiały gorąco.

— Aniu, czy nie mogłabym ci pomóc w przygotowywaniu obiadu? Wiesz, jak dobrze przyrządzam sałatę.

— I owszem — odpowiedziała altruistycznie Ania. — Chciałabym też, żebyś razem ze mną przystroiła od— świetnie mieszkanie. Pragnę przeistoczyć naszą bawialnię w altanę kwiatową, a stół do obiadu przybrać polnymi różyczkami. Mam

nadzieję, że przygotowania pójdą gładko. Bohaterkom pani Morgan wszystko idzie jak z płatka, są zawsze rozważnymi i dobrymi gospodyniami. Wydaje się, że takimi przychodzą już na świat. Czy pamiętasz Gertrudę, która mając lat osiem, prowadziła całe gospodarstwo swego ojca, wdowca? Ja w tym wieku nie umiałam nic zupełnie, co najwyżej piastować dzieci. Pani Morgan zna widać doskonale dziewczęta, skoro tak często o nich pisze, więc postaramy się wywrzeć na niej dobre wrażenie. Wyobrażałam sobie te odwiedziny na różne sposoby: i jak ona wygląda, i co powie, i co ja odpowiem? Najbardziej niepokoję się o swój nos. Jest na nim siedem piegów, jak widzisz. Datują się one od tej majówki K.M.A., gdy w samo południe przechadzałam się bez kapelusza. Może to i niewdzięczność z mojej strony, iż martwię się nimi, zamiast cieszyć się, że nie mam ich na całej twarzy, jak w dzieciństwie, ale wołałabym, aby nie było ich wcale. Wszystkie bohaterki pani Morgan mają śliczną cerę. Nie mogę sobie przypomnieć, by była pośród nich choć jedna piegowata.

— Twoje piegi są dość nieznaczące — pocieszała Diana — posmaruj na noc trochę cytryną.

Nazajutrz Ania upiekła ciastka, uprasowała sukienkę, wymiotła i odkurzyła każdy kąt w mieszkaniu — trud zupełnie zbyteczny, gdyż w domu Maryli i tak panował idealny porządek. Ale Ania uważała, że najmniejszy pyłek byłby hańbą dla gospodyni zaszczyconej odwiedzinami Karoliny Morgan. Uporządkowała nawet schowanko pod schodami, chociaż nie było najmniejszego prawdopodobieństwa, by sławny gość zechciał je zwiedzić.

— Ale ja chcę mieć pewność, że wszędzie panuje porządek, nawet gdyby ona miała tego nie oglądać — mówiła Ania do Maryli. — Wiesz, Marylo, w jej książce „Złote klucze” dwie bohaterki biorą sobie za godło tę strofę Longfellowa:

W dawnych dniach architektury

Budowano z równą troską

Widoczne i skryte mury,

Licząc się z wszechwiedzą Boską.

Toteż te dwie dziewczynki zawsze pamiętały o wyszorowaniu schodów kuchennych i nigdy nie zapominały wymieść spod łóżek. Czułabym się nieswojo, gdybym podczas wizyty pani Morgan przypominała sobie, że w tym schowku jest

nieporządek. Po przeczytaniu "Złotych kluczy" Diana i ja również wzięłyśmy sobie za godło tę strofę, Marylo.

Tegoż wieczora Janek Carter dokonał egzekucji na białych kogutkach, a Ania oskubała je. To zwykle wstrętne dla niej zajęcie dziś nie wydawało jej się tak niemile, ze względu na wzniosły cel, na jaki kurczęta były przeznaczone.

— Nie cierpię skubać drobiu — mówiła do Maryli. — Ale na szczęści nie zawsze musimy wkładać duszę w naszą pracę. Ot, na przykład skubiąc te kurczęta mogła sobie bujać myślą po Drodze Mlecznej.

— Toteż zauważyłam, że rozsypałaś po drodze więcej pierza niż zwykle.

Ania, układając Tadzia do snu, kazała mu przyrzec, iż nazajutrz będzie się sprawował bez zarzutu.

— Jeśli będę najgrzeczniejszy jutro od rana do wieczora, czy pozwolisz mi pojutrze być tak niegrzecznym, jak tylko zechcę?

— Nie mogę się na to zgodzić — rzekła Ania rozsądnie. — Ale zabiorę ciebie i Tolę na przejażdżkę po stawie i urządzimy sobie podwieczorek na brzegu.

— Na to zgoda. Założmy się, że będę grzeczny. Chciałem iść jutro do pana Harrisona strzelać grochem w Imbirka, ale mogę to zrobić innego dnia. Boję się, że jutro będę się musiał tak sprawować, jakby to była niedziela, ale powetuję to już sobie na majówce.

XVII. SERIA WYPADKÓW

Tej nocy Ania zrywała się trzykrotnie i biegła do okna, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie spełniła się przepowiednia wuja Andrews. Wreszcie zaświtał cudowny poranek. Na perłowym niebie, poprzerzynanym złotymi i srebrnymi smugami, ukazała się ognista kula słoneczna. Natychmiast po śniadaniu zjawiała się Diana. W jednej ręce niosła koszyk kwiatów, w drugiej — białą sukienkę; nie mogła przecież się wystroić, dopóki nie zostaną ukończone przygotowania do obiadu. Tymczasem miała na sobie różową sukienkę i fartuszek z mnóstwem karbowanych falbanek, w czym jej było bardzo do twarzy.

— Wyglądasz uroczo — rzekła Ania z podziwem.

Diana westchnęła.

— Ale znowu musiałam poszerzyć wszystkie suknie. Od lipca przybyło mi jeszcze cztery funty. Aniu, kiedy się to skończy? Bohaterki pani Morgan są zawsze wysokie i smukłe.

— Zapomnij dziś o wszystkich troskach. Pomyśl, ile nas czeka przyjemności! — zawołała Ania wesoło. — Pani Allan powiada, że ilekroć doznajemy przykrości, powinniśmy wspomnieć jakąś radość, która dałaby się tamtej przeciwstawić. Jeśli nawet jesteś cokolwiek za pulchna, masz za to najrozkoszniejsze dołeczki, a jeśli ja mam piegowaty nos, to kształt jego jest bez zarzutu. Czy nie sądzisz, że sok cytrynowy poskutkował?

— O, bezwarunkowo — odparła Diana i dziewczęta wybiegły do ogrodu pełnego powiewnych cieni i drżących blasków.

— Przede wszystkim udekorujemy bawialnię. Czasu mamy dużo, bo Priscilla zapowiedziała, że przyjadą po dwunastej. Obiad będzie o pierwszej.

Wątpliwe, czy w tej chwili w Kanadzie lub nawet w całych Stanach udałoby się znaleźć dwoje szczęśliwszych dziewcząt. Wydawało im się, że w każdym zgrzycie nożyc ścinających róże, peonie lub hiacynty słyszą: "Dziś przyjeżdża pani Morgan". Ania nie pojmowała, jak pan Harrison mógł z takim spokojem kosić trawę, jak gdyby nie miało zajść nic niezwykłego. Bawialnia na Zielonym Wzgórzu czyniła zazwyczaj dość ponure wrażenie. Powodem tego były poważne staroświeckie meble, sztywne tiulowe firanki i białe perkalowe pokrowce, leżące równiutko na meblach, o ile jakiś zbyt żywy gość nie ściągał ich gwałtownymi ruchami. Nawet Ani nie udawało się

ożywić tego pokoju, bo Maryla sprzeciwiała się wszelkim zmianom. Ale jakaż jest potęga kwiatów! Gdy dziewczęta ukończyły swą pracę, pokój był nie do poznania. Wielka szafirowa waza, pełna białych peonii, zdobiła politurowany stół; na czarnym, lśniącem gzymsie kominka piętrzyły się róże i paprocie; z obu stron drzewiczek stały wazony szkarłatnych peonii, a same drzewiczki tonęły w powodzi żółtych maków. Cały ten przepych barw w promieniach słońca, wpadających poprzez liście powojów pnących się u okien, przeistoczył ponurą zwykle bawialnię w czarującą altanę, wyśnioną przez Anię. Nawet Maryla, która przyszła z zamiarem krytykowania, zdumiała się i znalazła tylko słowa pochwały.

— Teraz nakryjemy do stołu — rzekła Ania tonem kapłanki przygotowującej się do wypełnienia uroczystego obrządku na cześć swojej bogini. — Pośrodku stołu ustawimy wazon polnych róż, po jednej różyczce przy każdym nakryciu, a dla pani Morgan całą wiązanekę jako aluzję do jej cudownej powieści: „Ogród róż”. Do nakrycia stołu użyto najcieńszej bielizny, najlepszej porcelany i srebra Maryli. Wszystko lśniło i błyszczało jak nowe. Następnie dziewczęta podreptały do kuchni, pełnej smakowitych zapachów wydostających się z piecyka, gdzie rumieniły się już z głośnym skwierczeniem kurczęta. Ania przygotowała kartofle, a Diana groszek. Później Diana zamknęła się w spiżarni, aby przyrządzić sałatę, Ania zaś, której policzki pały zarówno od wewnętrznego podniecenia, jak od gorąca blachy kuchennej, przyprawiała sos do kurcząt, siekała cebulę na zupę, a wreszcie ubiła śmietankę na tort. A co robił przez cały ten czas Tadzio? Czy dotrzymywał przyrzeczenia danego Ani? Owszem, najzupełniej. Co prawda nalegał, by mu pozwolono zostać w kuchni, gdyż „umierał z ciekawości”. Ponieważ jednak siedział spokojnie w kącie, rozplątując kawałek sieci rybackiej, którą sobie przyniósł z ostatniej swej wyprawy nad morze, nie przeszkadzał nikomu. Już o wpół do dwunastej sałata była gotowa, tort cytrynowy przybrany kremem, a wszystko, co powinno było bulgotać i skwierczeć, bulgotało i skwierczało.

— Teraz biegnijmy się ubrać — rzekła Ania — bo a nuż przyjadą o dwunastej? Obiad musi być podany punktualnie o pierwszej, zupa nie może czekać.

Dnia tego na facjatce Ani nader gorliwie przestrzegano najdrobniejszych szczegółów dotyczących toalety. Ania bardzo badawczo przyglądała się swemu nosowi i z radością stwierdziła, że czy to na skutek użytej cytryny, czy z powodu niezwykłych rumieńców, piegi stały się prawie niewidoczne. W swych białych sukienkach obie

przyjaciółki wyglądały równie czarująco i wdzięcznie jak wszystkie bohaterki pani Morgan.

— Mam nadzieję, że od czasu do czasu uda mi się coś powiedzieć i nie będę siedziała jak niema — rzekła Diana z obawą. — Wszystkie bohaterki pani Morgan umieją prowadzić rozmowę, ale ja często zapominam języka w ustach i mam wtedy głupią minę. Lękam się też, że powiem “jezdem” zamiast “jestem”. Od czasu lekcji z panną Stacy nigdy tego błędu nie robię, ale w chwili podniecenia wyrwę się z tym na pewno. Jeśli bym powiedziała “jezdem” w obecności pani Morgan, umarłabym chyba ze wstydu.

— Ja też drzę na myśl o wielu rzeczach — rzekła Ania. — Lecz jestem spokojna, że mówić potrafię.

Co do tego można było rzeczywiście być spokojnym. Ania zarzuciła na swój galowy strój wielki fartuch i poszła przygotować zupę. Maryla, także odświętnie ubrana, zdawała się bardziej zdenerwowana niż kiedykolwiek. O wpół do pierwszej przybyli Allanowie i panna Stacy. Wszystko szło gładko, ale Ania zaczynała się niepokoić: pani Morgan i Priscilla powinny były już nadjechać. Co chwila biegła do furtki i wyglądała na drogę.

— A jeśli wcale nie przyjadą? — mówiła żałośnie.

— Nie myśl o tym, to byłoby zbyt okropne — przekładała Diana, która już sama w cichości dzieliła niepokój Ani.

— Aniu! — zawołała Maryla wychodząc z bawialni. — Panna Stacy chciałaby zobaczyć granatowy chiński półmisek panny Barry.

Ania pośpieszyła do stołowego kredensu. W swoim czasie, zgodnie z obietnicą złożoną pani Linde, udała się do panny Barry z prośbą o pożyczenie tego cennego przedmiotu. Panna Barry nie odmówiła swej ulubienicy i przysłała żądany półmisek, upominając ją jednocześnie w liście, żeby go strzegła jak oka w głowie, gdyż kosztował dwadzieścia dolarów. Po podwieczorku w Kole Pomocy półmisek został zwrócony na Zielone Wzgórze, bo Ania chciała go osobiście odwieźć do miasta. Ostrożnie wyniosła półmisek przed dom, gdzie goście napawali się chłodnym powiewem, dochodzącym znad strumienia. Oglądano i podziwiano ten piękny antyk, gdy wtem, w chwili kiedy Ania brała go z powrotem w swoje ręce, w spiżarni rozległ się jakiś trzask i brzęk. Maryla, Diana i Ania zerwały się. Ania przystanęła tylko na chwilę, by postawić drogocenny półmisek na stopniach schodów. W spiżarni oczom ich przedstawił się straszny widok. Mały smyk z miną winowajcy, w świeżutkiej bluzie suto

zasmarowanej żółtym kremem, zląził ze stołu, na którym widniały resztki czegoś, co jeszcze niedawno było pięknym kremowo-cytrynowym tortem. Cóż się okazało? Tadzio skończył prucie sieci i zwinął sznurek na kłębek, później wszedł do spiżarni, ażeby umieścić go na półce nad stołem. Złożył już tam kilka podobnych kłębów, które nie miały innego użytku prócz tego, by właścicielowi tych skarbów sprawiać radość myślą o ich posiadaniu. Ażeby dosięgnąć półki, Tadzio wspiał się po stole, czego Maryla zabraniała mu surowo, uważając to ćwiczenie akrobatyczne za niebezpieczne, tym bardziej że kiedyś już spadł ze stołu. Tym razem rezultat był rzeczywiście fatalny. Tadzio pośliznął się i upadł wprost na tort. Jego bluzy nie można było prezentować gościom tego dnia, a tortu — już nigdy.

— Tadzio — zwróciła się Maryla do malca — czy nie zabroniłam ci wdrapywać się na stół?

— Zapomniałem — zajęczał Tadzio. — Zabraniecie mi takiej masy rzeczy, że nie mogę wszystkiego zapamiętać.

— Więc marsz na górę i zostań tam do wieczora. Może przez ten czas przypomnisz sobie tę masę rzeczy, o których zapominasz. Nie, Aniu, nie powinnaś go bronić. Wymierzam mu karę za nieposłuszeństwo, nie za zmarnowanie tortu, bo to było przypadkowe. Powtarzam raz jeszcze: idź na górę, Tadzio.

— A co będzie z moim obiadem? — zawodził Tadzio.

— Po naszym obiedzie zejdziesz do kuchni, gdzie dostaniesz swoją porcję.

— To doskonale — pocieszył się prędko Tadzio. — Jestem pewny, że Ania zostawi mi pyszne udeczko. Prawda, Aniu? Ty przecież wiesz, że ja nie chciałem upaść na tort. Ale proszę cię, Aniu, skoro jest już pokruszony, czy nie mógłbym zabrać kilku kawałków na górę?

— O, nie, mości panie, nie ma dla ciebie tortu — rzekła Maryla popychając go ku drzwiom.

— Co będzie z deserem? — pytała Ania patrząc na resztki ciasta.

— Wyjmij słój konfitury poziomkowej — doradziła Maryla. — Szczęściem, zostało do niej jeszcze dość kremu.

Pierwsza godzina wybiła, ale pani Morgan z Priscillą nie zjawiły się. Ania była zrozpaczona: cały obiad się zmarnuje... będzie przestały.

— W ogóle nie wierzę w ich przyjazd — rzekła Maryla gniewnie.

Ania i Diana z niepokojem patrzyły na siebie. O wpół do drugiej Maryla ponownie ukazała się w drzwiach kuchni.

— Dziewczęta, trzeba podać obiad. Wszyscy są głodni i nie ma na co czekać dłużej. Pani Morgan nie przyjedzie, to pewne. Czekanie nie pomoże.

Ania i Diana spełniły polecenie Maryli, ale zapał ich i dobry humor przygasły.

— Nie przypuszczam, żebym mogła przełknąć bodaj kęs — skarżyła się Diana żałośnie.

— Ani ja, ale chciałabym, żeby obiad był dobry ze względu na państwa Allan i pannę Stacy — rzekła Ania obojętnym tonem.

Wykładając groszek na salaterkę, Diana skosztowała go i skrzywiła się niemilosierdzie.

— Aniu, czyś ty cukrzyła groszek?

— Rozumie się — odpowiedziała Ania z miną osoby, która spełniła swój obowiązek. — Włożyłam pełną łyżkę cukru, my tak przygotowujemy groszek. Czy dla ciebie jest za słodki?

— Ale i ja wsypałam łyżkę cukru wstawiając go do pieca.

Ania przerwała tłuczenie kartofli i także spróbowała groszku. I ona skrzywiła się z obrzydzeniem.

— Ach, jakież wstrętne! Nie przypuszczałam, że wsypiesz cukru, bo wiem, że u was się go nie używa. Jak na złość pamiętałam o tym, zazwyczaj przecież zapominam.

— Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść — rzekła Maryla przysłuchująca się tej rozmowie z miną winowajczyni. — Lękając się, że nie będziesz pamiętać o cukrze, o którym stale zapominasz, Aniu, sama przyprawiłam groszek na słodko.

Goście w bawialni usłyszeli głośnie wybuchy śmiechu, lecz nie dowiedzieli się, co było ich przyczyną. Jednakże groszku na obiad nie dostali.

— Musi wystarczyć sałata — zaopiniowała Ania, ochłonawszy — sędzę, że reszta potraw lepiej się udała. Podajmy prędzej obiad i skończmy z tym.

Nie można twierdzić, że obiad udał się pod względem towarzyskim. Allanowie i panna Stacy starali się sami ratować sytuację, a i Maryla nie straciła zwykłego sobie spokoju, lecz Ania i Diana, podniecone oczekiwaniem i doznany zawodem, nie mogły jeść ani rozmawiać. Ze względu na swych gości Ania wprawdzie bohaterskim wysiłkiem zmuszała się do podtrzymywania rozmowy, lecz cała jej błyskotliwość zniknęła. Pomimo prawdziwego przywiązania do Allanów i panny Stacy, z utęsknieniem myślała o chwili, gdy ich pożegna i będzie mogła na swej facjatce wtulić głowę w poduszki i wypłakać żale i rozczarowania.

Stare to, ale dobre przysłowie: "Gdzie cienko, tam się rwie". Nie nadszedł jeszcze koniec trosk tego dnia. W chwili gdy pastor skończył modlitwę poobiednią, na schodach rozległ się dziwny, złowrogi hałas, jak gdyby jakiś ciężki przedmiot staczał się ze stopnia na stopień. Po czym już na samym dole nastąpił trzask i szczęk. Wszyscy zerwali się z miejsc, Ania wydała okrzyk przerażenia. W przedsionku, u podnóża schodów, pomiędzy szczątkami granatowego półmiska leżała wielka muszla, zdobiąca zwykle półeczkę na piętrze; u szczytu zaś schodów klęczał struchlały Tadzio, patrząc szeroko otwartymi oczami na dokonane zniszczenie.

— Tadzio — krzyknęła Maryla groźnie — czyś ty umyślnie zrzucił muszlę?

— Broń Boże — szlochał Tadzio — ja tu klęczałem cicho jak myszka i przypatrywałem się wam przez poręcz. Nieumyślnie trąciłem nogą tę starą skorupę i ona spadła... Jestem taki strasznie głodny. Wolałbym już, żebyście mnie zbili jak psa, a nie posyłali na górę wtedy, kiedy dzieje się coś ciekawego.

— Nie łaj Tadzia, Marylo — rzekła Ania zbierając szczątki drżącymi rękami. — To moja wina. Postawiłam tu półmisek i zapomniałam o nim zupełnie. Jestem słusznie ukarana za niedbalstwo. Ale co powie panna Barry?

— Trudno, wiesz przecież, że go kupiła. Co innego, gdyby to była jakaś pamiątka rodzinna — starała się pocieszać ją Diana.

Goście, czując, że obecność ich jest krępująca, odeszli, a Diana i Ania, zmywając naczynia, rozmawiały z sobą tak mało, jak jeszcze nigdy w życiu. Wkrótce Diana poszła do domu ze strasznym bólem głowy, Ania zaś z nie mniejszym powędrawała na swą facjatkę. Powróciwszy o zachodzie słońca z poczty, Maryla wręczyła Ani list pisany przez Priscillę poprzedniego dnia. Okazało się, że pani Morgan skreśliła nogę, tak że nie mogła opuszczać pokoju. Ale co najgorsze, droga Aniu — pisała Priscilla — obawiam się, że nasze odwiedziny nie dojdą wcale do skutku. Z chwilą gdy ciotka wyzdrowieje, będzie musiała wrócić do Toronto, bo przyrzekła stawić się tam na oznaczony termin.

— Trudno — westchnęła Ania, odkładając list na kamienny stopień schodów, na których siedziała w ostatnich promieniach zachodu. — Z góry wiedziałam, że marzenia o przyjeździe pani Morgan były zbyt piękne, ażeby mogły się spełnić. Ale co znowu! Wstydzę się tego zdania — pesymizm jego godny jest Elizy Andrews. To wcale nie było zbyt piękne, ażeby się mogło urzeczywistnić. Miałam już niejedno piękniejsze przeżycie. Wypadki dnia dzisiejszego mają też swoją śmieszna stronę. Kto wie, czy

obie z Dianą jako siwowłose staruszki nie będziemy się śmiały z tych zmartwień. Dziś jednak doznałam gorzkiego rozczarowania.

— Prawdopodobnie doznasz w życiu wielu i większych rozczarowań — rzekła Maryla, pragnąc pocieszyć strapione dziewczę. — Kiedyż wreszcie, Aniu, nauczysz się nie brać tak gorąco do serca pewnych spraw i nie wpadać w czarną rozpacz w razie niepowodzenia?

— Wiem, że posiadam tę wadę — przyznała Ania z żalem. — Gdy ma mnie spotkać coś miłego, wydaje mi się, że płynę na skrzydłach. Później dopiero następuje upadek na ziemię i wstrząs. Ale ten lot nad obłokami jest tak upajający, że wynagradza nawet smutne przebudzenie.

— Być może — przyznała Maryla — ja, co prawda, wolałabym żyć spokojnie, bez wzlotów i bez upadków. Lecz każdy ma swój własny sposób myślenia. Dawniej wierzyłam, że do celu prowadzi jedna tylko droga, ale zmieniłam zdanie, gdy zabrałam się do wychowywania ciebie i bliźniąt... Co uczynisz z półmiskiem panny Barry?

— Mam zamiar zwrócić jej owe dwadzieścia dolarów, które zań zapłaciła. Szczęśliwa jestem, że to nie była umiłowana pamiątka rodzinna, której za żadną cenę nie mogłabym odkupić.

— A może znalazłabyś gdzieś podobny półmisek?

— Obawiam się, że nie. Granatowe chińskie półmiski to rzadkie okazy. Pani Linde szukała na wszystkie strony i daremnie. Oby mnie się lepiej udało. Panna Barry zgodzi się chyba na inny, jeżeli tylko będzie miał tę samą wartość... Marylo, spójrz na tę wielką gwiazdę ponad klonami pana Harrisona i na te srebrzyste obłoki płynące wokół. Doznaję uczucia jak przy modlitwie.

Ostatecznie wobec takich gwiazd i obłoków małe niepowodzenia życia codziennego nic nie znaczą.

— Gdzie jest Tadzio? — spytała Maryla rzucając obojętne spojrzenie na gwiazdę.

— Śpi już. Obiecałam zabrać ich oboje jutro na majówkę. Co prawda pod warunkiem, że będzie grzeczny. No, ale on starał się być grzecznym i nie mam sumienia mu odmówić.

— Utopicie się i ty, i bliźnięta — burknęła Maryla. — Mieszkam tu od sześćdziesięciu lat i dotąd nie jeździłam łódką po stawie.

— Nigdy nie jest za późno na poprawę — rzekła Ania podstępnie. — Pojedź z nami jutro. Zamkniemy dom i spędzimy cały dzień na wybrzeżu, z dala od trosk życia codziennego.

— Nie, dziękuję bardzo! — rzekła Maryla z oburzeniem. — Maryla w łodzi na stawie! Wyobrażam sobie drwiącą minę Małgorzaty. Oto pan Harrison gdzieś się wybiera. Czy wierzysz krążącej plotce, że stara się o Izabelę Andrews?

— Och, to nieprawda. Pewnego wieczora był u starego Andrews w sprawie czysto gospodarskiej. A pani Linde, zauważywszy jego biały kołnierzyk, orzekła, że pojechał w konkury. Nie wierzę, aby pan Harrison miał się kiedykolwiek ożenić. Zdaje mi się, iż jest przeciwnikiem małżeństwa.

— E, kto tam odgadnie zamysły starego kawalera. A jeśli włożył biały kołnierzyk, zgadzam się z Małgorzatą, że to jest podejrzane, bo nigdy przedtem nie ubierał się tak starannie.

— Ja myślę, że pragnął ubić interes z Andrewsem. Mówił mi kiedyś, że tylko w takich okolicznościach mężczyzna powinien dbać o swoją powierzchowność. Liczą się z nim, jeżeli wygląda dostаточно. Doprawdy, żał mi go bardzo. Nie jest chyba zadowolony z życia. Jeśli jedyną bliską człowiekowi istotą jest papuga, to chyba musi się on czuć samotnie, czy nie myślisz, Marylo? Ale pan Harrison nie lubi, gdy się nad nim litują. Tego zresztą nikt nie lubi.

— Widzę, że Gilbert nadchodzi — rzekła Maryla. — Jeśli macie zamiar urządzić sobie przejażdżkę po jeziorze, nie zapomnij wziąć okrycia i kaloszy, bo rosa na dworze.

XVIII. PRZYGODA NA DRODZE

Aniu — mówił Tadzio siedząc w łóeczku z główką wspartą na rączkach. — Powiedz mi, gdzie jest sen? Każecie mi co wieczór układać się do snu i ja wiem, że to jest tam, gdzie mi się śni. Ale gdzie on jest? Jak ja się tam dostaję i jak stamtąd wracam, nie wiedząc nic o tym, i w dodatku w nocnej koszuli?

Ania klęczała u okna facjatki, przyglądając się zachodzącemu słońcu, które kryło się za horyzontem, podobne do ognistego słonecznika. Na pytanie Tadzia odwróciła głowę i zadeklamowała rozmarzona:

*Ponad górami księżyc,
w głębiach dolin cieniów...*

Jaś Irving byłby to zrozumiał lub wytłumaczył po swojemu, lecz praktyczny Tadzio, który, jak Ania kilkakrotnie już z przykrością zauważyła, nie posiadał ani krzty wyobraźni, był zdumiony i urażony.

— Aniu, ty chyba mówisz głupstwa?

— Zapewne, drogi malcze. Tylko bardzo głupi ludzie mogą zawsze mówić mądrze.

— Mogłabyś nie żartować, kiedy się ciebie pytam o poważne rzeczy — niecierpliwił się Tadzio.

— Jesteś za mały, żeby to zrozumieć — odparła Ania, ale zawstydzila się tej odpowiedzi. Świeżo jeszcze miała w pamięci podobne pytania z własnego dzieciństwa i swe uroczyste postanowienia, iż nigdy nie odpowie żadnemu dziecku, że „jest za małe, aby coś zrozumieć”. I oto postąpiła wbrew swej zasadzie. Tak wielka bywa często przepaść pomiędzy teorią a praktyką.

— Przecież ja staram się prędzej być dorosłym, ale nic na to nie mogę poradzić. Gdyby Maryla nie była taka skąpa i dawała mi więcej marmolady, na pewno rósłbym daleko szybciej.

— Maryla nie jest skąpa, Tadzio — zgromiła Ania surowo. — Jesteś bardzo niewdzięczny wyrażając się w ten sposób.

— Jest jeszcze drugi wyraz, który znaczy to samo, ale jest o wiele grzeczniejszy. Tylko ja go nie pamiętam — rzekł Tadzio marszcząc czoło z napięciem. — Wczoraj sam słyszałem, jak Maryla tak o sobie mówiła.

— Jeśli myślisz “oszczędny”, to zupełnie co innego niż “skąpy”. To duża zaleta być oszczędnym. Jeśliby Maryla była skąpa, nie przyjęłaby do swego domu ciebie i Toli, gdy wasza mama umarła. Czy wolałbyś mieszkać u Wigginsów?

— Słowo honoru, że nie — Tadzio zaprzeczył energicznie. — Do wuja Ryszarda też nie pojedę za nic w świecie. Wolę być tutaj, nawet jeśli Maryla przy konfiturach jest... no, ten trudny wyraz. Bo ty tutaj jesteś, Aniu. Moja złota, opowiedz mi jakąś bajkę, zanim usnę. Tylko o żadnych dobrych wróżkach — to są bajki dla dziewczyn. A ja chcę coś okropnego: dużo strzelaniny, bitwy, pożar...

Szczęściem dla Ani w tej chwili rozległ się głos Maryli:

— Aniu, Diana wzywa cię już od kilku chwil. Ania podbiegła do swego okna i ujrziała dochodzące z okna Diany błyski światła w grupach po pięć. Znaczyło to, stosownie do ich dawnej, dziecięcej umowy: “przyjdź natychmiast, gdyż muszę ci powiedzieć coś ważnego”.

Zarzuciwszy biały szal na głowę pośpieszyła przez Las Duchów do Barrych.

— Mam dla ciebie dobrą nowinę — przywitała ją Diana. — Wróciłyśmy właśnie z mamą z Carmody, gdzie w sklepie Blaira spotkałam Manię Sentner. Mówiła mi, że panny Copp mają granatowy chiński półmisek, zupełnie taki sam, jaki widziała na naszym bazarze. Przypuszcza, że gotowe będą go sprzedać, bo Marta Copp sprzedaje każdą rzecz, na którą znajdzie się kupiec. Gdyby jednak nie chciały, to Keysonowie na pewno sprzedadzą swój, tylko że Mania nie wie, czy ich półmisek jest taki sam jak ciotki Józefiny.

— W takim razie jadę do nich jutro — rzekła Ania stanowczo. — Ale ty musisz mi towarzyszyć. Wielki ciężar spadnie mi z serca. Pojutrze mam być w mieście, a nie śmiałabym spojrzeć w oczy twojej ciotce nie odwożąc jej półmiska. Byłoby to jeszcze większe przejście niż w swoim czasie przeprosiny za nocny napad w waszym gościnnym pokoju.

Dziewczęta roześmiały się na to wspomnienie. Nazajutrz po południu Ania i Diana wyruszyły na poszukiwanie nieszczęsnego antyku. Od Spencervale, miejsca zamieszkania panien Copp, dzieliło je dziesięć mil, a pogoda nie była zbyt odpowiednia do jazdy. Upał panował nieznośny, ani śladu wiatru, na drodze zaś

unosily się tumany kurzu, jakich należało się spodziewać po sześciu tygodniach nieustannej suszy.

— Ach, jakże pragnę, by deszcz lunął — westchnęła Ania. — Wszystko jest spalone. Pola wyglądają żałośnie, a drzewa zdają się wyciągać ramiona, błagając o deszcz. Ból mnie przenika, ilekroć wchodzę do mego ogródka, chociaż ogródek jest drobnostką w porównaniu ze stratami rolników. Pan Harrison mówi, iż jego łąki są tak wysuszone, że krowy nie znajdują ani żdźbła pożywienia, a on czuje się winny okrucieństwa wobec tych stworzeń, ilekroć napotka ich spojrzenia.

Po uciążliwej jeździe dziewczęta przybyły do Spencervale i skręciły na odludną drogę, gdzie kępki trawy między śladami kół wskazywały na brak ruchu w tej okolicy. Po obu stronach drogi ciągnął się gęszcz młodych sosen, gdzieniegdzie tylko linię lasu przerwało ogrodzone pole lub ugór z pniakami ściętych sosen, żółtych od dzikiej mimozy. Wkrótce znalazły się przed siedzibą panien Copp, domostwem o tak nadzwyczajnej zewnętrznej schludności, że nawet Zielone Wzgórze ucierpiałoby na porównaniu. Sam dom był to staroświecki budynek stojący na wzgórzu, co spowodowało, że trzeba było z jednej strony ułożyć kamienny fundament. Bielone ściany domu i zabudowań gospodarskich oślepiały swą czystością, a w wypielegnowanym ogrodku warzywnym nie można było dojrzeć ani jednego chwastu.

— Wszystkie żaluzje są zapuszczone — rzekła Diana z żalem. — Pewno nie ma nikogo w domu.

Tak też było w istocie. Dziewczęta patrzyły na siebie z zakłopotaniem.

— Nie wiem, co począć — rzekła Ania. — Gdybym miała pewność, że ich półmisek jest odpowiedni, poczekałabym, aż wrócą. Lecz jeśli nie, wtedy będzie już za późno na jazdę do Keysonów.

Diana przyglądała się kwadratowemu okienku ponad fundamentami.

— To jest okienko spiżarni — oświadczyła. — Jestem pewna, gdyż dom ten jest bliźniaczo podobny do domu wuja Karola w Nowych Mostach. Żaluzja jest podniesiona, więc jeśli się wdrapiemy na dach tego małego domku, będziemy mogły zajrzeć do spiżarni i obejrzyć półmisek. Czy sądzisz, że to coś złego?

— Nie, nie przypuszczam — odparła Ania po namyśle — bo nie czynimy tego z prostej ciekawości.

Po rozstrzygnięciu tego ważnego zagadnienia etycznego Ania zabrała się do wchodzenia na pochyły dach domku, zbitego z desek. Dawniej służył on za pomieszczenie dla kaczek, ale panny Copp zarzuciły tę hodowlę, twierdząc, że to takie

“nieporządne ptaki”, i od paru lat domek świecił pustkami z wyjątkiem wypadków, gdy sadzano w nim kury na jajach. Pomimo iż świeżo wybielony, domek robił wrażenie niezbyt solidnego i Ania czuła się trochę niepewnie, wdrapując się nań po beczce ustawionej na skrzyni.

— Lękam się, że nie wytrzyma mego ciężaru — rzekła, posuwając się ostrożnie.

— Oprzyj się o parapet — radziła Diana.

Ania usłuchała i spojrzała przez szybę. Na półce na wprost okna stał granatowy chiński półmisek, taki właśnie, jakiego szukała. Tyle tylko zdążyła zobaczyć, nim nastąpiła katastrofa. W przypiływie wielkiej radości zapomniała o niepewnym gruncie pod nogami, puściła parapet i podskoczyła z zadowolenia. W tej chwili dach zatrzęszczał i zapadł się pod nią, tak że osunęła się i tylko głowa i ramiona sterczały nad domkiem. Przerazona Diana wpadła do kurnika i objąwszy swą nieszczęsną przyjaciółkę w pół, starała się ściągnąć ją na ziemię.

— Ach, nie czyn tego! — krzyknęła Ania. — Jakież kłujące drzazgi wpijają mi się w ciało. Postaw mi coś pod nogi, to może wtedy sama się wydobędę.

Diana czym prędzej wciągnęła wzmiankowaną poprzednio beczułkę, która okazała się wygodnym podparciem dla nóg Ani. O wydostaniu się z pułapki nie było jednak mowy.

— Czy nie mogłabym cię wyciągnąć górą? — troszczyła się Diana. Ania beznadziejnie potrząsnęła głową.

— O, nie. Połamane deski za bardzo mnie kłują. Ale gdybyś znalazła siekiere, może mogłabyś mnie wyrąbać. Zaczynam naprawdę wierzyć, że urodziłam się pod nieszczęśliwą gwiazdą.

Diana udała się na poszukiwanie siekiery, lecz na próżno.

— Pójdę sprowadzić pomoc — rzekła wracając do więźnia.

— O, nie — zaoponowała Ania gwałtownie. — Jeśli to uczynisz, wszyscy wokoło dowiedzą się o mojej przygodzie i wstyd mi będzie spojrzeć ludziom w oczy. Musimy czekać powrotu panien Copp i uprosić je, by zachowały tajemnicę. One znajdą siekiere i uwolnią mnie. Gdy się zachowuję spokojnie, nic mi nie dolega... w znaczeniu fizycznym, rozumie się. Ciekawa jestem, na ile też panny Copp oceniają ten kurnik: przecież będę musiała zapłacić za wyrządzoną szkodę. Ale mniejsza z tym, jeśli tylko zrozumieją, co mnie skłoniło do zakradania się do ich spiżarni. Jedyna pociecha, że półmisek jest właśnie taki, jakiego mi potrzeba, i jeśli tylko sprzedadzą mi go, zapomnę o tym przykrym zdarzeniu.

— A co będzie, jeśli panny Copp powrócą dopiero późnym wieczorem lub jutro rano? — zastanawiała się Diana.

— Jeśli nie powrócą przed zachodem słońca, trzeba będzie szukać obcej pomocy, lecz zdecydujemy się na to tylko w ostateczności — odpowiedziała Ania. — Ale nie bądźmy złej myśli. Nie martwiłabym się tak swymi przygodami, gdyby były przynajmniej romantyczne, jak się to zwykle zdarza bohaterkom pani Morgan. Lecz moje są po prostu śmieszne. Wyobraź sobie, co pomyślą panny Copp, gdy wjeżdżając na dziedziniec spostrzegą jakieś ramiona i głowę sterczącą sponad dachu ich kurnika. Posłuchaj tylko... czy to turkot wozu? Nie, to chyba grzmot.

Był to niewątpliwie grzmot. Diana, spiesznie okrążywszy dom, powróciła z wiadomością, że wielka, czarna chmura nadciąga szybko z północy.

— Lada chwila rozpęta się straszna burza! — zawołała z rozpaczą. — Cóż pocniemy?

— Musimy się przygotować i na to — rzekła Ania spokojnie. Burza wydała się jej drobnostką w porównaniu z przygodą, która ją spotkała. — Wprowadź konia i kabriolet do tej otwartej szopy. Szczęściem, w kabriolecie jest mój parasol. Ale... weź mój kapelusz. “Trzeba być gąską, żeby zabierać najstrojniejszy kapelusz w taką drogę” — powiedziała mi przy pożegnaniu Maryla. Miała słuszość, jak zwykle.

Diana odwiązała konia i wprowadziła go do szopy w chwili, gdy spadły na ziemię pierwsze krople deszczu. Siedząc tam, patrzyła na strugi deszczu, który był tak ulewny, że z trudem tylko mogła dostrzec Anię, mężnie trzymającą parasol nad swą odkrytą głową. Grzmotów nie było wiele, ale deszcz lał jak z cebra prawie przez całą godzinę. Od czasu do czasu Ania unosiła parasol i żywym ruchem ręki starała się dodać Dianie otuchy: nie można było bowiem prowadzić rozmowy w tych okolicznościach i z tej odległości. Wreszcie deszcz ustał, ukazało się słońce i Diana poprzez kałuże i jeziora dziedzińca dobrnęła przed kurnik.

— Czyś bardzo przemokła? — spytała troskliwie.

— O, nie! — zawołała Ania wesoło. — Głowę i ramiona mam zupełnie suche, a suknię tylko trochę wilgotną tam, gdzie deszcz przedostawał się przez deski. Nie lituj się nade mną, bo ja sama nie przejmuję się już tą przygodą. Myślałam o tym, ile dobrego deszcz zdziała, jak się nim ucieszył mój ogród, i wyobrażałam sobie, co poczuły spragnione kwiaty i pąki na szmer pierwszych kropel deszczowych. Ułożyłam nawet prześliczną rozmowę pomiędzy groszkiem pachnącym, różami, słowikiem z krzaka bzu a dobrym duchem ogrodu. Spiszę ją, gdy powrócę do domu. Uczyniłabym

to zaraz, gdybym miała kartkę papieru i ołówek, bo lękam się, że za chwilę najpiękniejsze zdania ulecą mi z pamięci.

Wierna Diana miała ołówek w kieszeni, a w kabriolecie znalazł się arkusz papieru. Ania zamknęła ociekający wodą parasol, włożyła kapelusz, rozprostowała papier na podanej przez Dianę dachówce i pisała swą ogrodową idyllę w warunkach niezbyt sprzyjających pracy literackiej. Mimo to rezultat okazał się bardzo miły i Diana była zachwycona, gdy Ania odczytała jej swój utwór.

— Cudowne, naprawdę cudowne, Aniu. Musisz to posłać do “Kobiety Kanadyjskiej”.

Ania potrząsnęła głową przecząco.

— Ależ nie nada się zupełnie, nie ma w tym wcale intrygi. Po prostu wiązanka fantastycznych myśli. Ja lubię pisywać takie rzeczy, ale nic podobnego się nie drukuje, bo wydawcy zawsze żądają intrygi. Tak twierdzi Priscilla. Ale oto panna Sara Copp. Błagam cię, Diano, biegnij mnie wytłumaczyć.

Panna Sara Copp była to mała osóbka w czarnej, skromnej sukni i kapeluszu, o którego wyborze na pewno nie zdecydowała moda, lecz praktyczność. Łatwo zrozumieć, jak ją zdumiał ów oryginalny widok na dziedzińcu, lecz objaśnienie Diany wzbudziło w niej tylko sympatię. Pośpiesznie przyniosła siekierę i kilkoma zręcznymi uderzeniami uwolniła Anię, która, trochę zmęczona i zdrętwiała, osunęła się do wnętrza swego więzienia, po czym wydostała się na zupełną już swobodę.

— Panno Saro — zaczęła poważnie. — Zapewniam panią, że zaglądałam do spiżarni jedynie po to, aby się przekonać, czy pani posiada granatowy chiński półmisek. Nie widziałam nic więcej, bo nie patrzyłam na nic innego.

— Ależ wszystko w porządku — uspokajała ją panna Copp uprzejmie. — Nie martwcie się, przecież nic złego się nie stało. Dzięki Bogu, my, Coppówny utrzymujemy stale porządek w naszych spiżarniach, więc nie wstydzimy się, że ktoś je obejrzy. Co do kurnika, rada jestem, że się zapadł, bo może teraz Marta zgodzi się go rozebrać: przedtem nie pozwalała na to, twierdząc, że może się jeszcze kiedy przydać, a ja każdej wiosny musiałam go bielić. Z nią trudno jest dojść do ładu. Dzisiaj pojechała do miasta, odwiozłam ją właśnie na stację. Chcecie kupić chiński półmisek? Ile dajecie za niego?

— Dwadzieścia dolarów.

Ania nie dorosła do załatwiania transakcji z rodziną Coppów, gdyż ofiarowała z miejsca zbyt wysoką cenę.

— No, zobaczymy — rzekła panna Sara przezornie.

— Szczęśliwym trafem półmisek jest moją osobistą własnością, w przeciwnym razie nie ośmieliłabym się go sprzedać w nieobecności Marty. Jestem pewna, że i tak podniesie lament, bo ona tu rej wodzi. Już mi się sprzykrzyło życie pod pantoflem tej kobiety. Ale, proszę, wejdźcie do pokoju; musicie być porządnie zmęczone i głodne. Ugoszczę was, jak będę mogła najlepiej, ale nie oczekujcie nic prócz chleba z masłem i paru ogórków. Przed wyjazdem Marta schowała całe ciasto, ser i konfitury. Zawsze mnie tak urządza, uważając, że jestem zbyt rozrzutna w podejmowaniu gości. |

Dziewczęta były za bardzo wygłodzone, ażeby być wybrednymi: chleb, masło i ogórki zyskały ich gorące uznanie.

Po skończonym podwieczorku panna Sara rzekła:

— Nie wiem, czy powinnam sprzedać ten półmisek. To stara sztuka, wart co najmniej dwadzieścia pięć dolarów.

Diana lekko nadepnęła pod stołem nogę Ani, miało to oznaczać: “Nie zgódź się, odda i za dwadzieścia”.

Ale Ania nie dbała o to. Chodziło przecież o rzecz tak cenną. Natychmiast zgodziła się na dwadzieścia pięć, czego wynikiem było, iż panna Sara żałowała, że nie zażądała trzydziestu.

— No to zgoda. Pieniądze są mi teraz koniecznie potrzebne. Wiedźcie bowiem — tu panna Sara zadarła dumnie głowę, a rumieniec wystąpił na jej chude policzki — że wychodzę za mąż za Ludwika Wallace’a. Dwadzieścia lat temu prosił o moją rękę. Kochałam go szczerze, lecz ojciec mój dał mu kosza, bo był biedny. Nie należało się na to zgodzić, ale byłam nieśmiała i bałam się ojca. Zresztą nie wiedziałam, że tak trudno o męża.

Gdy dziewczęta znalazły się daleko — Diana z lejcami, Ania zaś z gorąco upragnionym półmiskiem w rękach — zielona, odświeżona deszczem samotna droga rozbrzmiewała wesołymi wybuchami ich śmiechu.

— Jutro w mieście rozweselę ciotkę Józefinę opowiadaniem tej niezwyklej historii. Była to dość ciężka próba. Na szczęście już minęła. Zdobyłam półmisek, a deszcz odświeżył roślinność.

— Nie jesteśmy jeszcze w domu — zauważyła Diana pesymistycznie — i nie wiadomo, co może się zdarzyć, zanim dojedziemy: ty przecież masz szczęście do przygód, Aniu.

— Taki dar jest już wrodzony — odparła Ania pogodnie. — Nabyć go ani pozbyć się go nie można.

XIX. DZIEŃ, JAKICH WIELE

A jednak powiedziała pewnego razu Ania — wydaje mi się, że nie te dni są najmiłsze, kiedy spotyka nas coś nadzwyczajnego, lecz te, które przynoszą nam drobne, codzienne rozkosze i przesuwają się gładko jak perełki na naszyjniku. Życie na Zielonym Wzgórzu obfitowało w takie właśnie dni. Niepowodzenia i przygody Ani, podobnie jak to bywa u każdego, nie zdarzały się wszystkie od razu, lecz pojawiały się od czasu do czasu, przeplatane długimi okresami dni beztroskich, wypełnionych pracą i marzeniami, nauką i zabawą. Takim to był właśnie jeden z ostatnich dni sierpnia. Przed południem Ania i Diana zawiozły rozpromienione bliźnięta na przeciwległy brzeg stawu, gdzie pozwoliły im do woli brodzić w wodzie i zbierać wodorosty, podczas gdy wiatr wyśpiewywał stare pieśni, wyuczone w czasach, kiedy świat był jeszcze młody. Po południu Ania udała się w odwiedzin do Jasia Irvinga. Zastała go leżącego na trawie w sosnowym zagajniku, osłaniającym dom od północy. Był zatopiony w czytaniu czarodziejskich baśni, lecz na widok Ani zerwał się radośnie.

— Jakże się cieszę, że pani przyszła! — zawołał żywo. — Babuni nie ma w domu. Zostanie pani ze mną na podwieczorku, prawda? To tak przykro jeść samemu, przecież pani to rozumie. Miałem zamiar poprosić Marię, żeby ze mną zasiadła, chociaż obawiam się, że babcia byłaby z tego niezadowolona. A przy tym z Marią trudno rozmawiać. Zawsze się śmieje i powiada: “Nigdy w życiu nie widziałam takiego dziecka”. Nie lubię takiej rozmowy.

— Bardzo chętnie zostanę — zgodziła się Ania wesoło. — Czekałam tylko na zaprosiny. Od ostatniego podwieczorku twojej babuni ślinka szła mi do ust na wspomnienie waszego pysznego kruchego ciasta.

Jaś spoważniał.

— Gdyby to zależało ode mnie — rzekł stając przed Anią z rękami w kieszeniach i nagłą troską na ślicznej twarzyczce — poczęstowałbym panią natychmiast. Ale, niestety, zależy to od Marii. Słyszałem, jak babunia, wychodząc, zapowiedziała jej, by nie dawała kruchego ciasta, bo to ciężko strawne dla dzieci. Ale jeśli przyrzeknę, że nie zjem ani łyżeczki, może Maria zgodzi się ukroić dla pani kawałek. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie jak najlepiej.

— Tak, miejmy nadzieję — zgodziła się Ania, której ten optymizm w zupełności odpowiadał. — Jeśli jednak Maria okaże się nieubłagana, nie martw się tym, kochanie.

— A czy to pani doprawdy nie sprawi przykrości? — spytał Jaś z niepokojem.

— Na pewno nie, drogie dziecko.

— Nie będę się więc martwił — rzekł Jaś wzdychając z ulgą — tym bardziej że przypuszczam, iż Maria usłucha głosu rozsądku. Wie ona, co prawda, z doświadczenia, że rozkazy babuni trzeba wypełniać. Babunia jest bardzo dobra, ale wszyscy muszą robić to, co ona każe. Dziś rano była ze mnie bardzo zadowolona, bo udało mi się zjeść całą porcję owsianki. Dużo trudu mnie to kosztowało, ale wreszcie zwyciężyłem. Toteż babunia powiedziała, że wyrosnę jeszcze na człowieka. Ale muszę panią zapytać o coś bardzo ważnego. Czy pani odpowie mi szczerze?

— Postaram się — przyrzekła Ania.

— Czy pani myśli, że mi brak piątej kleпки? — zapytał Jaś takim tonem, jak gdyby całe jego życie zależało od jej odpowiedzi.

— Jasiu, co znowu?! — zawołała Ania zdumiona. — Kto wmawia ci takie głupstwa?

— Maria to mówiła... Nie wiedziała, że ją słyszę. Wczoraj wieczorem była u niej Weronika od państwa Sloane. Przechodząc przez sień, usłyszałem ich rozmowę w kuchni. Maria mówiła: “Ten Jaś plecie same brednie, na pewno brak mu piątej kleпки”.

Długo w nocy nie mogłem zasnąć, bo myślałem ciągle o tym, czy ona nie ma racji. Nie mogłem zapytać o to babuni, lecz postanowiłem poradzić się pani. Jakże się cieszę, że pani w to nie wierzy.

— Rozumie się, że nie wierzę. Maria jest głupi nieuk, więc nie przejmuj się nigdy tym, co plecie — rzekła Ania z oburzeniem, postanawiając zwrócić uwagę pani Irving, aby powściągnęła gadatliwość Marii.

— Jaki ciężar spadł mi z duszy! — rzekł Jaś. — Dzięki pani jestem teraz zupełnie szczęśliwy. Czy to byłoby straszne nie mieć piątej kleпки? Maria sądzi tak zapewne dlatego, że nieraz opowiadam jej rozmaite moje myśli.

— Nie czyn tego więcej, Jasiu — przestrzegala Ania, wspominając swoje własne dziecięce doświadczenia.

— Opowiem pani stopniowo to wszystko, co mówiłem Marii, i pani sama zobaczy, czy to takie dziwaczne — rzekł Jaś. — Ale poczekam do zmroku, bo wtedy aż

mnie korci, żeby te historie komuś opowiadać. Jeśli nie mam nikogo innego, muszę zwierzać się Marii. Teraz już nie będę, nie chcę, żeby myślała, że mi brak piątej kleпки. Niechaj mnie korci, muszę to przezwyciężyć.

— A jeśli ci to będzie za bardzo dokuczać, przychodź wtedy na Zielone Wzgórze i mnie się zwierzaj ze swych myśli — prosiła Ania z powagą, którą dzieci tak lubią w stosunku do ich drobnych spraw.

— Dobrze. Przyjdę. Ale chciałbym, żeby wtedy nie było Tadzia, bo on się do mnie wykrzywia. Nie obchodzi mnie to bardzo, bo on jest przecież taki mały, ale jednak to nieprzyjemne. Przy tym Tadzio robi takie straszne miny, że czasem się boję, że już pozostanie wykrzywiony na zawsze. Nawet w kościele, kiedy powinien myśleć o rzeczach świętych, przedrzeźnia mnie. Tola mnie lubi i ja ją także lubię, chociaż nie tyle, co dawniej, odkąd zwierzyła się Minii Barry, że chce, bym się z nią ożenił, gdy dorosnę. Zapewne ożenię się, gdy dorosnę, ale teraz jestem chyba o wiele za młody, żeby myśleć o tym, z kim się ożenię, prawda?

— Tak, o wiele za młody — zgodziła się Ania.

— Muszę pani jeszcze coś powiedzieć — zwierzał się Jaś. — W zeszłym tygodniu była u babuni na podwieczorku pani Linde. Babunia kazała mi pokazać jej portret mojej matuchny — ten, co mi go przysłał ojciec na urodziny. Nie bardzo chciałem, by go oglądała, bo chociaż jest dobra i miła, nie należy ona do tych osób, którym się chętnie pokazuje portret matki. Pani to rozumie, prawda? Usłuchałem babuni. Pani Linde powiedziała, że jest bardzo ładna, ale wygląda jak aktorka i musiała być o wiele młodsza od ojca. Potem dodała: “Twój ojciec ożeni się zapewne niedługo. Czy pragnąłbyś mieć nową mamusię, Jasiu?” Aż mnie coś w gardle ścisnęło, ale nie chciałem, by to pani Linde zauważyła. Spojrzałem jej prosto w oczy, ot tak, i rzekłem: “Proszę pani, ojciec bardzo dobrze wybrał moją matkę, więc na pewno i drugi raz dobrze wybierze”. Ojcu mogę ufać. Jeżeli kiedykolwiek zechce, bym miał nową matkę, na pewno zapyta mnie o zdanie, zanim będzie zbyt późno... Oto Maria woła nas na herbatę, pójdę się z nią rozmówić w sprawie kruchego ciasta.

Wyniki tej rozmowy były takie, że Maria do podwieczorku, prócz kruchego ciasta, podała i salaterkę konfitur.

Ania nalala herbatę i spędziła z Jasiem miłą godzinkę w mrocznej bawialni, przez której okna płynął do pokoju świeży, morski powiew. Mówili przy tym tyle różnych głupstw, że następnego wieczora oburzona Maria opowiadała Weronice, że “ta panna ze szkoły to taka sama wariatka jak Jaś”. Po herbacie chłopczyk zaprosił

Anię na górę do swego pokoiku, aby jej pokazać portret matki — ten tajemniczy podarek urodzinowy, przechowywany w swoim czasie przez panią Irving w bibliotece. Niski pokoiczek pełen był łagodnego, różowego światła, przesyłanego przez ognistą kulę słoneczną znikającą za morzem. W czarodziejskiej grze blasków wychylała się z ram portretu słodka, dziewczęca twarzyczka, o czułym, macierzyńskim spojrzeniu.

— To jest moja matuchna — rzekł Jaś z pełną dumy miłością. — Prosiłem babunię, aby portret tak wisiał, żebym mógł ją widzieć, gdy tylko otworzę rano oczy. Teraz już nie czuję braku światła wieczorem, bo wydaje mi się, że matuchna jest przy mnie. Ojciec dobrze wiedział, czego pragnąlbym na urodziny, chociaż nigdy nie pytał mnie o to. Czy to nie dziwne, że ojcowie wszystko wiedzą?

— Twoja matka, Jasiu, była prześliczna, a ty jesteś trochę do niej podobny, tylko włosy i oczy miała ciemniejsze niż ty.

— Moje oczy są takie jak ojca — objaśniał chłopczyk, przysuwając dla Ani wygodny fotel do okna — ale jego włosy są siwe. Ogromna czupryna, zupełnie siwa. Ma przecież prawie pięćdziesiąt lat. To już prawie staruszek, prawda? Ale on tylko na zewnątrz jest stary, wewnątrz jest młody jak nikt inny. Ale, proszę, niech pani tutaj spocznie, a ja usiądę u pani nóg. Czy mogę położyć głowę na pani kolanach? Zawsze tak siadywałem z moją matuchną. O, jak mi dobrze.

— Teraz opowiedz mi te swoje myśli, które Maria uważała za takie dziwne — rzekła Ania pieszcząc jego kędzierzawą główkę.

Jaś nie potrzebował zachęty, aby wyjawić swe myśli... przynajmniej wtedy, gdy rozmawiał z pokrewną duszą.

— Wymyśliłem je sobie jednego wieczora w lasku świerkowym — mówił rozmarzony. — Oczywiście, że nie wierzę w to, tylko tak myślę. Pani to rozumie, prawda? Musiałem je komuś opowiedzieć, a nie było nikogo prócz Marii. Miesiła ciasto w spiżarni, więc usiadłem obok na ławeczce i powiedziałem: “Mario, wiesz, myślę, że gwiazda wieczorna jest latarnią morską w krainie czarodziejek”. Ale Maria odburknęła: “Jesteś głuptas. Nie ma żadnych czarodziejek na świecie”. Rozgniewało mnie to bardzo. Przecież ja wiem, że nie ma czarodziejek, ale mogę je sobie wyobrażać. Pani to rozumie, prawda? Znowu zacząłem do niej mówić: “Wiesz, Mario, myślę, że po zachodzie słońca na ziemię schodzi wielki, wielki biały anioł o srebrzystych skrzydłach i śpiewem swym kołysze kwiaty i ptaki do snu. Dzieci słyszą go, jeśli umieją słuchać”. Wtedy Maria wyjęła ręce z ciasta i załamując je zawołała: “Ty chyba jesteś jakiś głupi, boję się ciebie!” I naprawdę wyglądała na przestraszoną. Więc

wybiegłem do ogrodu i z reszty mych myśli zwierzyłem się kwiatom. Była tam mała, uschnięta brzoźka. Babunia powiada, że sól morska ją zabiła. Ale ja myślę, że jej opiekunka, swawolna nimfa leśna, powędrowała w szeroki świat i zabłądziła, a biednej drzewinie, co pozostała samotna, serce pękło z bólu.

— Gdy zaś lekkomyślnej nimfie znudzi się szeroki świat i powróci do swego drzewka, to jej serce pęknie — dokończyła Ania.

— Tak, gdyż nimfy powinny cierpieć za swoją lekkomyślność zupełnie tak, jak gdyby były ludźmi — zdecydował Jaś poważnie. — A wie pani, co to jest księżyc po nowiu? To mała złota łódeczka, napełniona marzeniami sennymi.

— A gdy zahacza o obłok, niektóre z nich wypadają i dostają się do naszych snów.

— Tak właśnie. Pani to dobrze rozumie. Myślę też, że fiołki są to kawałeczki nieba, które spadły na ziemię, gdy aniołowie wykrawali otwory, przez które gwiazdy mrugają. A jaskry są zrobione ze starych promieni słonecznych, z groszku zaś pachnącego powstaną w niebie motyle. Proszę pani, czy te myśli są takie głupie?

— Nie, drogi chłopcze, wcale nie są głupie. Są one oryginalne i piękne w ustach dziecka. I tylko ludzie, którzy nie potrafiliby wymyślić nic podobnego, nawet gdyby myśleli przez sto lat, nazywają je głupimi. Ale ty, Jasiu, nie porzucaj tych myśli; nie wątpię, że zostaniesz kiedyś poetą.

Po powrocie do domu Ania zastała zupełnie odmienny typ chłopca. Tadzio, nadąsany, czekał, by go położyć spać. Zaledwie zdążyła go rozebrać, wskoczył do łóżka i ukrył głowę w poduszce.

— Tadzio, zapomniałeś zmówić pacierza — rzekła

Ania z wyrzutem.

— Wcale nie zapomniałem — odparł Tadzio hardo — ale ani myślę mówić więcej pacierza. I już nie będę się starał być grzecznym, bo czy jestem greczny, czy nie, zawsze więcej kochasz Jasia Irvinga. Wolę być niegreczny i nadokazywać się przynajmniej.

— Wcale nie kocham Jasia więcej — rzekła Ania poważnie. — Kocham Jasia tyleż, co i ciebie, tylko inaczej.

— A ja chcę, żebyś mnie kochała zupełnie tak samo — upierał się Tadzio.

— Nie można kochać jednakowo różnych osób. Czy ty tak samo kochasz Tolę i mnie?

Tadzio namyślał się przez chwilę.

— N... nie — przyznał wreszcie. — Kocham Tolę, bo jest moją siostrą, a ciebie — bo ty jesteś ty.

— A ja kocham Jasia, bo jest Jasiem, a Tadzia, bo jest Tadzkiem — odpowiedziała Ania wesoło.

— W takim razie będę mówił pacierz — rzekł Tadzio, któremu to rozumowanie trafiło do przekonania. — Ale teraz nie będę już wstawał z łóżka. Jutro rano zmówię go dwa razy. Czy to nie będzie to samo?

Nie, Ania była przeciwnego zdania. Więc Tadzio wygramolił się z łóżeczka i ukląkł u jej kolan. Odmówiwszy pacierz, przysiadł na bosych, opalonych nóżkach i zagadnął:

— Prawda, Aniu, że teraz jestem lepszy niż dawniej?

— O, tak, bezwarunkowo, Tadzku — przyznała Ania, która nigdy nie skąpiła należnych pochwał.

— Ja sam wiem, że jestem lepszy — zwierzał się Tadzio — i powiem ci, skąd to wiem. Dziś Maryla dała mi dwie kromki chleba z konfiturą: dla mnie i dla Toli. Jedna była o wiele większa, ale Maryla nie powiedziała, która jest dla mnie. A ja właśnie tę większą dałem Toli. Czy to nie było ładnie?

— Bardzo ładnie, postąpiłeś jak prawdziwy dżentelmen, Tadzku!

— Na szczęście Tola nie była bardzo głodna i zjadła tylko połowę, a resztę mnie oddała. Ale przecież nie wiedziałem, że to robi, więc byłem dobry.

O zmierzchu, błędząc dokoła Źródła Nimf, Ania ujrzała Gilberta nadchodzącego od strony Lasu Duchów. Nagle przeniknęła ją świadomość, że Gilbert nie jest już uczniakiem. Jakże po męsku wyglądał — wysoki, barczysty chłopiec o szczerym, jasnym spojrzeniu. Ania uważała, że Gilbert jest bardzo przystojny, pomimo iż odbiegał od tego typu męskiej urody, który był jej ideałem. Dawno już zgodziły się z Dianą, że ich przedmiot uwielbienia powinien być wysoki i wytworny, o zadumanych, melancholijnych, niezgłębionych oczach i dźwięcznym głose. W powierzchowności Gilberta nie było nic tajemniczego ani melancholijnego. Ale cóż to szkodziło przyjaźni?

Gilbert rozciągnął się na trawie obok Źródła i z zachwytem spoglądał na Anię. Zapytany o swój ideał kobiecy odmalowałby portret zgodny co do joty z portretem Ani, nie pominąłby nawet owych siedmiu piegów, których znienawidzona obecność ciągle dręczyła ich właścicielkę. Gilbert nie wyrósł jeszcze z wieku chłopięcego, ale chłopcy mają też swoje marzenia, tak samo jak ludzie dorośli. W marzeniach tych

widział zawsze postać dziewczęcia o szarych oczach i twarzyczce delikatnej jak płatek kwiatu. Postanowił też okazać się godnym swej bogini. Nawet w cichej Avonlea trzeba było czasem umieć oprzeć się pokusie, ale Gilbert pragnął zachować przyjaźń Ani, a kiedyś w przyszłości zdobyć może jej miłość. Stał więc na straży każdej swej myśli i każdego czynu, jak gdyby jasne oczy Ani miały go bezustannie sądzić. Wywierała na niego ten bezwiedny wpływ, jaki wywiera na swe otoczenie każda dziewczyna o wysokich i czystych ideałach. Za największą ozdobę Ani Gilbert poczytywał to, że nie uciekała się, jak niektóre jej koleżanki, do drobnych intryg, zazdrości, flirtów. Wszelkie tego rodzaju małości były obce jej kryształowej naturze. Nie próbował jednak nigdy wypowiedzieć jej swych myśli, gdyż lękał się, że wydrwi niemiłosiernie wszystkie próby zdobycia jej uczuć.

— Aniu, wyglądasz pod tą brzozą jak prawdziwa nimfa leśna — rzekł przekomarzając się.

— Lubię niezmiernie brzozy — odpowiedziała Ania przytulając policzek właściwym sobie pełnym wdzięku, pieszczotliwym ruchem do białego, atlasowego pnia.

— W takim razie ucieszysz się wiadomością, że pan Spencer postanowił zasadzić brzozy wzdłuż drogi przytykającej do jego farmy. Mówił mi dziś, że chce w ten sposób dodać otuchy K.M.A. — ciągnął dalej Gilbert. — Spencer to najbardziej postępowy i uspołeczniony obywatel Avonlea. Pan Beli zaś ma zamiar urządzić świerkowy żywopłot wzdłuż swojej drogi.

Nasze Koło znakomicie się rozwija, wyszło z okresu niemowlęstwa i zostało ogólnie uznane. Starsze pokolenie zaczęło się nami interesować, a i obywatele Białych Piasków chcą iść za naszym przykładem. Nawet Eligiusz Wright uznał nas od czasu, gdy goście amerykańscy pochwalili tutejsze drogi, twierdząc, że są lepiej utrzymane niż gdziekolwiek na wyspie. A kiedy w przyszłości inni obywatele pójdą za przykładem pana Spencera i zasadzą ozdobne drzewa i żywopłoty wzdłuż swych dróg, Avonlea stanie się najpiękniejszą osadą w naszych stronach.

— Komitet Szkolny obiecał zająć się cmentarzem — rzekła Ania — i mam nadzieję, że to zrobi. Potrzebna będzie nowa kwesta, a my nie możemy jej przeprowadzić po historii z Domem Ludowym. Ale Komitet nie wpadłby na taki pomysł, gdyby Miłośnicy

nie mówili na ten temat. Poza tym Komitet Szkolny przyrzekł, iż w roku przyszłym ogrodzi dziedziniec szkolny. Jeżeli dotrzyma obietnicy, urządzi Święto

Sadzenia Drzew i każde z dzieci zasadzi drzewko, kładąc w ten sposób podwalinę pod przyszły ogród.

— A więc wszystkie nasze plany udały się, z wyjątkiem projektu zburzenia rudery starego Boultera — rzekł Gilbert. — Jego uporu nie zdołamy przełamać, chce nam najwidoczniej dokuczyć. To najbardziej zacięty ze wszystkich Boulterów.

— Julia Beli twierdzi, że należy jeszcze raz posłać do niego delegację, lecz ja sądzę, że powinniśmy raczej okazać mu pogardliwą obojętność — zawyrokowała Ania.

— I zdać się na łaskę Opatrzności, jak mówi pani Linde — uśmiechnął się Gilbert. — Bezwarunkowo, żadnych delegacji więcej. One go jedynie irytują. Julia Beli myśli, że jeżeli tylko wyznaczy delegację, sprawa jest załatwiona. Na przyszłą wiosnę zabierzemy się do upiększania trawników. Jeszcze przed zimą zasiejemy piękne gatunki traw. Otrzymałem właśnie rozprawkę o urządzaniu trawników i postaram się jak najprędzej ją zreferować... Wakacje dobiegają końca: w poniedziałek zaczyna się szkoła. Czy Ruby Gillis obejmie szkołę w Carmody?

— Tak. Priscilla pisała mi, że wzięła posadę w swym rodzinnym mieście, a jej dawne stanowisko Komitet ofiarował Ruby Gillis. Przykro mi, że Priscilla już do nas nie powróci, lecz jeśli tak być musi, rada jestem, że zastąpi ją Ruby. Soboty będzie przecież spędzała u rodziców w Avonlea i jak za dawnych czasów nasza czwórka z Janka i Dianą będzie znowu razem.

Powróciwszy do domu, Ania zastała Marylę siedzącą na kamiennych schodkach ganku.

— Byłam u Małgorzaty. Postanowiłyśmy jechać jutro do miasta. Mąż jej czuje się lepiej w tym tygodniu, więc Małgorzata chce wykorzystać tę chwilę, zanim nastąpi nowy atak.

— Ja zaś postanowiłam wstać jutro bardzo wcześnie, gdyż mam moc roboty — rzekła Ania. — Przede wszystkim muszę przesypać pierze z mojej pierzynki do nowej poszwy. Powinnam była już dawno to uczynić, lecz odkładałam tę wstrętną robotę. Jest to złe przyzwyczajenie odkładać przykre zajęcia na później. Mnie szczególnie nie wolno tego robić, bo jakże mogłabym łajać dzieci za takie postępowanie. Byłoby to nielogiczne. Chcę też upiec placek dla pana Harrisona, skończyć referat o ogrodach dla K.M.A., napisać do Stelli, uprać i uprasować moją białą sukienkę, no i uszyć fartuszek dla Toli.

— I połowy tego nie wykonasz — ostrzegła przewidująca jak zwykle Maryla. — Ilekroć projektujemy wiele, zawsze zdarza się coś, co staje nam na przeszkodzie.

XX. ZWYKŁA KOLEJ RZECZY.

Nazajutrz Ania zerwała się wczesnym rankiem i radośnie powitała jasny wschód słońca, triumfalnie unoszącego się na perłowym niebie. Zielone Wzgórze tonęło w morzu blasków, poprzerzynanym rozkołysanymi cieniami wierzb i topoli. Za drogą rozciągał się łąn bladozłotej pszenicy lekko falującej od podmuchów wiatru. Świat był tak piękny, że Ania stała kilka chwil bez ruchu u furtki, upajając się jego czarem. Po śniadaniu Maryla przygotowała się do odjazdu. Zabierała ze sobą Tolę, której od dawna przyrzekła tę przejażdżkę.

— A ty, Tadiusz, bądź greczny i nie męcz Ani — upominała chłopca. — Jeśli usłyszysz, żeś się dobrze sprawował, dostaniesz torebkę różowych karmelków.

Niestety, Maryla odstąpiła od swych szczytnych zasad i ostatnio nauczyła się przekupywać Tadzio, aby zmusić go do grzeczności.

— Nie będę psocił umyślnie, ale jeśli mi się coś zdarzy przypadkiem? — chciał się upewnić Tadzio.

— Wystrzegaj się przypadków. Aniu, gdy przyjdzie pan Shearer, wybierz dobry kawał pieczeni i parę befsztyków, w przeciwnym razie trzeba będzie zabić kurczaka na jutrzejszy obiad.

— Szkoda mi czasu na gotowanie obiadu tylko dla nas dwojga. Wystarczy nam reszta zimnej szynki, a befsztyki usmażę, gdy powrócicie wieczorem.

— Ja pójdę przed południem pomagać panu Harrisonowi zbierać trawę morską — zawiadomił Tadzio. — Prosił mnie wczoraj i na pewno poczęstuje mnie obiadem. Pan Harrison jest strasznie miły. Chciałbym być taki jak on, gdy dorosnę. Tylko nie z twarzy. Ale tego się nie boję, bo pani Linde mówi, że jestem bardzo ładny. Powiedz mi, Aniu, czy zawsze będę ładny?

— Przypuszczam, że będziesz — odrzekła Ania poważnie, nie spostrzegając wyraźnego niezadowolenia Maryli. — Jesteś rzeczywiście ładnym chłopcem, toteż powinieneś się zachowywać równie grzecznie i rycersko, jak na to wyglądasz.

— A dlaczego wczoraj, kiedy Minia Barry płakała, że jest brzydka, powiedziałaś jej, żeby była miła i grzeczna, to nikt jej nie będzie uważał za brzydką? — pytał niezadowolony Tadzio. — Czy się jest ładnym, czy brzydkim, zawsze trzeba być grzecznym!

— A ty sam nie pragniesz być grzecznym? — wtrąciła Maryla, która nauczyła się już wielu rzeczy, ale nie zdawała sobie sprawy z bezcelowości takich pytań.

— Owszem, ja chcę być grzecznym, ale nie za bardzo — odpowiedział Tadzio przezornie. — Można się źle sprawować i zostać dyrektorem szkoły niedzielnej. Pan Bell jest dyrektorem, a to przecież strasznie zły człowiek.

— To nieprawda! — zawołała Maryla z oburzeniem.

— Właśnie, że jest. Sam to mówił — zapewniał Tadzio. — W niedzielę przy modlitwie. Mówił, że jest marnym robakiem i nędznym prochem. Co on takiego zrobił, Marylo? Zabił kogo czy okradł skarbonkę kościelną? Chciałbym to wiedzieć!

Szczęściem, w tej chwili nadszedła pani Linde i wybawiła Marylę z trudnej sytuacji, w jaką ją wprawiły kłopotliwe pytania Tadzia. W duszy życzyła sobie, ażeby na przyszłość pan Beli zechciał unikać tak ryzykownych przenośni w kazaniach wygłaszanych dla małych dzieci. Pozostawszy sama, Ania zabrała się z zapalem do pracy. W mgnieniu oka łóżka były zasłane, podłogi zamiecione, kury nakarmione, a uprana biała sukienka rozwieszona na sznurze. Teraz czekało ją przesypywanie pierzyny. Skoczyła na strych i zarzuciła na siebie pierwszą lepszą starą sukienkę, jaka jej wpadła w ręce — granatową wełnianą, trzy lata temu odłożoną do rupieci. Sukienka ta była tak wyrośnięta i ciasna, jak owa słynna bawełniana, w której Ania w swoim czasie pojawiła się na Zielonym Wzgórzu. Puch i pierze nie mogły już temu ubiorowi wyrządzić żadnej szkody. Stroju dopełniała okręcona wokół głowy czerwona kraciasta chustka, ongiś własność Mateusza. W tym przebraniu Ania udała się do pokoiku przy kuchni, dokąd już poprzednio zaniósła pierzynę. U okna wisiało pęknięte lustro. Ania rzuciła nań okiem — przez jedną niefortunną chwilę. Siedem piegów na nosie odcinało się wyraźniej niż zwykle, może wskutek blasku padającego przez nie osłonięte szyby. “Zapomniałam wczoraj natrzeć nos maścią — pomyślała. — Muszę to zaraz zrobić”. Ania stosowała już różne środki w celu usunięciu piegów; przy jednej z prób skóra zeszła jej z całego nosa, ale piegi pozostały. Przed paru dniami znalazła w jakimś czasopiśmie nową receptę na piegi. Wobec tego, iż wszystkie składniki potrzebne do jej przygotowania miała w domu, sporządziła ją bezzwłocznie ku wielkiemu niezadowoleniu Maryli, która uważała, że jeśli Opatrzność umieściła na czymś nosie piegi, nie należy ich usuwać. Ania udała się do spiżarni, zwykle mrocznej z powodu cienia wierzby rosnącej tuż pod oknem. W tej chwili panowała tam zupełna ciemność, gdyż żaluzja była zapuszczona dla zabezpieczenia zapasów przed natrętnymi muchami. Zdjęła z półki butelkę z lekarstwem i starannie wysmarowała

cały nos pędzelkiem, specjalnie przygotowanym na ten cel. Po dokonaniu tej ważnej czynności wróciła natychmiast do swego zajęcia. Ten, kto kiedykolwiek przesypywał pierze, wyobrazi sobie z łatwością wygląd Ani po skończonej pracy. Suknia jej była biała od pierza, a wymykające się spod chustki przyprószone puchem kosmyki włosów tworzyły istną aureolę.

W tej nieszczęsnej chwili u drzwi kuchni rozległo się stukanie.

“To na pewno pan Shearer — pomyślała Ania. — Wyglądam jak czarownica, ale nie mam czasu się przebierać, bo nie będzie czekał ani chwili”. I pędem pobiegła do drzwi.

Jeśli kiedykolwiek litościwa ziemia rozstępowała się, by pochłonąć zrozpaczoną dziewczinę, to podłoga przedsionka na Zielonym Wzgórzu powinna się była zapaść pod upierzoną Anią. Na progu stały: Priscilla Grant, elegancka w swej jedwabnej sukni, niska, tęga, siwowłosa dama w płóciennym kostiumie i jakaś trzecia pani — wysoka, wytwornie ubrana, o pięknej, szlachetnej twarzy i wielkich fiołkowych oczach ocienionych długimi rzęsami.

— Przeczucie mi powiedziało — wyraziłaby się Ania dawnymi czasy — że to była Karolina Morgan.

W tej rozpaczliwej chwili jedna jedyna myśl wyłoniła się z chaosu panującego w jej głowie. Uczepiła się jej jak zbawczej deski ratunku. Wszystkie bohaterki pani Morgan wyróżniały się tym, że w każdej sytuacji “stawały na wysokości zadania”. Bez względu na przeciwności losu okazywały swą wyższość nad wszelkimi niedolami życia i zawsze “stały na wysokości zadania”. Ania uświadomiła sobie, że obowiązkiem jej było pójść w ich ślady, i uczyniła to tak doskonale, że Priscilla nazajutrz orzekła, iż nigdy w życiu nie podziwiała Ani Shirley tak jak w owej chwili. Bo Ania, chociaż zgnębiona i przejęta wstydem, nie okazała tego absolutnie. Przywitała Priscillę, a gdy ta przedstawiła ją swoim towarzyszkom,

Ania kłaniała się z takim spokojem i swobodą, jak gdyby była przybrana w jedwabie i aksamity. Niewątpliwie oszołomiło ją odkrycie, że dama, co do której “przeczucie jej powiedziało”, iż była panią Morgan, okazała się jakąś nieznaną panią Pendexter, nazwisko zaś sławnej powieściopisarki nosiła krępa, siwowłosa osoba. Ale ta przykreść już ją mało dotknęła. Wprowadziła swych gości do bawialni, po czym wybiegła pomóc Priscilli wyprząć konia.

— Bardzo mi przykro, że zaskoczyłyśmy cię tak niespodziewanie — przepraszała Priscilla — ale do wczoraj wieczór nie wiedziałam, że przyjedziemy. W

poniedziałek ciotka Karolina miała wrócić do domu, a dzień dzisiejszy postanowiła spędzić u przyjaciółki w mieście. Lecz wczoraj wieczorem przyjaciółka ta odwołała zaproszenie z powodu wybuchu szkarlatyny w jej domu. Wiedząc, jak bardzo pragniesz poznać ciotkę, zaproponowałam odwiedziny u was. Po drodze wstąpiłyśmy do Białych Piasków po przyjaciółkę ciotki, panią Pendexter, która stale mieszka w New Yorku i jest żoną milionera. Czasu mamy mało, gdyż pani Pendexter musi być w hotelu na piątą.

Wyprzęgając konia Ania kilkakrotnie pochwyciła zdumione spojrzenia Priscilli, rzucane ukradkiem w jej stronę. “Nie powinna mi się tak przyglądać — myślała z pewną urazą. — Jeżeli nawet nie wie, co to jest przesypywanie pierza, może to sobie przecież wyobrazić”. Priscilla wróciła do bawialni, a zanim Ania zdążyła pobiec na górę, w kuchni zjawiła się Diana. Ania zatrzymała ją gwałtownym ruchem.

— Diano! Czy możesz odgadnąć, kto jest teraz w naszej bawialni? Karolina Morgan i pewna milionerka z New Yorku. A ja w tym oto stroju, a w spizarce tylko resztki szynki na obiad.

I znowu zauważyła, że Diana spogląda na nią tym samym zagadkowym wzrokiem, jakim przed chwilą patrzyła Priscilla. Tego już było za wiele.

— Ach, Diano, nie patrz na mnie w ten sposób — błagała. — Ty przynajmniej powinnaś wiedzieć, że najzręczniejsza osoba na świecie nie potrafi przesypać pierza i pozostać przy tym nie zapierzona.

— Ale... ale to nie pierze, Aniu. To twój nos — wyjąkała Diana.

— Mój nos? Nic mu się chyba nie stało. Ania pośpieszyła do lusterka. Jedno spojrzenie odkryło fatalną rzeczywistość: nos był szkarłatny. Osunęła się na krzesło — pewność siebie opuściła ją wreszcie.

— Co to takiego? — pytała Diana ciekawie.

— Myślałam, że smaruję nos lekarstwem na piegi, tymczasem użyłam czerwonej farby, którą Maryla znaczy ścierki — brzmiała rozpaczliwa odpowiedź. — Co teraz pocznę?

— Zmyj ją — poradziła praktyczna Diana.

— A może się nie zmyje? Raz już ufarbowałam sobie włosy, dzisiaj pomalowałam nos. Wtedy Maryla ścięła mi włosy, dziś środek ten trudno byłoby zastosować. Oto jeszcze jedna kara za próżność. Zasłużyłam na nią. Ale to niewielka pociecha. Doprawdy to chyba wystarcza, ażeby uwierzyć, że urodziłam się pod złą gwiazdą.

Na szczęście farbę udało się zmyć i Ania nieco pocieszona pośpieszyła na swoją facjatkę, a Diana pobiegła do domu. Po chwili Ania przebrana i w dobrym humorze zjawiała się na dole. Jej biała sukienka, w której pragnęła się zaprezentować, powiewała, jak na urągowisko, na sznurze — Ania musiała się zadowolić czarną batystową. Rozpaliła ogień i zagotowała herbatę, zanim powróciła Diana. Diana przynajmniej miała na sobie białą sukienkę: w rękach trzymała przykryty półmisek.

— Matka moja ci to przysłała — rzekła podnosząc pokrywę i ukazując uszczęśliwionej Ani zręcznie pokrajane i ułożone kurczę.

Świeży chleb, doskonałe masło i ser, placek owocowy wypieku Maryli i salaterka konfitur ze śliwek pływających w złotym syropie niby w zakrzepłych promieniach słońca, dopełniły uczty. Wielki wazon białych i różowych astrów przystrajał stół, ale

wszystko to razem wydawało się Ani bardzo nędzne w porównaniu z wyszukaniem przyjęciem, przygotowanym tak niedawno dla pani Morgan. Jednakże głodni goście zdawali się nie widzieć żadnych braków i zjadali z wielkim smakiem skromne potrawy. Po kilku chwilach i Ania zapomniała o swoim “menu”. Powierzchność pani Morgan zawiodła oczekiwania jej wielbicielek, lecz rozmowa z nią okazała się czarująca. Pisarka podróżowała bardzo wiele i umiała opowiadać. Znała świat i ludzi, a doświadczenia swe opowiadała dowcipnie i wesoło, olśniewając słuchaczy. Pod jej iskrzącym się dowcipem wyczuwało się głęboką życzliwość, prawdziwą kobiecą serdeczność, która budziła sympatię, tak jak jej błyskotliwość budziła podziw. Zręcznie wciągała do rozmowy, tak że zanim Ania i Diana spostrzegły, gawędziły z nią jak ze starą przyjaciółką. Pani Pendexter była małomówna, tylko uśmiech igrał w jej pięknych oczach i na ustach, zjadła kurczę i ciasto z tak nadzwyczajnym wdziękiem, jakby miała przed sobą przynajmniej nektar i ambrosję. Toteż Ania później zwierzyła się Dianie, że ktoś tak bosko piękny jak pani Pendexter, nie potrzebuje wcale mówić — wystarcza, gdy się na niego patrzy.

Po obiedzie towarzystwo udało się na przechadzkę poprzez Aleję Zakochanych, Dolinę Fiołków, Ścieżkę Brzóz i Las Duchów aż do Źródła Nimf, gdzie rozłożono się na półgodzinny odpoczynek. Rozmowa toczyła się przemiłe. Pani Morgan uśmieiała się do łez podczas opowiadania Ani o pewnej pamiętnej wieczornej przechadzce, której Las Duchów zawdzięczał swoją nazwę.

— Czyż to nie była istna uczta dla umysłu i serca? — pytała Ania Dianę po odjeździe gości. — Nie umiałabym powiedzieć, kiedy doznawałam większej rozkoszy:

sluchając pani Morgan czy też patrząc na panią Pendexter? Sądzę, że spędziłyśmy czas przyjemniej, niż gdybyśmy były uprzedzone o ich przyjeździe i musiały się zająć wyszukaną obsługą. Zostań ze mną na herbacie, Diano, pogadamy jeszcze o wszystkim.

— Priscilla mówi, że szwagierka pani Pendexter jest angielską hrabiną, a jednak pani Pendexter wzięła drugą porcję konfitur — rzekła Diana, jak gdyby te dwa fakty nie dawały się pogodzić.

— Nawet sam hrabia nie mógłby skrzywić swego arystokratycznego nosa na konfitury Maryli — zauważyła Ania dumnie.

O tym, co przydarzyło się jej własnemu nosowi, Ania nie wspomniała opowiadając Maryli historię dnia, lecz lekarstwo na piegi wylała za okno.

— Nigdy już nie będę stosowała środków upiększających — postanowiła uroczyście. — To dobre dla ludzi rozważnych, a nie dla takich, którzy, jak ja, są nieodwołalnie skazani na popełnianie ciągłych pomyłek.

XXI. NOWA ZNAJOMA

Rok szkolny się zaczął i Ania powróciła do pracy z mniejszą ilością teorii, lecz z większym zasobem doświadczenia. Przybyło kilku uczniów, sześć— i siedmioletnich małych pielgrzymów, z zaciekawieniem rozpoczynających wędrówkę po nowej krainie dziwów. W ich gronie znajdowali się Tadzio i Tola. Tadzio siedział w jednej ławce z Emilkiem Boulterem, który wydawał mu się doświadczonym człowiekiem, ponieważ już drugi rok chodził do szkoły. Tola już poprzedniej niedzieli umówiła się z Lili Sloane, że będą siedzieć razem. Ale że Lili pierwszego dnia nie przyszła, Tolę posadzono obok Miry Cotton, dziesięcioletniej dziewczynki uchodzącej w oczach Toli za jedną z “dużych”.

— To bardzo przyjemnie chodzić do szkoły — zwierzał się Tadzio Maryli po powrocie do domu. — Maryla mówiła, że trudno mi będzie usiedzieć spokojnie. I tak było. Naprawdę Maryla ma często rację. Ale mogę przecież machać nogami pod ławką, a to bardzo pomaga. Jak to świetnie mieć tylu kolegów, z którymi można się bawić. Siedzę obok Emilka. To wielki zuch. On jest dłuższy ode mnie, ale ja jestem szerszy. Lepiej jest siedzieć w ostatnich ławkach, tylko że tam sadzają dopiero wtedy, gdy ma się takie długie nogi, że sięgają do ziemi. Emilek narysował na swej tabliczce Anię. Była strasznie brzydka. Powiedziałem

mu, że jeśli będzie robił takie portrety Ani, to go zwałę podczas pauzy. Z początku chciałem go także narysować — z ogonem i rogami — ale bałem się, że “zranię jego uczucia”, a Ania mówi, że nie wolno “ranić niczyich uczuć”. Lepiej jest kogoś zwalić niż “zranić jego uczucia”, jeśli już koniecznie chce się coś zrobić. Emilek powiedział, że się mnie nie boi, ale może dla mojej przyjemności zmazać “Ania” i napisać “Basia Shaw”. Emilek nie cierpi Basi, bo ona o nim mówi: “słodki chłopczyk”, a raz pogłaskała go po głowie.

Tola powiedziała, że lubi szkołę, ale wydawała się dziwnie przygnębiona. A kiedy o zmierzchu Maryla kazała jej pójść na górę położyć się spać, ociągała się i w końcu zaczęła płakać.

— Bo boję się — szlochała — boję się iść sama na górę po ciemku.

— Co ci przyszło do głowy? — powiedziała Maryla.

— Przecież dotychczas zawsze chodziłaś spać sama i nie bałaś się.

Ponieważ jednak Tola nie przestawała łkać, Ania wzięła ją na ręce i pieszcząc szepnęła:

— Powiedz Ani, co ci się stało, kochanie? Czego się lękasz?

— Boję się wuja Miry Cotton — szlochała Tola. — Dziś w szkole Mira opowiadała mi o swojej rodzinie... Prawie wszyscy tam umarli. Wszyscy dziadkowie i babki, nawet wiele wujów i ciotek. Mira mówi, że oni “mają zwyczaj” umierać i bardzo jest dumna z tylu umarłych krewnych. Opowiadała mi także, na co umarli, co mówili przed śmiercią i jak wyglądali w trumnie. A jeden wuj po swoim pogrzebie chodził dokoła domu — matka jej widziała go. O tych innych wcale nie myślę, ale nie mogę zapomnieć tego wuja.

Ania zaniósła Tolę na górę i pozostała przy niej, dopóki dziewczynka nie usnęła. Nazajutrz zaś na pauzie łagodnie, lecz stanowczo zwróciła Mirze uwagę, że jeżeli ktoś jest taki nieszczęśliwy, iż posiada wuja, który jeszcze po śmierci przechadza się koło domu, nie powinien opowiadać bajek o tym dziwaku swym młodszym koleżankom. Mira poczuła się dotknięta... Cottonowie nie mieli zbyt wielu powodów do rozgłosu. Czymże będzie się chełpiła wobec koleżanek, jeżeli zabronią jej mówić o duchu rodzinnym?

Wrzesień minął, ustępując miejsca purpurowo złotemu przepychowi października. Pewnego wieczora na Zielonym Wzgórzu zjawiała się Diana.

— Dostałam dziś list od Eli Kimball. Zaprasza nas na jutro na podwieczorek, byśmy poznały jej kuzynkę, która przyjeżdża z miasta. Niestety nic z tego, bo nasze konie będą jutro zajęte, a wasz kucyk podobno kuleje.

— Mogłybyśmy przecież pójść pieszo — zdecydowała Ania. — Idąc prosto przez las, dojdziemy do grafitowskiego gościńca niedaleko posiadłości Kimballów. Szłam tamtędy zeszłej zimy i znam tę drogę. To nie będzie więcej niż cztery mile. Z powrotem zaś odwiezie nas z pewnością Oliver Kimball, który aż nadto rad będzie przy sposobności odwiedzić Karolę Sloane.

Ostatecznie postanowiły pójść pieszo. Udały się Aleją Zakochanych na tyły posiadłości Cuthbertów, gdzie trafiły na ścieżkę wiodącą w głąb brzozowo—klonowego lasu, mieniącego się złotem i czerwienią jesiennych liści, pełnego ciszy i spokoju.

— Jak gdyby rok ukląkł modląc się w katedrze zalanej potokiem jarzącego światła! — zachwycała się Ania. — Nie spieszmy się tak bardzo, nie przystoi gonić się w kościele.

— Ależ musimy się śpieszyć — protestowała Diana spoglądając na zegarek. — I tak mamy mało czasu.

— Dobrze, pójdę szybciej, ale nie każ mi rozmawiać — zgodziła się Ania przyspieszając kroku. — Chcę się upoić słodczą dzisiejszego dnia. Wydaje mi się, że za każdym krokiem zbliżam do ust czarę boskiego wina.

Pogrążona w “upajaniu się boskim winem” Ania nie zauważyła wcale, że na rozstaju skręciła w lewo. Powinna była pójść w prawo, lecz później do końca życia uważała to za swą najszcześniejszą pomyłkę. Doszły wreszcie do samotnej, zarośniętej trawą drogi, wzdłuż której, jak okiem sięgnąć, ciągnął się świerkowy zagajnik.

— Na miłość Boską, gdzie jesteśmy?! — zawołała Diana przerażona. — Przecież to wcale nie jest gościniec do Graftonu!

— Rzeczywiście — rzekła Ania trochę zawstydzona. — Musiałam obrać złą drogę na rozstaju. Nie wiem dokładnie, gdzie jesteśmy, ale od Kimballów dzielą nas jeszcze co najmniej trzy mile.

— Więc nie zdążymy już na piątą, bo jest wpół do piątej — oświadczyła Diana rzucając rozpaczliwe spojrzenie na zegarek. — Spóźnimy się na podwieczorek i sprawimy im tylko kłopot.

— To może wrócimy do domu — zaproponowała Ania nieśmiało.

Ale Diana po krótkim namyśle odrzuciła ten projekt.

— Ech, chodźmy, skoro uszłyśmy taki kawał drogi, spędzimy u nich przynajmniej wieczór.

Po chwili dziewczęta znowu doszły do jakiegoś rozstaju.

— Którą drogę wybieramy? — spytała Diana niepewnie.

Ania wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Nie narażajmy się na nowe pomyłki. Oto furtka i dróżka prowadząca wprost do lasu. Musi tam być jakiś dom: wstąpimy i zapytamy o drogę.

— Cóż to za romantyczna aleja! — zauważyła Diana.

Gałęzie odwiecznych świerków tworzyły sklepienie, w którego ponurym mroku mogły rosnąć jedynie mchy. Z obu stron drogi — nic prócz brązowych pni świerków, między którymi gdzieś przedzierał się złoty promień słońca. Zacisznie tu było i spokojnie, jak gdyby świat i jego troski znajdowały się hen, daleko.

— Wydaje mi się, że wędrujemy przez zaczarowany las — rzekła Ania przytłumionym głosem. — Czy sądzisz, Diano, że odnajdziemy kiedykolwiek drogę do

świata rzeczywistości? Teraz chyba powinniśmy natrafić na pałac z zaczarowaną księżniczką.

Za następnym zakrętem ujrzały, co prawda, nie pałac, ale maleńki domek. W tej okolicy pospolitych drewnianych domków, podobnych do siebie niby dwie krople wody, był on równie zadziwiający, jak byłby nim pałac. Ania stanęła jak wryta, Diana zaś zawołała:

— Wiem już, gdzie jesteśmy! To kamienny domek panny Lawendy Lewis. Nazywa go Chatką Ech. Jakiż to poetyczny zakątek!

— To najczarowniejsze, najmiłsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam lub wyobrażałam sobie — zachwyciła się Ania. — Istne marzenie, wygląda jak z bajki.

Domek był niski, zbudowany z czerwonego nie ociosanego kamienia, miał spiczasty dach, z którego wyzierały dwa małe okienka facjatek, ocienione dziwacznymi drewnianymi daszkami, oraz dwa duże kominy. Owijały go zwoje przepyszego bluszczu, czepiającego się chropowatej ściany, a obecnie, dzięki jesiennym przymrozkom, pałającego najpiękniejszymi odcieniami szkarłatu i brązu. Furtka, przez którą dziewczęta weszły, prowadziła do ogródka. Z jednej strony przytykał doń dom, z trzech innych otaczał go stary mur kamienny tak porośnięty mchem i trawą, że wyglądał jak nasyp. Wysokie, ciemne świerki roztaczały nad nim swe palczaste gałęzie. Poniżej zieleniła się łączka koniczyny, opadająca łagodnie ku błękitnej rzece. Żadnego domu w pobliżu, nic, tylko wzgórze i doliny porośnięte młodymi świerkami.

— Ciekawam, co to za typ ta panna Lewis — zastanawiała się Diana wchodząc do ogrodu — podobno wielka dziwaczka.

— W takim razie będzie zajmująca — zaopiniowała Ania. — Czy nie mówiłam, że trafimy na zaczarowany pałac? Wiedziałam, iż elfy nie na próżno rozrzuciły czary na tej drodze.

— Ale panna Lewis to bynajmniej nie zaczarowana księżniczka — roześmiała się Diana. — To stara panna, podobno ma lat czterdzieści pięć i jest zupełnie siwa.

— To właśnie część czarów — zapewniała Ania tajemniczo. — Duszę przecież ma młodą, a gdybyśmy tylko umiały zdjąć czary, ukazałaby się znowu urocza i promieniejąca. My jednak nie wiemy, jak to uczynić. Potrafi to tylko królewicz, a królewicz panny Lawendy jeszcze się nie zjawił. Kto wie, czy nie zaskoczyło go jakieś nieszczęście, chociaż to się sprzeciwia zasadom czarodziejskich bajek.

— Przypuszczam, że zjawił się tu już dawno, ale odszedł — rzekła Diana. — Mówią, że panna Lewis była zaręczona ze Stefanem Irvingiem, ojcem Jasia, lecz posprzeczali się i rozeszli na zawsze.

— Cicho! — ostrzegła Ania. — Drzwi są otwarte. Dziewczęta zatrzymały się w przedsionku pod zwojami bluszczu i zapukały do otwartych drzwi. Rozległ się odgłos kroków i na progu zjawiała się jakaś dziwna, mała osóbka. Była to dziewczynka lat około czternastu, piegowata, z zadartym noskiem i ustami od ucha do ucha. Dwa długie warkocze związane były ogromnymi niebieskimi kokardami.

— Czy panna Lewis jest w domu? — zapytała Diana.

— Tak, p-sze pani. Proszę do pokoju, p-sze pani. Tędy, p-sze pani. Powiem pani Lawendzie, że panie przyszły, p-sze pani. Lecę na górę, p-sze pani.

Z tymi słowami mała pokojóweczka zniknęła. Dziewczęta rozglądały się wokoło zdumionym wzrokiem. Wnętrze tego cudownego domku było równie niezwykle, jak jego zewnętrzna strona. Pokój był niski, o dwóch małych kwadratowych oknach osłoniętych muślinowymi firankami. Staroświeckie umeblowanie, czysto i starannie utrzymane, sprawiało nader miłe wrażenie. Trzeba jednak przyznać, że najbardziej pociągający dla młodych dziewcząt, którym czteromilowa przechadzka na świeżym powietrzu zaostrzyła apetyt, był stół zastawiony przysmakami ułożonymi na niebieskiej porcelanie i przybrany paprotkami. Wszystko razem tworzyło nastrój świąteczny.

— Panna Lawenda oczekuje widocznie gości — szepnęła Ania. — Jest nakryte dla sześciu osób. Ale co za zabawna pokojówka. Wygląda jak wysłaniec ze świata elfów. Potrafiłaby nam zapewne wskazać drogę, ale ciekawa jestem poznać pannę Lawendę. Pst, pst... nadchodzi.

Właśnie panna Lewis stanęła na progu. Dziewczęta były tak zdumione, że zapomniały o dobrym wychowaniu i stały osłupiałe. Podświadomie oczekiwały zwykłego, dobrze znanego im typu starej panny: suchej, kanciastej figury, gładkich, siwych włosów i okularów. Nie można było wyobrazić sobie nikogo bardziej niepodobnego do panny Lawendy. Stanęła przed nimi dama niskiego wzrostu, o pięknych, śnieżnobiałych, falujących włosach, starannie ułożonych w pukle i loki. Twarz miała prawie dziewczęcą, o różowej cerze i świeżych ustach, wielkie, łagodne, brązowe oczy i dołeczki, prawdziwe dołeczki. Ubrana była w elegancką suknię z żółtego muślinu w blade różyczki, suknię, która wydałaby się śmieszna na każdej kobiecie w jej wieku, ale na pannie Lawendzie wyglądała przemile.

— Karolina Czwarta oznajmiła mi, że chcecie się ze mną widzieć — rzekła miłym głosem, harmonizującym z jej postacią.

— Chciałyśmy zapytać o drogę do Graftonu — mówiła uprzejmie Diana. — Jesteśmy zaproszone na podwieczorek do państwa Kimball, ale zabłądziłyśmy w lesie. Czy stąd należy skrócić na prawo, czy na lewo?

— Na lewo — odpowiedziała panna Lawenda z wahającym spojrzeniem rzuconym na zastawiony stół i nagle, jakby powziąwszy jakieś postanowienie, zawołała: — Ach, czy nie pozostałybyście u mnie na herbacie? Proszę, bardzo proszę, Kimballowie będą po podwieczorku, zanim do nich zdążycie. A Karolina Czwarta i ja będziemy wam bardzo rade.

Diana spojrzeniem zapytywała Anię.

— Zostałybyśmy chętnie — rzekła żywo Ania, której uśmiechała się sposobność poznania bliżej tej zagadkowej istoty. — Lecz czy nie sprawimy kłopotu? Zdaje się, że pani oczekuje gości?

Panna Lawenda spojrzała znowu na zastawiony stół i zarumieniła się.

— Wiem, iż pomyślicie sobie, że jestem straszną dziwaczką. Jestem dziwaczką i wstydę się, gdy mnie na tym przyłapią. Nie oczekuję gości. Udamę tylko, że ich oczekuję. Jestem bardzo osamotniona, a lubię towarzystwo, odpowiednie towarzystwo, oczywiście. Lecz mało kto się tutaj zjawia, bo domek stoi tak bardzo z drogi. Karolinie Czwartej też się sprzykrzyło, więc udałam, że oczekuję gości. Przygotowałyśmy wszystko, przybrałam stół, zastawiłam porcelaną mojej matki i ubrałam się na przyjęcie.

Diana pomyślała sobie, że wieści krążące o pannie Lewis nie były pozbawione podstaw — czterdziestopięcioletnia kobieta bawiąca się jak mała dziewczynka w przyjęcia “na niby”! Lecz promiennooka Ania wykrzyknęła radośnie:

— Ach, więc pani także wyobraża sobie?

Po tym “także” panna Lawenda poznała pokrewną duszę.

— Tak — przyznała śmiało. — Oczywiście, jest to głupie u osoby w moim wieku. Lecz cóż by mi dała niezależność staropanieństwa, jeżeliby mi nawet nie wolno było postępować wedle własnego widzimisię, tym bardziej że nikogo to nie krzywdzi. Trzeba sobie jakoś wynagradzać braki życia. Czasami mam wrażenie, że nie mogłabym żyć bez marzeń. Rzadko kto przyłapał mnie na takiej dziecinnej zabawie jak dzisiejsza, a Karolina Czwarta nie ma zwyczaju plotkować. Dziś jednak nie żałuję, że zostałam na tym przyłapana, ponieważ wyście przyszli i podwieczorek akurat jest

gotów. Pozwólcie do pokoju gościnnego i zdejmijcie kapelusze — białe drzwi u szczytu schodów. Ja zaś pobiegnę do kuchni przypilnować herbaty, bo Karolina Czwarta jest bardzo dobrą dziewczynką, ale na pewno przegotuje herbatę.

W zapale gościnności panna Lawenda podreptała do kuchni, dziewczęta zaś z łatwością odnalazły gościnny pokój równie biały jak jego drzwi, z oknem przesłoniętym bluszczem i wedle słów Ani czyniący wrażenie “zakątka szczęśliwych snów”.

— Jak w bajce! — mówiła Diana. — Panna Lawenda jest wyjątkowo miła, chociaż trochę oryginalna. Nie ma w sobie nic ze starej panny.

— Dla mnie wygląda jak uosobienie poezji — rzekła Ania.

W pokoju na dole zastały pannę Lawendę wnoszącą herbatę. Karolina Czwarta z miną ogromnie rozradowaną podawała półmisek świeżutkich biszkopcików.

— A teraz powiedzcie mi wasze imiona... — prosiła gospodyni. — Cieszę się, że odwiedziły mnie młode dziewczęta. Tak lubię młodzież, w jej towarzystwie zdaje mi się, że sama jestem młoda. Tak nie lubię myśleć, że jestem stara — tu skrzywiła się — po prostu łatwiej będzie nam rozmawiać, gdy mi to powiecie. Więc jak się nazywacie? Diana Barry, Ania Shirley? Czy mogę udawać, że znam was od dawna i mówić wam po imieniu?

— Ależ owszem! — zawołały jednocześnie.

— Więc siadajmy do podwieczorku — zapraszała uszczęśliwiona panna Lawenda. — Jak to dobrze, że przygotowałam biszkopt i kruche ciasto. Przypuszczam, Karolino, iż uważałaś za dziwactwo piec ciasto dla urojonych gości, ale widzisz, jak to się dobrze złożyło? Nie byłoby się co prawda zmarnowało, bo nawet same z Karoliną Czwartą dałybyśmy mu wreszcie radę, ale biszkopt starzeje się prędko i jest wtedy niesmaczny.

Był to wesoły i pamiętny podwieczorek. Gdy przysmaki zniknęły ze stołu, całe towarzystwo przeniosło się do ogródka oblanego blaskiem zachodzącego słońca.

— Wybrała sobie pani najcudowniejszy zakątek w całej okolicy! — wykrzyknęła Diana rozglądając się z podziwem wokoło.

— Skąd powstała nazwa “Chatka Ech”? — pytała Ania.

— Karolino — zwróciła się panna Lawenda do swej małej służącej — przynieś mały, cynowy róg wiszący obok zegara. A teraz zatrąb — dodała, gdy Karolina wróciła z żądanym przedmiotem.

Karolina przytknęła rożek do ust, rozległ się ostry, chrapliwy dźwięk. Nastąpiła chwila ciszy...

A potem od lasu, sponad rzeki, przyplęnęło tysiąc ech uroczych, srebrzystych, jakby wszystkie duchy leśne grały zachodzącemu słońcu. Dziewczęta nie miały dość słów zachwyty.

— A teraz roześmiej się, Karolino, roześmiej się głośno.

Karolina, która prawdopodobnie posłuchałaby swej pani, gdyby ta kazała jej stanąć na głowie, wspięła się na kamienny mur i roześmiała się serdecznie. Echa powróciły, jak gdyby cała armia krasnoludków, ukryta wśród lasów, przedrzeźniała jej śmiech.

— Wszyscy podziwiają moje echa — rzekła panna Lawenda, jakby echa były jej osobistą własnością. — Ja też je bardzo lubię, urozmaicają moją samotność. W ciche wieczory zasiadamy przed domem i rozkoszujemy się nimi. Karolino, odnieś rożek na miejsce.

— Dlaczego pani nazywa ją Karoliną Czwartą? — pytała Diana z zaciekawiona.

— Ażeby mi się nie poplątało z innymi Karolinami — rzekła panna Lawenda poważnie. — One są tak podobne do siebie, że trudno je odróżnić. Właściwie nie nazywa się Karolina. Nazywa się... nazywa się Eleonora. Gdy przed dziesięciu laty umarła moja matka, nie mogłam tu pozostać sama, a moje środki materialne nie pozwalały mi na trzymanie dorosłej służącej. Więc zgodziłam Karolinę Bowman za życie i ubranie. Jej imię było Karolina — to była Karolina Pierwsza. Miała wtedy lat trzynaście i służyła u mnie do szesnastego roku życia. Potem udała się do Bostonu, bo otrzymała tam lepsze warunki. Miejsce jej zajęła jej siostra, Magdalena — pani Bowman ma słabość do wyszukanych imion — tak podobna do Karoliny, że nazywałam ją w dalszym ciągu Karoliną. Ponieważ zaś nie brała mi tego za złe, nie próbowałam już nazywać jej Magdaleną. Tak powstało imię Karolina Druga. Po niej przyjęłam Ewelinę, którą nazwałam Karoliną Trzecią. Teraz mam Karolinę Czwartą, ale i ona mając lat szesnaście — teraz ma czternaście — zechce na pewno pójść na służbę do Bostonu, a wtedy nie wiem doprawdy, co zrobić.

Karolina Czwarta jest najmłodszą z dziewcząt Bowmanów i najlepszą. Siostry jej zawsze dawały mi do zrozumienia, iż uważają mnie za dziwaczkę, ona zaś nigdy tego nie czyni, choć może też jest tego zdania. Obojętne mi jest, co ludzie o mnie myślą, jeśli mi tego nie okazują.

— Niestety — rzekła Diana spoglądając z żalem na zachodzące słońce — musimy już iść, żeby zdążyć do państwa Kimball przed zmrokiem. Spędziłyśmy ogromnie miłe popołudnie, panno Lawendo.

— Może odwiedzicie mnie znowu kiedy? — prosiła panna Lawenda.

Ania uściśnęła ją serdecznie.

— Bardzo chętnie — przyrzekła. — Skoro odnalazłyśmy panią, postaramy się wykorzystać tę szczęśliwą okoliczność. Tak, musimy już iść... Musimy się rozstać, jak mówi Jaś Irving, ilekroć żegna się ze mną na Zielonym Wzgórzu.

— Jaś Irving — głos panny Lawendy zadrżał lekko. — Któż to taki? Nie wiedziałam, że ktoś o tym nazwisku mieszka w Avonlea.

Ania pożałowała swego roztrzepania. Nie pamiętała o historii dawnej miłości panny Lawendy, gdy z ust jej padło imię Jasia.

— To mój mały uczeń — wyjaśniła. — Zeszłej zimy przybył z Bostonu do swej babki mieszkającej nad zatoką.

— Czy to syn Stefana Irvinga? — spytała panna Lawenda, pochylając się nad klombem kwiatów, których imię nosiła.

— Tak.

— Ofiaruję wam, kochane dziewczęta, po wiązance mego ulubionego kwiatu — rzekła wesoło, jak gdyby nie słysząc odpowiedzi na swoje pytanie. — Tak cudnie pachnie. Matka moja ogromnie go lubiła. Te kwietniki to jej zasługa. A wiecie, dlaczego ja noszę to imię? Ojciec poznał moją matkę, gdy razem z jej bratem przyjechał na wakacje do Graftonu. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Pościel w gościnnym pokoju była przepojona zapachem lawendy. Ojciec całą noc nie spał i marzył o swej ukochanej. Odtąd przepadał za kwiatami lawendy i mnie nadał to imię... Moje drogie, nie zapominajcie o mnie. Będziemy was oczekiwały, Karolina Czwarta i ja.

Otworzyła im furtkę pod świerkami. Twarz jej nagle wydała się postarzała i zmęczona — blask i żywość zniknęły — tylko uśmiech pozostał młody. Lecz gdy na pierwszym zakręcie dziewczęta obejrzały się za siebie, zobaczyły ją na kamiennej ławce pod srebrną topolą z głową smutnie opartą na dłoni.

— Wydaje się bardzo samotna — rzekła Diana miękko — musimy częściej ją odwiedzać.

— Doprawdy, nazwano ją jedynym dla niej odpowiednim imieniem — rozważała Ania. — Gdyby została ochrzczona Marią, Anielą czy Elżbietą, musiano by

ją nazwać Lawendą, która zawsze wywołuje wspomnienie wdzięku staroświecczyny i stylowych sukien. Niestety, moje imię przypomina tylko chleb z masłem, łątanie bielizny i porządki domowe.

— Co znowu! — zaprzeczyła Diana. — Dla mnie Anna to imię pełne majestatu. Ale ty mogłabyś się nazywać nawet Prakseda, bo, moim zdaniem, ludzie sami zdołają lub szpecą swoje imiona. Teraz nie cierpię imion Józia i Berta, a podobały mi się bardzo zanim poznałam Pye'ówny.

— Śliczna myśl, Diano — rzekła Ania z zapalem. — Trzeba żyć tak, aby upiększyć swe imię, nawet jeśli poprzednio nie brzmiało pięknie. Niech każdy, kto myśli o nas, wyobraża sobie nasze zalety, które mu przysłonią brzydotę imienia. Dziękuję ci, Diano.

XXII. To i owo

Więc byliście na podwieczorku u Lawendy Lewis? — pytała Maryla nazajutrz przy śniadaniu. — Jakże teraz wygląda? Widziałam ją po raz ostatni piętnaście lat temu w graftedńskim kościele. Zapewne bardzo się zmieniła... Tadziu, jeśli chcesz coś, czego nie możesz osiągnąć, poproś, żeby ci podano, a nie kładź się na stole. Czy Jaś Irving zachowywał się tak, gdy był tu na podwieczorku?

— Bo Jaś ma dłuższe ręce — tłumaczył Tadzio. — Jego rosły jedenaście lat, a moje tylko siedem. Zresztą ja prosiłem, ale wy z Anią jesteście tak zajęte rozmową, że nie słyszałyście. I Jaś przychodzi tu tylko na podwieczorki, łatwiej jest być grzecznym przy podwieczorku niż przy śniadaniu. Nie jest się wcale tak głodnym, a od kolacji do śniadania trzeba strasznie długo czekać. Patrz, Aniu, łyżeczka od cukru nie Jest wcale większa, niż była w zeszłym roku, a ja Przecież dużo urosłem.

— Nie wiem, co prawda, jak panna Lawenda wygadała piętnaście lat temu, ale nie sądzę, żeby się bardzo zmieniła — odpowiedziała Ania, dając Tadziovi, w celu uspokojenia go, dwie czubate łyżeczki syropu. — Ma wprawdzie śnieżnobiałe włosy, ale twarz jej jest świeża i prawie dziewczęca, ma łagodne brązowe oczy ze złotymi ognikami, a głos jej przypomina szemrzący strumyk i czarodziejskie dzwoneczki.

— W młodości swej była uważana za piękność — rzekła Maryla — znałam ją bardzo mało, ale podobała mi się, mimo że wtedy już mówiono, że jest dziwaczką. Tadziu, jeśli jeszcze raz uczynisz coś podobnego, będziesz jadał oddzielnie, gdy my wstaniemy od stołu.

Prawie każda rozmowa Maryli i Ani, tocząca się w obecności bliźniąt, była przerywana karcącymi uwagami skierowanymi do Tadzia. Tadzio, nie mogąc zebrać łyżeczką ostatnich kropel syropu, wziął w obie ręce talerzyk i począł go skrupulatnie oblizywać swym różowym języczkiem. Spotkawszy pełne oburzenia spojrzenie Ani, mały winowajca poczerwieniał po same uszy i bronił się na poły wyzywająco, na poły ze wstydem:

— Tak się chociaż nic nie zmarnuje.

— Ludzi nieprzeciętnych zawsze nazywa się dziwakami — mówiła Ania. — A panna Lawenda jest bezsprzecznie niepospolita, chociaż trudno orzec, na czym to polega. Pochodzi to może stąd, iż należy do tych ludzi, którzy się nigdy nie starzeją.

— Należy starzeć się wraz ze wszystkimi swymi rówieśnikami — orzekła Maryla trochę bezwzględna w swym sądzie. — Kto tego nie czyni, musi wreszcie zostać samotny. Wydaje mi się, że Lawenda Lewis odbiegła zupełnie od swego pokolenia. Mieszka też na takim odludziu, że wszyscy o niej zapomnieli. Jej domek jest jednym z najstarszych na wyspie. Pan Lewis zbudował go, gdy tylko się tu osiedlił, jakieś osiemdziesiąt lat temu... Tadziu, przestań trącać Tolę. Widziałam dobrze, nie rób niewinnej miny. Czemu się tak źle sprawujesz?

— Może wstałem dziś lewą nogą — zgadywał Tadzio. — Emilek Boulter mówi, że takiego dnia wszystko musi już iść źle. Babka mu to powiedziała. Ale dlaczego akurat lewą? I co zrobić, jeżeli łóżko stoi prawą stroną przy ścianie? Chciałbym to wiedzieć.

— Zawsze byłem ciekawa, co właściwie zaszło między Lawendą a Stefanem Irvingiem — ciągnęła Maryla, nie zwracając uwagi na Tadzia. — Byli przecież zaręczeni i nagle zerwali. Nie wiem, o co im poszło, ale przypuszczam, że musiało to być coś ważnego, bo Stefan wyjechał do Stanów i nigdy już nie wrócił do domu.

— A może to wcale nie było nic ważnego. Czasem drobiazgi odgrywają w życiu większą rolę niż rzeczy ważne — rzekła Ania z nagłym przeblyskiem świadomości, jaką zwykle daje tylko doświadczenie. — Ale, proszę cię, Marylo, nie mów pani Linde o mojej bytności u panny Lewis. Z pewnością zadawałaby mi setki pytań, na które nie chciałabym odpowiadać ze względu na pannę Lawendę... myślę, że ona nie życzyłaby sobie tego.

— Jestem pewna, że Małgorzata byłaby ciekawa wszystkich szczegółów — przyznała Maryla — pomimo że obecnie ma mniej czasu niż dawniej na zajmowanie się cudzymi sprawami. Trudno jej jest wychodzić z domu ze względu na Tomasza i wpada w coraz większe przygnębienie, gdyż zaczyna tracić nadzieję co do jego powrotu do zdrowia. W razie katastrofy zostanie bardzo osamotniona, gdyż wszystkie jej dzieci, z wyjątkiem jednej Elizy, wywędrowały w świat. Małgorzata twierdzi, że gdyby Tomasz tylko opanował się całą siłą woli, wyzdrowiałby od razu. Ale niechże się nie trzęsie jak galareta! Tomasz nigdy nie posiadał siły woli. Do dnia ślubu rządziła nim matka, a potem objęła władzę Małgorzata. Istny cud, że odważył się zachorować, nie zapytawszy jej o pozwolenie. Ale niesłusznie jestem złośliwa. Małgorzata uchodziła zawsze za dobrą żonę.

Bez jej pomocy nie osiągnąłby nic w życiu. Przeznaczeniem jego było żyć pod pantoflem i szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostał się w ręce takiej rozumnej i

praktycznej kobiety jak Małgorzata. Nie brał jej za złe despotyzmu, bo to mu oszczędzało kłopotów samodzielnych decyzji. Tadeuszu, przestań się wreszcie wiercić.

— Nie mam nic innego do roboty — bronił się Tadeusz. — Ja już wszystko zjadłem, a to żadna przyjemność patrzeć, jak wy jecie.

— Więc idź z Tolą nakarmić kury — zarządziła Maryla. — Tylko nie wyrywaj już więcej piór z ogona białemu kogutowi.

— Kiedy potrzeba mi piór na indiański pióropusz — skarżył się Tadeusz. — Emilek ma taki pyszny, aż miło. Matka dała mu pióra, gdy zabiła ich starego zawadiakę. Dajcie i wy mnie parę. Nasz kogut ma na pewno więcej piór, niż mu potrzeba.

— Możesz sobie wziąć ze strychu stare skrzydło do okurzania. Pomaluję ci pióra na zielono, czerwono i żółto — przyrzekła Ania.

— Psujesz chłopca — rzekła Maryla, gdy Tadeusz rozpromieniony wybiegł za Tolą.

W ciągu ostatnich sześciu lat Maryla odrzuciła wiele swych dawnych pedagogicznych zasad, lecz trzymała się uparcie zdania, że nie należy dogadzać dziecku we wszystkich jego zachciankach.

— Wszyscy jego koledzy mają indiańskie pióropusze, więc nic dziwnego, że i on o tym marzy — mówiła Ania. — Wiem, co się wtedy czuje. Nigdy nie zapomnę, jak pragnęłam bufiastych rękawów, widząc je u innych dziewczynek. A Tadeusz bynajmniej nie psuje. On z każdym dniem sprawuje się lepiej. Pomyśl, jaka w nim zaszła zmiana od czasu, gdy tu przybył.

— Rzeczywiście, nie psoci tyle, odkąd uczęszcza do szkoły — przyznała Maryla. — Pewno dość się nadokazuje z innymi chłopcami. Ale nie rozumiem, dlaczego już od maja nie mam żadnych wiadomości od Ryszarda Keitha.

— Lękam się jego listu — westchnęła Ania sprzątając ze stołu. — Gdy list przyjdzie, będę lękała się go otworzyć. Oby tylko nie zażądał odesłania bliźniąt.

W miesiąc potem list nadszedł. Pisał go nie Ryszard, lecz jego przyjaciel, donosząc, iż Ryszard Keith zmarł na suchoty. Piszący był jednocześnie wykonawcą testamentu, w którym zmarły zapisał dwa tysiące dolarów Tadeuszowi i Teodorze Keith. Procenty od tej sumy do czasu dojścia dzieci do pełnoletności miała otrzymywać panna Cuthbert na pokrycie kosztów ich wychowania.

— To straszne cieszyć się czymś, co ma związek ze śmiercią — mówiła Ania poważnie. — Żał mi biednego pana Keitha, lecz rada jestem, że dzieci u nas zostaną.

— Bardzo jestem zadowolona z tych pieniędzy — rozważała Maryla. — I ja pragnęłam zatrzymać dzieci, ale doprawdy nie wiedziałam, czy uda mi się związać koniec z końcem. Dochody z farmy ledwo wystarczają na utrzymanie domu, a postanowiłam nie ruszyć ani centa z twojego kapitału. Ty i tak zbyt wiele poświęcasz dla nich. Ten nowy kapelusz, który kupiłaś Toli, jest jej akurat tak potrzebny jak kotu drugi ogon. Teraz mam chociaż spokojną głowę — dzieci są zabezpieczone.

Tola i Tadzio byli zachwyceni wiadomością, iż pozostaną na Zielonym Wzgórzu “na zawsze”. Śmierć wuja, którego nie znali, nie mogła przyćmić ich radości. Tola miała tylko jedną wątpliwość.

— Czy wuj Ryszard jest pochowany? — zapytała szeptem Anię.

— Tak, dziecino, oczywiście.

— Czy... czy on jest podobny do wuja Miry Cotton? — szepnęła jeszcze bardziej zaniepokojona. — Czy nie będzie się przechadzał koło naszego domu?

XXIII. HISTORIA PANNY LAWENDY

Mam zamiar wybrać się dziś do Chatki Ech — rzekła Ania pewnego grudniowego popołudnia.

— Zanosi się na śnieżyce — ostrzegała Maryla.

— Przypuszczam, że zdążę dojść przed śniegiem, a poza tym zamierzam tam przenocować. Diana nie pójdzie ze mną, bo ma gości, a ja jestem pewna, że panna Lawenda będzie mnie dziś wieczór wyczekiwała. Nie byłam u niej już od dwóch tygodni.

Od czasu pamiętnego dnia październikowego Ania niejednokrotnie już odwiedzała Chatkę Ech. Często wraz z Dianą chodziły tam pieszo lasem, od czasu do czasu jeździły kabrioletem. Kiedy Diana była zajęta, Ania wędrowała sama. Między nią a panną Lawendą zawiązała się jedna z tych zdrowych, serdecznych przyjaźni, możliwych jedynie między kobietą, która zachowała świeżość serca i umysłu, a dziewczęciem, u którego wyobraźnia i intuicja zastępowały miejsce doświadczenia. Ania wreszcie odnalazła prawdziwie “pokrewną duszę”, gdy z kolei one obie z Dianą wniosły do samotnego, wypełnionego tylko marzeniami życia pustelnicy orzeźwiającą radość zewnętrznego świata, którą panna Lawenda “zapomniawszy o świecie i przez świat zapomniana”, od dawna przestała już dzielić. Karolina Czwarta witała je szerokim uśmiechem — a uśmiechy jej były zawsze szerokie — i uwielbiała je zarówno ze względu na swą ubóstwianą panią, jak i dla nich samych. W Chatce Ech nigdy nie odbywały się tak wesołe uczty jak tej cudnej późnej jesieni, kiedy listopad wydawał się październikiem i nawet grudzień naśladował letnie powiewy i blaski. Lecz tego dnia grudzień jakby nagle przypomniał sobie, iż nadeszła zima, spoważniał i posmutniał, a panująca cisza zwiastowała śnieg.

Pomimo to Ania odważnie zapuściła się w szary labirynt bukowego lasu. Nie odczuwała samotności, gdyż wyobraźnia jej zaludniała całą drogę wesołymi towarzyszami, a urojone rozmowy z nimi były bardziej ożywione i dowcipniejsze, niż się to niejednokrotnie zdarza w życiu, gdzie ludzie tak często nie stają na wysokości zadania. W wyimaginowanym przez nas świecie każdy mówi to, co chcemy, żeby powiedział, i dzięki temu my też możemy być tacy, jacy chcielibyśmy być, i mówić to, co nam się podoba. Otoczona tym miłym niewidzialnym towarzystwem Ania

przewędrowała przez las i stanęła przed kamiennym domkiem właśnie w chwili, gdy wielkie, miękkie płaty śniegu zaczęły cicho padać na ziemię.

Na zakręcie spostrzegła pannę Lawendę stojącą pod rozłożystym świerkiem w ciepłym, ciemnoczerwonym okryciu i popielatym jedwabnym szalu, zarzuconym na głowę i ramiona.

— Królowa leśnych elfów! — zawołała Ania wesoło.

— Domyślałam się, że przyjdiesz dziś wieczorem — rzekła panna Lawenda śpiesząc jej na spotkanie. — A cieszę się tym bardziej, iż Karoliny Czwartej nie ma w domu. Musiała pójść na noc do swej chorej matki. Czułabym się bardzo samotna, gdybyś nie przyszła. Marzenia i echa nie zawsze są wystarczającym towarzystwem... Ach, Aniu, jakaś ty śliczna! — dodała nagle, spoglądając z podziwem na wysokie, smukłe dziewczę z twarzą lekko zarumienioną od przechadzki. — Jaka śliczna i młoda! Cóż to za rozkosz mieć lat siedemnaście. Doprawdy, zazdroszczę ci — zakończyła szczerze.

— Przecież pani z usposobienia też nie ma więcej niż siedemnaście — zaśmiała się Ania.

— O, nie, jestem stara, a raczej w średnim wieku co jest o wiele gorsze — westchnęła panna Lawenda. — Czasami wyobrażam sobie, że tak nie jest, ale kiedy indziej przekonuję się o tym smutnym fakcie. I nie chcę go uznać, jak to zresztą czyni większość kobiet. Buntuję się wtedy jak wówczas, gdy spostrzegłam mój pierwszy siwy włos. Nie, Aniu, nie staraj się tego zrozumieć, bo w siedemnastym roku życia nie można tego pojąć. To ja raczej będę udawała, że mam lat siedemnaście, a w twojej obecności łatwo mi to przyjdzie. Ty zawsze wnosisz w dom czar młodości. Spędzimy cudowny wieczór. Przede wszystkim herbata... a co do niej? Możemy mieć wszystko, czego zapragniesz.

Co za wesołość i gwar panowały tego wieczora w Chatce Ech. Jakie gotowanie i ucztowanie, śmiechy i "wyobrażanie sobie". Panna Lawenda i Ania zachowywały się zgoła nie tak, jak przystało na czterdziestopięcioletnią starą pannę i stateczną kierowniczkę szkoły. Wreszcie, zmęczone, usiadły na dywanie przed kominkiem w bawialni, oświetlonej blaskiem płonącego drzewa i wypełnionej słodkim zapachem róż, pielęgnowanych z zamiłowaniem przez pannę Lawendę. Na dworze wiatr wył i jęczał, śnieg głucho bił o szyby, jak gdyby zgraja krasnoludków domagała się przytulku.

— Jakże się cieszę, że tu jesteś, Aniu — powtarzała panna Lawenda chrupiąc karmelki. — Bez ciebie czułabym się przygnębiona... strasznie przygnębiona. Sny i marzenia bywają bardzo piękne za dnia i w promieniach słońca, ale przestają wystarczać, gdy panuje ciemność i szaleje burza. Wówczas pragniemy rzeczywistości. Ale ty znów nie możesz tego zrozumieć, bo mając lat siedemnaście zadowalały się marzeniami, spodziewając się, że na rzeczywistość będzie jeszcze dość czasu. Mając lat siedemnaście nie wyobrażałam sobie, iż przy czterdziestu pięciu będę siwowłosą, starą panną, której życie wypełnią wyłącznie sny.

— Ale pani nie jest wcale starą panną — zaprzeczała Ania patrząc w zamyślane, brązowe oczy panny Lawendy. — Stać się starą panną nie można, trzeba się nią urodzić. Jeśliby wszystkie stare panny były takie jak pani, wkrótce stałyby się ogromnie modne.

— Staram się postępować we wszystkim, jak potrafię najlepiej — objaśniła panna Lawenda. — A skoro przeznaczeniem moim było zostać starą panną, postanowiłam zostać miłym jej typem. Mówią, że jestem dziwaczką, a to dlatego, że postępuję odrębnie, nie naśladując szablonowego, tradycyjnego stylu... Aniu, czy słyszałaś, co ludzie opowiadają o Stefanie Irvingu i o mnie?

— Słyszałam, że byliście zaręczeni — odpowiedziała Ania.

— Tak, przed dwudziestu pięciu laty... długi kawał czasu. Mieliśmy się pobrać na wiosnę. Moja suknia ślubna była już gotowa, ale tylko matka i Stefan wiedzieli o tym. Można powiedzieć, że byliśmy zaręczeni prawie od zarania naszego życia. W dzieciństwie moim matka Stefana przyprowadzała go do nas, ilekroć przychodziła w odwiedziny. Już za drugą bytnością — miał wtedy dziewięć, ja zaś sześć lat — oświadczył mi, że postanowił ożenić się ze mną, gdy dorośnie. Odpowiedziałam: „Dobrze”, a potem pobiegłam do matki i zwierzyłam jej się, że wielki ciężar spadł mi z serca, gdyż nie lękam się już, że zostanę starą panną. Jakże się moja matka wtedy śmiała.

— A co zaszło później? — pytała Ania z zapartym oddechem.

— Ot, zwykła jakaś nedorzeczna sprzeczka, tak bez znaczenia, że wierzaj mi, nie pamiętam nawet, o co poszło i kto ją zaczął. Zapewne Stefan doprowadzony do tego jakimś szaleństwem z mojej strony. Bo, widzisz, miał kilku rywali, a ja byłam próżną kokietką i lubiłam się z nim przekomarzać, choć znałam dobrze jego poważną, głęboką naturę. Rozstaliśmy się w gniewie, ale sądziłam, że wszystko da się naprawić. I byłoby tak niewątpliwie, gdyby nie zbyt wczesny powrót Stefana. Aniu kochana,

przykro mi przyznać się — tu panna Lawenda zniżyła głos, jakby miała wyznać zbrodnię — jestem strasznie kapryśna. O, nie uśmiej się, jest to smutna prawda. Często bywam w złym humorze, a Stefan powrócił, zanim mój okres dąsów minął. Nie chciałam go wysłuchać, nie chciałam mu wybaczyć. Wtedy odszedł, ale już na zawsze. Był zbyt dumny, ażeby raz jeszcze powrócić. Teraz byłam w złym humorze już nie bez powodu. Należało może wezwać go, lecz nie chciałam się upokorzyć. Byłam równie dumna jak on. Duma i kaprysy to zła spółka, Aniu. Nigdy już nikogo nie pokochałam i wolałam zostać starą panną niż wyjść za mąż za kogokolwiek innego. Dziś wydaje się to wszystko snem tylko. Z jakim zrozumieniem spoglądasz na mnie, Aniu. Tak odczuwać potrafi tylko siedemnastoletnia istota. Nie wyolbrzymiaj jednak tego. Pomimo przeżytej tragedii jestem obecnie zadowolona i zrównoważona. Czułam się złamana w najwyższym stopniu, gdy uświadomiłam sobie, że Stefan nigdy nie wróci, ale tragedia zranionego serca w życiu codziennym nie jest w połowie tak straszna jak w powieściach. Można by ją porównać z bolącym zębem, choć ci się to nie wyda poetycznym porównaniem. Od czasu do czasu ból chwyta, od czasu do czasu wywołuje bezsenność, ale w przerwach pozwala radować się życiem i marzyć, i chrupać cukierki. Teraz rozczarowałaś się, prawda? Nie jestem już dla ciebie tak interesująca, jak wydawałam ci się pięć minut temu, kiedy wierzyłaś, że jestem wciąż ofiarą tragicznych wspomnień, bohatercko ukrywanych pod maską wesołości. To jest najgorsza... a może najlepsza strona życia codziennego. Nie pozwala ci być nieszczęśliwym do głębi, wciąż stara się dać ci trochę uciechy i zadowolenia, nawet gdy już przeznaczone ci jest być zgnębionym i złamanym... Czy te karmelki nie są pyszne? Zjadłam ich o wiele za dużo, ale nie mam zamiaru powiedzieć sobie “stop”.

Po krótkim milczeniu rzekła porywczo:

— Gdy przy pierwszym naszym spotkaniu wspomniałaś o synu Stefana, słowa te wywarły na mnie duże wrażenie. Do tej chwili nie mówiłam nic na jego temat, nie mogłam, mimo że pragnęłam go poznać. Opowiedz mi o nim.

— Jest to najlepsze, najmilsze dziecko, jakie kiedykolwiek znałam... I ma taką samą bujną wyobraźnię jak pani i ja...

— Chciałabym go zobaczyć — szepnęła panna Lawenda jakby do siebie. — Ciekawam, czy przypomina mego wymarzonego malca, mojego małego wyśnionego chłopaczka.

— Skoro pani pragnie poznać Jasia, przyprowadzę go któregoś dnia — zaproponowała Ania.

— Pragnęłabym... ale jeszcze nie teraz. Muszę się przyzwyczaić do tej myśli. Może to spotkanie sprawi mi więcej bólu niż radości, jeżeli będzie zbyt podobny do Stefana lub jeżeli zbyt mało... Czy zechcesz go przyprowadzić za parę tygodni?

W miesiąc potem, zgodnie z umową, Ania z Jasiem wędrowali lasami do Chatki Ech. Na drodze spotkali pannę Lawendę, która spostrzegłszy ich niespodziewanie, zbladła silnie.

— Więc to jest syn Stefana! — rzekła cicho, ujmując Jasia za rączkę i przypatrując się ślicznej chłopięcej postaci, otulonej w zgrabne futerko. — On... jest bardzo podobny do ojca.

— Wszyscy mówią, że jestem nieodrodnym synem ojca — zauważył Jaś, wcale nie onieśmielony.

Ania, bacznie obserwująca tę scenę, odetchnęła z ulgą. Zauważyła od razu, że panna Lawenda i Jaś “przyłgnęli do siebie”, że nie było między nimi cienia przymusu lub sztywności. Panna Lawenda, mimo marzycielstwa, była bardzo zrównoważona i opanowawszy szybko chwilowe zmieszanie, zajęła się chłopcem tak swobodnie i wesoło, jak gdyby to był syn zupełnie obojętnego jej człowieka.

Popołudnie minęło jak rozkoszny sen, a podwieczorek był tak suty, że babcia Irving załamałaby ręce ze zgrozą na myśl o zagrożonym żołądku swego pieśczocho.

— Odwiedź mnie znowu kiedyś, kochanie — prosiła panna Lawenda żegnając Jasia.

— Proszę mnie pocałować, jeśli pani ma ochotę — rzekł Jaś.

Panna Lawenda ucałowała go serdecznie.

— Skąd wiedziałeś, że pragnę tego? — szepnęła.

— Bo pani patrzyła na mnie tak jak moja matuchna, gdy mnie pieściła. W ogóle nie lubię, żeby mnie całowano. Chłopcy tego nie lubią. Ale chciałem, żeby mnie pani pocałowała. I, rozumie się, odwiedzę panią niedługo. Chciałbym bardzo zaprzyjaźnić się z panią, czy pani się o to nie gniewa?

— Cóż znowu! Bardzo... bardzo się cieszę... — odpowiedziała panna Lawenda, odwróciła się szybko i weszła do pokoju, ale już po chwili posłała swym gościom przez okno wesołe, uśmiechnięte “do widzenia”.

— Panna Lawenda podoba mi się niezmiernie — oświadczył Jaś w drodze powrotnej. — Jak mile na mnie patrzy! Podoba mi się także jej kamienny domek i Karolina Czwarta. Cieszyłbym się, gdyby u babci, zamiast Marii, była Karolina Czwarta. Ona słuchając moich opowiadań, z pewnością nie powiedziałaby, że mi brak

piątej klepki. A jaki to był pyszny podwieczorek, prawda? Babcia powiada, że chłopcy nie powinni zwracać uwagi na to, co dostają do jedzenia, ale czyż można tego nie robić, jeżeli się jest głodnym? Gdyby panna Lawenda wiedziała, że ktoś nie cierpi owsianki, na pewno nie dawałaby mu jej na śniadanie. Dawałaby mu tylko to, co lubi. Ale — Jaś zmuszał się do wyrozumiałości — może to nie poszłoby mu na zdrowie. W każdym razie zmiana jest bardzo przyjemna, pani to rozumie, prawda?

XXIV. PROROK WE WŁASNYM KRAJU

Pewnego majowego dnia mieszkańcy Avonlea zaskoczeni zostali wiadomościami wyczytanymi w piśmie codziennym Charlottetown. Mieściły się w rubryce “Kronika Avonlejska”, a podpisane były “Spostrzegacz”. Plotka przypisywała autorstwo ich Karolowi Sloane, po części dlatego, że Karol miał kiedyś na sumieniu podobne literackie grzechy, po części zaś — że jedna z nich wymierzona była przeciwko Gilbertowi Blythe. Miejscowa młodzież bowiem uważała Gilberta i Karola za rywali walczących o względy pewnej szarookiej panienki, obdarzonej bujną wyobraźnią. Plotka, jak zwykle, była fałszywa. To Gilbert przy współudziale Ani zredagował te wiadomości, chcąc zaś odwrócić od siebie podejrzenie, w jednej wydrwił samego siebie. Dwie z nich mają związek z niniejszym opowiadaniem.

“Wieść niesie, że zanim bzy zakwitną, w osadzie naszej odbędzie się huczne wesele. Niedawno przybyły, lecz wielce szanowny obywatel powiedzie przed stopnie ołtarza jedną z dam, znaną dobrze w kołach towarzyskich Avonlea”.

“Wuj Andrews, nasz ogólnie znany prorok, przepowiada gwałtowną burzę z piorunami na dwudziestego trzeciego maja. Początek punktualnie o siódmej wieczór. Wskazane jest, ażeby podróżujący tego wieczora zaopatrywali się w parasole i płaszcze nieprzemakalne”.

— Wuj Andrews rzeczywiście przepowiedział burzę na któryś dzień maja — mówił Gilbert — ale czy doprawdy sądzisz, że pan Harrison odwiedza Andrewsów z myślą o Izabeli?

— Cóż znowu! — śmiała się Ania. — Gra w szachy z panem Andrewsem, ale pani Linde twierdzi, że Izabela na pewno wychodzi za mąż, gdyż jest w świetnym humorze.

Biedny stary wujaszek bardzo się oburzył z powodu tych wzmianek — podejrzewał “Spostrzegacza” o drwiny. Uparcie zaprzeczał, jakoby naznaczył określoną datę burzy, lecz nikt mu nie wierzył.

Życie w Avonlea płynęło dalej swym zwykłym, spokojnym torem. Miłośnicy obchodzili Święto Sadzenia Drzew. Każdy z nich zobowiązał się zasadzić pięć sztuk, a wobec tego, że Koło liczyło czterdziestu członków, Avonlea zyskała dwieście młodych drzewek. Na polach zieleniły się wczesne owsy, sady rozpościerały swe ukwiecone ramiona ponad domami farmerów. Królowa Śniegów zaś stroiła się jak narzeczona na

przybycie swego przyszłego małżonka. Ania sypiała przy otwartym oknie, ażeby zapach ogrodu owiewał ją przez całą noc. Uważała to za bardzo poetyczne, gdy tymczasem Maryla twierdziła, iż igra z życiem.

— Niedługo będziemy obchodzili Święto Dziękczynienia — mówiła Ania jednego wieczora, siedząc z Marylą na progu domu i wsłuchując się w dźwięczny chór żab. — Uważam, że odpowiedniej jest obchodzić je na wiosnę niż w listopadzie, kiedy natura usypia i zamiera. W listopadzie zmuszamy się do wdzięczności, nie odczuwając jej wcale, na wiosnę zaś uczucie to rozpiera serce... każdy musi być wdzięczny, że żyje. Ja się czuję po prostu tak, jak musiała się chyba czuć Ewa w raju... zanim zaczęły się kłopoty. Czy trawa tam w dolinie jest zielona czy złota, Marylo? Dzień tak cudny jak dzisiejszy, gdy wszystkie pąki rozkwitły, a wietrzyk, oszalały z radości, nie wie, gdzie się podziać, nie może być piękniejszy nawet w niebie.

Zgorszona Maryla rozejrzała się podejrzliwie dokoła, czy czasem bliźnięta nie słyszą tych bluźnierstw. Właśnie ukazały się zza węgła domu.

— Jak dziś ślicznie pachnie! — rzekł Tadzio pociągając noskiem i wymachując motyką, trzymaną w brudnych rączkach.

Właśnie powracał z ogródka. Tej wiosny Maryla, pragnąc skierować namiętność Tadzia do grzebania się w błocie i piasku na jakieś pożyteczniejsze tory, darowała jemu i Toli po zagonie ziemi. Każde z nich zabrało się do roboty w sposób charakteryzujący je znakomicie. Tola siała, pełła, polewała spokojnie i systematycznie, toteż na zagonie jej ukazały się już równe rzędy wschodzących roślinek. Tadzio zaś pracował okazując więcej zapału niż rozsądku: kopał, grabił, przesadzał tak energicznie, że naraził większość swych roślin na utratę życia.

— Jak ci się wiedzie w ogródku, Tadiusz? — spytała Ania.

— Marnie — odpowiedział z westchnieniem. — Nie rozumiem, dlaczego wszystko tak powoli rośnie. Emilek Boulter mówi, że zapewne siałem podczas nowiu i stąd ta cała bieda. Podczas nowiu nie wolno robić nic ważnego: ani siać, ani zarzynać wieprza, ani strzyc włosów. Nic się nie uda. Czy to prawda, Aniu?

— Prawdopodobnie gdybyś co drugi dzień nie wyciągał z ziemi swoich roślin, ażeby się przekonać, jak się rozwijają “na drugim końcu”, rosłyby prędzej — zauważyła Maryla.

— Wyciągnąłem tylko sześć — zaprzeczył Tadzio. — Chciałem zobaczyć, czy na korzeniach są liszki. Emilek powiedział, że jeśli to nie jest wina nowiu, to muszą być liszki. Ale znalazłem tylko jedną, wielką i grubą liche. Położyłem ją na kamieniu,

przycisnąłem drugim i trach! — ślicznie trzasnęło. Żałowałem, że ich nie było więcej. Tola siała w tym samym czasie co ja, a doskonale wyrosło. To nie może być z powodu nowiu — zawyrokował po krótkim namyśle.

— Spójrz, Marylo, na tę jabłoń! — zawołała Ania. — Jak żywa wyciąga ramiona i unosi swą różową szatę. Co za wspaniałość!

— Złote renety dają zawsze dużo owocu, a to drzewo szczególnie ugina się pod jego ciężarem — rzekła Maryla z zadowoleniem. — Cieszy mnie to bardzo, bo renety są świetne na szarlotkę.

Ale niestety, tego roku ani Maryli, ani nikomu z mieszkańców Avonlea nie było sądzone przygotowywać szarlotek z doskonałych jabłek. Nadszedł dwudziesty trzeci maja — dzień niezwykle upalny. Nikt nie odczuł tego bardziej niż Ania i jej gromadka ślęcząca nad składnią i ułamkami. Przed południem dał gorący wiatr, po południu jednak zamarł i zapanowała ciężka cisza. Około czwartej Ania usłyszała daleki odgłos grzmotu. Natychmiast zwolniła dzieci, żeby zdążyły do domu przed burzą. Przechodząc przez dziedziniec zauważyła jakiś dziwny cień przesłaniający cały świat, mimo iż słońce w dalszym ciągu jasno świeciło.

Aneczka Beli kurczowo ścisnęła jej rękę.

— Niech pani spojrzy, co za straszna chmura! Ania obejrzała się i krzyknęła przerażona: z północnego zachodu toczyła się skłębiona masa chmur, jakich nigdy w życiu nie widziała — ołowianoczarne zwały, okolone wystrzępionymi, białymi brzegami.

Nieopisana groza wiała od nich, gdy sunęły szybko, zasłaniając jasne, błękitne niebo. Co chwila rozdzierała je błyskawica, po której następował ciężki grzmot. Zdawało się, że sklepienie nieba osunęło się tak nisko, iż prawie dotyka zalesionych wzgórz.

Na drodze zaturkotał wóz, a siedzący w nim pan Bell wyraźnie naglił swą parę siwków do największego pośpiechu. Przed szkołą jednak stanął.

— Wujowi Andrewsowi raz w życiu udało się przepowiednia! — krzyknął. — Jego burza nadchodzi, tylko trochę za wcześnie. Czyście kiedy widzieli podobne chmury? Hej, baki! Te, co mieszkają w mojej strome, pakujcie się na wóz, a reszta niech pędzi na pocztę i tam przeczeka ulewę!

Ania, trzymając Tadzia i Tolę za ręce, biegła do domu tak szybko, jak tylko pozwalały tłuste nóżki bliźniąt. Dotarli na Zielone Wzgórze w samą porę. Na dziedzińcu zastali Marylę zapędzającą pod dach kury i kaczki. Zaledwie wpadli do

kuchni, światło dzienne zniknęło jakby zdmuchnięte przez jakiś potężny oddech. Straszna chmura przesłoniła słońce i ziemię okryła ciemność, jak o późnym zmierzchu. W tejże chwili przy huku grzmotu i oślepiającym świetle błyskawic posypał się grad i przesłonił bielą cały krajobraz. Poprzez ryk burzy dochodził trzask łamiących się gałęzi i ostry brzęk tłuczonego szkła. W parę minut szyby wszystkich północnych i zachodnich okien były wybite i grad bezkarnie wpadał do mieszkania, pokrywając podłogi warstwą kawałków lodu, z których najmniejszy dorównywał wielkością kurzemu jajui. Przez trzy kwadranse burza szalała z równą gwałtownością; ktokolwiek ją przeżył, nie zapomnił jej już nigdy. Maryla, po raz pierwszy w życiu wytrącona z równowagi, klęczała w kącie przy swym bujaku, zanosząc się łkaniem. Ania, biała jak płótno, siedziała na odsuniętej od okna sofie i tuliła do siebie bliźnięta.

Przy pierwszym odgłosie grzmotu Tadzio wrzasnął:

— Aniu, Aniu, czy to Dzień Sądu?! Ja nigdy nie chciałem być niegrzeczny! — a potem ukrył twarzyczkę na jej kolanach i pozostał tak, drżąc całym ciałkiem.

Tola, bardzo blada, lecz spokojna, siedziała bez ruchu z rączkami zaciśniętymi dokoła ramienia Ani. Kto wie, czy nawet trzęsienie ziemi potrafiłoby naruszyć spokój tego dziecka. Wreszcie, prawie równie nagle jak się pojawiła, burza ucichła. Grad ustał, chmury przesunęły się na wschód i słychać było tylko z dala pomruk grzmotu. Wesole i promienne słońce wyjrzało na świat tak zmieniony, iż wydawało się nieprawdopodobne, ażeby w niespełna godzinę mogło zajść takie przeobrażenie. Maryla, drżąca i ślaniająca się, wstała z kolan i opadła na fotel. Twarz jej była szara, postarzała o lat dziesięć.

— Czy wszyscy ocaleliśmy? — spytała uroczyście.

— Ma się rozumieć — zapiszczał wesoło Tadzio, czując się znowu w swej własnej skórze. — Ja się nie bałem nic a nic... Tylko troszeczkę z samego początku, bo to tak nagle przyszło. Przysięgłem prędiutko, że w poniedziałek nie zwalę Edzia Sloane'a, choć mu to obiecałem, ale teraz może już i zwalę. Powiedz prawdę, Tolu, bałaś się?

— Tak, ja się trochę bałam — rzekła Tola sztywno. — Ale trzymałam się mocno Ani i odmawiałam pacierz raz po raz.

— Ja także byłbym mówił pacierz, gdybym pamiętał o tym. Ale — dodał z triumfem — wyszedłem cało tak jak ty, chociaż się wcale nie modliłem.

Ania orzeźwiła Marylę szklanką wina porzeczkowego; jego mocne działanie znała aż nazbyt dobrze ze swych lat dziecinnych. Po czym wyszły przed dom, żeby

zobaczyć, co się dzieje. Daleko i szeroko rozciągał się biały kobierzec kamieni gradowych; dom otoczony był istnym wałem.

— Czy to może być ten sam świat, co przed godziną? — pytała Ania oszołomiona. — Dla wyrządzenia podobnych szkód potrzeba by chyba więcej czasu.

— Taka burza nigdy dotąd nie nawiedziła Wyspy Księcia Edwarda — zapewniała Maryla. — Nigdy! Pamiętam, gdy byłam młodą dziewczyną, szalała raz ogromna burza, ale nie ma porównania z dzisiejszą. Z pewnością usłyszymy jeszcze o strasznych spustoszeniach.

— Mam nadzieję, że żadnemu z dzieci nic się nie stało — mówiła do siebie zaniepokojona Ania.

Przewidywania jej sprawdziły się, gdyż dzieci, mieszkające dalej, usłuchawszy rady pana Bella, przeczekały burzę na poczie.

— Oto nadchodzi Janek Carter — zauważyła Maryla. Janek brnął przez pokłady lodu z wyraźnym niepokojem na twarzy.

— Jakież to straszne, proszę pani! Pan Harrison zapytuje, co się u was dzieje.

— Wszyscyśmy ocaleli — odparła Maryla. — Żaden piorun w nas nie uderzył. Myślę, że u was też wszystko dobrze?

— Niezupełnie, proszę pani. U nas piorun uderzył. Wpadł przez komin do kuchni, trafił w klatkę Imbirka, zrobił dziurę w podłodze i dostał się do piwnicy. Tak, proszę pani.

— A co z Imbirkiem? — pytała Ania.

— O, zabity!

Gdy później Ania poszła pocieszyć pana Harrisona, zastała go siedzącego przy stole i głaszczącego drżącą ręką zwłoki Imbirka.

— Biedny Imbirek nie będzie cię już więcej obsypywał wyzwiskami — rzekł smutnie.

Ania nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek zapłacze z powodu Imbirka, jednakże łzy zakręciły się jej w oczach.

— To było moje jedyne towarzystwo, Aniu... Nie żyje biedactwo. Tak... tak... jestem stary wariat, że się tym przejmuję. Wiem, że gdy tylko przestanę mówić, zaczniesz mnie pocieszać. Nie czyni tego, bo rozbeczę się jak dziecko... Co to za straszna burza! Teraz nikt już chyba nie będzie się śmiał z przepowiedni wuja Andrews. Mam wrażenie, że wszystkie przepowiadane przez niego burze, które nie nastąpiły, złączyły się w tym jednym huraganie. Ale że też to się sprawdziło co do

dnia! Patrz, co za nieład u mnie. Muszę wyszukać jakieś deski do załatania dziur w podłodze.

Mieszkańcy Avonlea spędzili cały następny dzień na wzajemnym odwiedzaniu się i porównywaniu wyrządzonych szkód. Chodzili pieszo lub jeździli konno, gdyż drogi, zawałone grudami lodu, były nie do przebycia na kołach. Spóźniona poczta przywoziła złe wiadomości z całego kraju. Wiele domów spłonęło od piorunów, dużo ludzi było zabitych i rannych, linie telegraficzne i telefoniczne zostały gdzieś doszczętnie zniszczone, wiele młodego bydła wyginęło na pastwiskach. Wczesnym rankiem wuj Andrews powędrował do kuźni i spędził tam cały dzień. Była to jego godzina triumfu i duma rozsadzała mu serce. Niesprawiedliwością byłoby posądzać go, iż rad był tej strasznej burzy; lecz jeśli się już miała zdarzyć, to sprawiało mu zadowolenie, że on potrafił ją przewidzieć. Co do dnia nawet! Biedaczysko zapomniał, że w swoim czasie zapierał się, jakoby ustalił datę. O niedokładność w godzinie mniejsza!

Gdy Gilbert przybył wieczorem na Zielone Wzgórze, zastał Marylę zajętą przybijaniem ceraty w miejsce wytłuczonych szyb.

— Bóg raczy wiedzieć, kiedy będzie można dostać szyby — objaśniała Maryla. — Pan Barry był dziś po południu w Carmody, ale tam szkła ani śladu, za żadną cenę! Cały zapas szyb został doszczętnie wykupiony przez miejscową ludność już o dziesiątej rano. A w Białych Piaskach burza dała się wam bardzo we znaki, Gilbertcie?

— Oczywiście. Burza zaskoczyła mnie w szkole. Obawiałem się, że niektóre dzieci poszaleją ze strachu. Troje zemdlało, dwie dziewczynki dostały spazmów, a Tomek Blewett darł się wniebogłosy przez cały czas.

— Ja tylko raz pisałem — zawiadomił Tadzio z dumą. — Mój ogródek zupełnie zniszczony — dodał smutnie — ale i Toli także — zakończył tonem, który wskazywał, że było to dla niego pewną osłodą.

Ania wpadła do pokoju.

— Gilbertcie, słyszałeś wielką nowinę? Piorun uderzył w starą rudę Boultera i spłonęła do cna! Mam chyba bardzo zły charakter, że się z tego cieszę wtedy, gdy burza wyrządziła tyle ciężkich strat. Pan Boulter twierdzi, że to K.M.A. za pomocą czarnej magii sprowadziło burzę.

— Doskonale — roześmiał się Gilbert. — W każdym razie "Spostrzegacz" ustalił reputację wuja Andrews jako proroka pogody. Burza wuja Andrews będzie żyła po wieczne czasy w kronikach miejscowych. Dziwnym zbiegiem okoliczności zdarzyła się

w dniu przez nas oznaczonym. Czuję się trochę winowajcą, jak gdybym w istocie wyczarował ją... Stanowczo powinniśmy się cieszyć, że ta rudera zniknęła z powierzchni ziemi. Dość zmartwienia sprawiają nam zniszczone drzewka.

— Ach, drobnostka — rzekła Ania optymistycznie. — Zasadzimy je znowu na przyszłą wiosnę. To jest takie cudowne na świecie: zawsze można się spodziewać, że przyjdzie nowa wiosna.

XXV. NIEOCZEKIWANY SKANDAL

W radosny poranek czerwcowy — dwa tygodnie po burzy wuja Andrews — Ania wracała z ogrodu, trzymając w ręku parę nędznych narcyzów.

— Spójrz, Marylo — rzekła smutnie, pokazując jej kwiaty — oto jedyne pąki, które burza oszczędziła, a i one są marne. Tak mi przykro! Pielęgnowałam je troskliwie, żeby je złożyć na grobie Mateusza: to były jego ulubione kwiaty.

— I mnie ich brak — przyznała Maryla. — Lecz uważam, że nie ma nad czym lamentować wobec straszniejszej katastrofy: wszystkie zbiory zniszczone i cały owoc też przepadł.

— Ale wszyscy wokoło sięją powtórnie owies — pocieszała Ania — i pan Harrison twierdzi, że jeśli pogoda dopisze, zbiory będą jak najlepsze, choć późne. Moje roślinki wschodzą, tylko nic nie zastąpi tych narcyzów. I biedna Helena Gray jest ich pozbawiona. Byłam wczoraj wieczorem w jej ogródku — ani jednego kwiatu. Jestem pewna, że będzie tęskniła za nimi.

— Nie powinnaś mówić w ten sposób, Aniu! — rzekła Maryla surowo. — Helena umarła przed trzydziestu laty i dusza jej jest w niebie... mam nadzieję.

— Tak. Ale wierzę, że nie zapomniła swego ogrodu — odpowiedziała Ania. — Jestem pewna, że niezależnie od tego, jak długo byłabym mieszkanką nieba, z wdzięcznością spoglądałabym na dół na tych, którzy przystrajaliby mój grób kwiatami. Gdybym miała na ziemi taki ogródek jak Helena, to nawet po trzydziestu latach w niebie tęskniłabym za nim czasami.

— Niech aby bliźnięta nie usłyszą tych herezji — niepokoiła się Maryla zamykając drzwi od kuchni.

Ania wpięła narcyzy we włosy i podążyła ku furtce ogrodowej, żeby przed rozpoczęciem swych sobotnich zajęć rozkoszować się jeszcze przez chwilę czerwcowym słońcem. Świat z wolna oblekał się w swe dawne szaty; matka przyroda dokładała wszelkich starań, ażeby zmazać ślady huraganu, i chociaż potrzeba było na to długich miesięcy, to i tak dokazała już cudów.

— Dziś chciałabym leniuchować cały dzień — mówiła Ania do ptaszka, podśpiewującego na gałęzi. — Ale kierowniczka szkoły i wychowawczyni bliźnięt nie może oddawać się próżniactwu. Jakiż cudny jest twój śpiew, ptaszyno. Odnajduję w

nim moje własne uczucia, tylko wypowiedziane o wiele lepiej, niż Ja potrafiłabym to uczynić... A to kto?

Po drodze toczyła się pocztowa bryczka. Siedziały w niej dwie osoby, z tyłu był umieszczony wielki kufer. W jednej z nich Ania poznała syna poczmistrza, ale towarzysząca jego była jej zupełnie obca. Zanim jeszcze konie zatrzymały się przed furtką, niewiasta ta wyskoczyła pośpiesznie. Była to bardzo przystojna osoba bliższa pięćdziesiątce niż czterdziestce, o różowej cerze, ciemnych, błyszczących oczach i lśniących, czarnych włosach. Pomimo iż osiem mil jechała zakurczonym gościńcem, wyglądała w swym kapeluszu przybranym kwiatami, jak gdyby tylko co wyszła od krawca.

— Czy tu mieszka pan Jakub Harrison? — zapytała żywo.

— Nie, pan Harrison mieszka naprzeciwno — odpowiedziała Ania zdumiona.

— Oczywiście, od razu się domyśliłam, że to zbyt schludne otoczenie dla Jakuba, chyba iż tak bardzo się zmienił od czasu, gdy go znałam — szczebiotała nieznajoma. — Czy prawdą jest, że Jakub żeni się z jakąś mieszkanką tej osady?

— Nie, co znowu! — zawołała Ania rumieniąc się gwałtownie, co sprawiło, że nieznajoma spojrzała na nią ciekawie, jak gdyby posądzając ją o matrymonialne zamiary względem pana Harrisona. — Nic podobnego!

— Ależ czytałam o tym w gazecie — upierała się nowo przybyła. — Przyjaciółka nadesłała mi ten numer z określoną wzmianką. Przyjaciółki zawsze są chętne do takich usług. Imię Jakuba było wypisane nad “niedawno przybyły, lecz wielce szanowany obywatel”!

— Ależ... ależ to był tylko żart! — zaprzeczyła Ania. — Pan Harrison nie ma zamiaru żenić się z kimkolwiek. Zapewniam panią.

— Bardzo się z tego cieszę — oświadczyła energicznie niewiasta, powracając spiesźnie do bryczki — gdyż już się raz ożenił. Ja jestem jego żoną. O, nie dziwię się pani zdumieniu. Przypuszczam, że udawał kawalera i zdobywał serca na prawo i na lewo.

Ho, ho, Jakubie — pogroziła w stronę białego domu — koniec zabawy. Żona przyjechała. Co prawda, nie trudziłabym się do Avonlea, gdyby nie wiadomość o twoich zamysłach! Sądzę — zwróciła się znów do Ani — że papuga bluźni tak samo jak dawniej?

— Papuga... chyba nie żyje — jękała Ania, niepewna w tej chwili bodaj własnego imienia.

— Nie żyje! A więc wszystko składa się jak najlepiej — zawołała mniemana pani Harrison radośnie. — Dam sobie radę z Jakubem, gdy ten ptak nie będzie już bruździł.

Z tym zagadkowym wykrzyknikiem odjechała. Ania zaś, oszołomiona tym, co zaszło, pobiegła do Maryli.

— Kto to był, Aniu?

— Marylo — rzekła Ania uroczyście, ale z niepokojem w oczach. — Czy wyglądam jak osoba szalona?

— Nie bardziej niż zwykle — odpowiedziała Maryla bez cienia ironii.

— A czy sądzisz, że nie śnię?

— Aniu, co ty pleciesz? Pytam, kto to był?

— Marylo, jeśli nie zwariowałam i nie śnię, to ona nie może być wytworem fantazji. To człowiek z krwi i kości. A już w żadnym razie nie mogłabym sobie wyobrazić takiego kapelusza. Powiada, że jest żoną pana Harrisona, Marylo!

Z kolei Maryla zdumiała się.

— Jego żoną? Ależ, Aniu! Więc dlaczego podawał się za nieżonatego?

— Wcale tego nie czynił — Ania starała się być sprawiedliwą. — Nigdy nie twierdził, że jest nieżonaty. Po prostu uważaliśmy to za nie ulegające wątpliwości. Ach, Marylo, co pani Linde na to powie?

Wieczorem dowiedziały się, co pani Linde o tym myślała. Pani Linde nie była bynajmniej zdziwiona! Pani Linde już od dawna oczekiwała jakiejś niespodzianki! Pani Linde spodziewała się zawsze czegoś podobnego po panu Harrisonie!

— I pomyśleć, że opuścił żonę! — oburzała się. — Coś podobnego mogłoby się zdarzyć w Stanach, lecz któż by posądził o taki skandal spokojną Avonlea?

— Ależ nie jesteśmy wcale pewni, czy pan Harrison ją porzucił — protestowała Ania, zdecydowana wierzyć w niewinność swego przyjaciela, dopóki вина nie została mu udowodniona. — Nie znamy jeszcze całej sprawy.

— Wkrótce ją poznamy. Idę tam natychmiast — rzekła pani Linde, która nie kierowała się nigdy uczuciem delikatności. — Nie będę mnie podejrzewać, iż wiem o jej przybyciu, bo pan Harrison miał dziś przywieźć z Carmody lekarstwo dla Tomasza; będzie to więc dobra wymówka. Wybadam wszystko, a wracając wstąpię wam powiedzieć.

Pani Linde bez skrępów wtargnęła tam, dokąd Ania lękałaby się nawet zajrzeć. Nic na świecie nie skłoniłoby jej do odwiedzenia Harrisonów. Lecz jej łatwo

zrozumiałe zaciekawienie sprawiło, że w duszy rada była, iż pani Linde odsłoni tajemnicę. Na próżno jednak obie z Marylą wyczekiwały jej powrotu — pani Linde nie zjawiała się tego wieczora na Zielonym Wzgórzu. Przyczynę tego wyjaśnił Tadzio, powróciwszy o dziewiątej od Boulterów.

— Spotkałem panią Linde z jakąś obcą panią — opowiadał. — Trajkotały obie naraz. Pani Linde kazała was przeprosić, że nie przyjdzie dziś wieczór, ale już jest za późno na odwiedziny. Aniu, jestem strasznie głodny. Dostaliśmy podwieczorek o czwartej. Teraz widzę, że pani Boulter jest naprawdę skąpa. Nie dała nam ani konfitur, ani ciasta... nawet chleba było mało...

— Tadzio, gdy idziesz w odwiedziny, nie krytykuj jedzenia, bo to bardzo brzydko — rzekła Ania surowo.

— Dobrze, będę tylko to myślał — zgodził się Tadzio chętnie. — Ale daj mi coś na kolację.

Ania spojrzała na Maryłę, która weszła za nią do spiżarni, zamykając starannie drzwi za sobą.

— Posmaruj mu chleb konfiturą, Aniu; wiem dobrze, jakie bywają podwieczorki u Boulterów.

Tadzio z westchnieniem ulgi zabrał się do swej kromki.

— Ciężko żyć na świecie — zauważył. — Kotka Emilka choruje na konwulsje. Przez trzy tygodnie dzień w dzień miała taki napad. Emilek mówi, że wygląda wtedy strasznie zabawnie. Poszedłem dziś umyślnie, żeby ją zobaczyć. Ale niegodziwe stworzenie nie drgnęło ani razu, było zdrowe jak ryba, choć Emilek i ja pilnowaliśmy go przez całe popołudnie i czekaliśmy. Ha, to trudno! — Tadziovi rozjaśniała się buzia, w miarę jak przenikała go słodycz konfitury. Może jeszcze kiedy indziej to zobaczę. Przecież konwulsje nie skończą się tak od razu, bo ona jest do nich przyzwyczajona i nie będzie mogła bez nich żyć, prawda? Ta konfitura jest pyszna!

Konfitura ze śliwek miała cudowną właściwość leczenia wszelkich Tadziowych smutków. W niedzielę lało jak z cebra, więc nikt w Avonlea nie wyszedł za próg domu. Za to w poniedziałek krążyły najrozmaitsze opowieści o Harrisonach. I w szkole pełno było szeptów o tym, co się stało, toteż Tadzio wrócił do domu z całym zapasem nowin.

— Marylo, pan Harrison ma nową żonę... Nie taką zupełnie nową, Emilek mówi, że przestali być małżeństwem na krótki czas. Ja myślałem, że jeśli się kto ożeni, to musi zawsze być żonaty, a tymczasem Emilek mówi, że jeśli się z żoną nie zgadza, to można znaleźć taki sposób, żeby sobie odejść. Emilek mówi, że pan Harrison

odszedł od żony, bo ciskała w niego różne ciężkie rzeczy; Arcio Sloane znowu powiada, że nie pozwalała mu palić fajki, a Edzio Clay spiera się, że ona mu wciąż wymyślała. Ja nie porzuciłbym mojej żony dlatego. Tupnąłbym mocno nogą i powiedziałbym: "Pani Tadziowa! Musisz robić, co mnie się podoba, bo ja jestem mąż". Na pewno posłuchałaby mnie. Ale Amelka Clay mówi, że to ona go opuściła, bo nie chciał wycierać butów przed drzwiami, i Amelka chwali ją za to. Lecę natychmiast do pana Harrisona zobaczyć, jak też ona wygląda.

Powrócił niezadługo trochę rozczarowany.

— Pani Harrison nie było w domu. Pojechała z panią Linde do Carmody po nowe tapety. A pan Harrison kazał powiedzieć Ani, żeby przyszła, bo chce z nią porozmawiać. Pomyślcie tylko, podłoga wyszorowana i pan Harrison ogolony, chociaż wczoraj nie było żadnego kazania.

Kuchnia Harrisonów przedstawiła oczom Ani widok niezwykle. Zarówno podłoga, jak i wszystkie sprzęty były wyszorowane do najwyższego stopnia czystości. Piec błyszczał jak zwierciadło, ściany były wybielone, a szyby lśniły w promieniach słońca.

Przy stole siedział pan Harrison w swym codziennym ubraniu, które w piątek jeszcze poplamione i podarte, dziś było starannie oczyszczone i wylatane. Ogolony był bez zarzutu, a resztki włosów miał przyczesane.

— Siadaj, Aniu, proszę — przywitał Anię pogrzebowym tonem. — Emilia pojechała do Carmody z panią Linde... Nowa przyjaźń na całe życie. Tak, Aniu, moje dobre czasy już minęły... Raz na zawsze. Czystość i porządek muszą teraz panować w moim domu do końca życia.

Pan Harrison starał się mówić żałośnie, lecz zdradziły go błyski zadowolenia w oczach.

— Ależ pan się cieszy z przybycia żony! — zawołała Ania grożąc mu palcem. — Niech pan nie udaje, że tak nie jest, bo widzę to doskonale.

Pan Harrison uśmiechnął się łagodnie.

— Owszem... owszem. Przyzwyczajam się do tego — ustępował. — Nie twierdzę, że przyjazd Emilii sprawił mi przykrość. Nie można żyć samotnie w naszej osadzie, gdzie z powodu partii szachów, zagranej u sąsiada, posądzają człowieka o konkury do siostry tego obywatela i rozpisują się o tym w dziennikach.

— Nikt nie posądziłby pana o konkury do Izabeli, gdyby pan nie udawał kawalera — rzekła Ania.

— Ja nie udawałem. Każdemu, kto by mnie o to zapytał, powiedziałbym prawdę. Nie wiem, dlaczego ogół był przeświadczony, że jestem nieżonaty. Mnie osobiście nieśpieszno było zwierzać się na ten temat, zbyt wiele mnie to kosztowało. Jakież to byłoby używanie dla pani Linde, gdyby wiedziała, że żona mnie opuściła.

— Niektórzy mówią, że to pan ją porzucił.

— A jednak to była jej sprawka, Aniu... Opowiem ci wszystko, gdyż nie chcę, byś mnie sądziła gorzej, niż na to zasługuję... i Emilię również. Ale wyjdźmy na ganek. Nie mogę znieść widoku tej czystości wokoło. Po jakimś czasie przyzwyczaję się zapewne, ale teraz wolę patrzeć na dziedziniec — Emilia nie zdążyła go jeszcze uporządkować.

Zasiadłszy wygodnie na ganku, pan Harrison zaczął opowiadać historię swych cierpień:

— Zanim tu przybyłem, mieszkałem w Scottsfordzie w Nowym Brunszwiku. Siostra prowadziła mi gospodarstwo i pielęgnowała mnie czule. Była w sam raz porządna, nie zamęczała mnie — psuła mnie... tak powiada Emilia. Umarła przed trzema laty, a przed śmiercią trapiła się bardzo moim losem, aż wreszcie przyrzekłem jej, że się ożenię. Radziła mi ożenić się z Emilią Scott, która pochodziła z zamożnego domu i słynęła jako wzorowa gospodyni. Bronilem się: “Emilia Scott nie spojrzy nawet na mnie”. “Oświadczyć się tylko”, przekonywała siostra. Przyrzekłem to dla jej spokoju, oświadczyłem się, a Emilia przyjęła mnie. Nic w życiu nie zdziwiło mnie bardziej: mała, ładna kobieta i taki stary chłop jak ja. Z początku zdawało mi się, że wygrałem wielki los. Pobraliśmy się i po dwutygodniowej podróży wróciliśmy do domu. Przybyliśmy o dziesiątej wieczór, i daję ci słowo, Aniu, w pół godziny potem Emilia już sprzątała mieszkanie. Myślisz sobie zapewne, że mieszkanie moje wymagało tego — masz bardzo wyrazistą twarz, Aniu, twoje myśli czyta się w niej jak w otwartej książce. Ale tak źle nie było. Przyznaję, że było ono zaniedbane za moich kawalerskich czasów, lecz przed ślubem kazałem je wymalować i sprzątnąć. Wierzaj mi, gdybyś wprowadziła Emilię do nowo zbudowanego pałacu z białego marmuru, wzięłaby się do szorowania go, z chwilą gdy udałoby się jej przypasać jakiś stary fartuch. Owego dnia szorowała do pierwszej w nocy, a o czwartej rano znowu stanęła do roboty. I tak ciągle... bez najmniejszej przerwy. Szorowanie, zmiatanie — cały tydzień aż do niedzieli, a w niedzielę oczekiwanie poniedziałku, ażeby zacząć na nowo. Bawiło ją to widocznie i przystosowałbym się nawet do tego, gdyby mi tylko dała spokój. Lecz w tym sęk właśnie. Postanowiła sobie przerobić mnie, ale zabrała się do

tego za późno... nie byłem już przecież młody. Nie wolno mi było wejść do mieszkania, jeśli u progu nie zmienilem butów na pantofle. Nie wolno mi było palić fajki w pokoju, tylko w sieni. I nie wysławiałem się dość gramatycznie — Emilia była w młodości nauczycielką, więc z łatwością dostrzegała błędy. Razilo ją też, gdy jadłem nożem. Miałem tego gderania po uszy, chociaż, muszę przyznać, i ja nie byłem bez winy. Nie starałem się poprawić, jak to powinienem był uczynić, ale wpadałem w gniew i odpowiadałem jej szorstko. Któregoś dnia odciąłem się jej mówiąc, że nie zwracała uwagi na mój zły styl, gdy się jej oświadczałem. Nie było to taktowne z mojej strony. Kobieta prędzej przebaczy mężczyźnie złe traktowanie niż posądzenie, że chciała go złapać na męża. Odtąd sprzeczałyśmy się często o głupstwa, co nie było arcymile, lecz ostatecznie zżylibyśmy się z sobą, gdyby nie Imbirek.

Imbirek był skałą, o którą rozbił się spokój naszego ogniska domowego. Emilia nie lubiła papug, a bluźnierstwa Imbirka denerwowały ją w najwyższym stopniu. Ja zaś byłem przywiązany do tego ptaka ze względu na mego brata — marynarza. Brat był moim oczkiem w głowie jeszcze z czasów dzieciństwa, a umierając przysłał mi Imbirka na pamiątkę. Nie widziałem powodu, dla którego miałbym go odzwyczajać od przekleństw. Nie cierpię przekleństw w ustach człowieka, ale należało być wyrozumiałym dla papugi, która powtarzała wszystko bezmyślnie, tak jak ja powtarzałbym mowę chińską. Emilia była innego zdania — kobiety nie są logiczne. Starła się odzwyczaić Imbirka od bluźnierstw z takim samym skutkiem, jak mnie od mówienia „jezdem” i „tamtą razą”. Wydawało się, że im więcej nad nim pracuje, tym on gorzej klnie — zupełnie to samo, co ze mną. Działo się coraz gorzej, aż nastąpiła katastrofa. Emilia zaprosiła na podwieczorek naszego pastora z żoną i drugiego pastora, który bawił u nich w gościnie. Przrzekłem wynieść Imbirka — Emilia nie dotknęłaby jego klatki nawet metrowym kijem — i miałem szczerzy zamiar to uczynić, gdyż także nie życzyłem sobie, ażeby w moim domu pastorowie narażeni byli na słuchanie przekleństw. Niestety, zapomniałem. I nic dziwnego. Emilia tyle kładła mi w uszy na temat czystego kołnierza i gramatyki, że o papudze przypomniałem sobie dopiero wtedy, gdyśmy siedzieli przy herbacie. I oto w chwili gdy pastor numer pierwszy odmawiał modlitwę, z ganku rozległ się głos Imbirka. Na podwórzu ukazał się indyk, a widok tego ptaka miał zawsze jak najfatalniejszy wpływ na Imbirka. Tym razem Imbirek prześcignął sam siebie. Możesz się uśmiechać, Aniu, ja sam przypominając sobie tę scenę nieraz śmiałem się w duchu, ale wówczas czułem się równie zawstydzony jak Emilia. Pośpieszyłem wynieść Imbirka do spichrza, ale

straciłem już humor. Mina Emilii nie wróżyła nic dobrego. Po odjeździe pastorów udałem się po paszę dla krów, a w drodze rozmyślałem nad tą całą sprawą. Żałowałem Emilii i tego, że nie byłem dla niej dość uważający. Przy tym obawiałem się, czy pastory nie pomyślą, że Imbirek nauczył się przekleństw ode mnie. Koniec końców, postanowiłem w jakiś łagodny sposób skończyć z Imbirkiem i po powrocie do domu miałem to oświadczyć Emilii. Ale nie zastałem jej. Natomiast na stole leżał list — zupełnie jak w powieści. Pisała, że muszę wybrać pomiędzy nią a papugą, że wraca do swego dawnego mieszkania i czekać będzie mojej odpowiedzi. Zirykowałem się i powiedziałem sobie: jeśli tak, to niech czeka do sądnego dnia. I potem się tego trzymałem. Zapakowałem jej manatki i odesłałem je. Zakotłowało się jak w ulu. Scottsford nie jest mniej plotkarskim gniazdem niż Avonlea, a każdy współczuł Emilii. Byłem zły, rozgoryczony i zrozumiałem, że muszę się stamtąd wyprowadzić, jeśli mi spokój miły. Postanowiłem osiąść na tej wyspie, którą znałem i lubiłem z lat chłopięcych. Emilia nie zamieszkałaby tutaj, gdzie, jak twierdziła, należy unikać przechadzki o zmroku, żeby nie wpaść w morze. Więc na złość jej przyjechałem tutaj. I oto cała historia. Odtąd nie słyszałem o niej nic zgoła, aż tu w sobotę, po powrocie z pola, zastaję ją szorującą podłogę, a na stole pierwszy porządny obiad od czasu, gdy tu mieszkam... Powiedziała mi, żebym przede wszystkim zjadł obiad, a potem pogadamy, z czego wywnioskowałem, że nauczyła się postępować z mężem. Jest więc tutaj i pozostanie już na zawsze. Imbirek nie żyje, a wyspa jest większa, niż przypuszczała. Ale... wraca z panią Linde. Zostań, Aniu, zaznajomisz się z Emilią. Bardzo jej się podobałaś — wypytywała, kto to jest to śliczne, rudowłose dziewczę w sąsiedztwie.

Pani Harrison przywitała Anię serdecznie i zaprosiła na podwieczorek.

— Jakub opowiadał mi, jak dobra była pani dla niego — rzekła. — Pragnęłabym poznać moich nowych sąsiadów jak najprędzej. Pani Linde to przemiła osoba, taka serdeczna!

Wieczorem pani Harrison odprowadziła Anię do domu. Szły pachnącą łąką, gdzie tysiące świętojańskich robaczków migotało w trawie.

— Przypuszczam, że Jakub opowiedział pani naszą historię? — zagadnęła.

— Owszem.

— Więc nie będę jej powtarzała, bo Jakub jest prawdomówny i sprawiedliwy. Teraz widzę, że wina była nie tylko po jego stronie. Zaledwie go opuściłam, już żałowałam mojej popędliwości, lecz wstyd mi było się do tego przyznać. Przekonałam

się, że wymagałam od mężczyzny zbyt wiele zamiłowania do porządku, a już szaleństwem było zwracać uwagę na błędy gramatyczne. Mniejsza o poprawny język, jeśli ktoś jest skrzętnym gospodarzem i nie zagląda żonie do garnków. Jestem przekonana, że teraz będziemy prawdziwie szczęśliwym małżeństwem. Żałuję, że nie wiem, kto to jest “Spostrzegacz”. Chciałabym mu podziękować, bo mam względem niego duży dług wdzięczności.

Ania nie zdradziła się i pani Harrison nie dowiedziała się nigdy, że “Spostrzegacz” był doskonale poinformowany o jej wdzięczności. Żartobliwa kronika avonlejska miała nieoczekiwanie daleko idące następstwa: pogodziła zwaśnione małżeństwo i zdobyła rozgłos dla zapoznanego proroka.

Na Zielonym Wzgórzu pani Linde opowiadała Maryli dzieje Harrisonów.

— Jakże ci się podoba nasza nowa sąsiadka? — spytała Anię.

— Nadzwyczajnie. Wydaje mi się bardzo miłą osobą.

— Jest nią w istocie — potwierdziła pani Linde z naciskiem. — Właśnie przekonywałam Marylę, że ze względu na nią nie wolno nam zwracać uwagi na dziwactwa Harrisona, powinniśmy dbać o to, żeby czuła się w naszej osadzie jak w domu. Ale muszę już wracać, aby dojrzeć Tomasza. Od czasu przyjazdu Elizy pozwalam sobie na krótkie odwiedziny u znajomych, tym bardziej że w ostatnich dniach czuje się on nieco lepiej. Lecz niepokoję się o niego, gdy jestem poza domem... Słyszałam, że Gilbert rzuca szkołę w Białych Piaskach — pewnie wybiera się na uniwersytet od jesieni.

Z tymi słowy spojrzała badawczo na Anię, która pochyliła się właśnie nad zasypiającym przy stole Tadzkiem. Nie zdołała więc nic wyczytać z jej twarzy. Po chwili Ania opuściła pokój. Niosła na rękach Tadzka, przytulając swój delikatny policzek do jego kędzierzawej główki. Gdy wchodzili na schody, Tadzio objął rączkami jej szyję i ucałował ją lepkimi od konfitur ustami.

— Ty jesteś moja najdroższa Ania. Emilek napisał dziś na swej tabliczce do Janki Sloane:

*Kocham twoje cudne oczy,
Kocham kolor twych warkoczy,
Kocham twoją rączkę małą,
Ciebie, Janko, kocham całą.
A ja tak myślę o tobie, Aniu.*

XXVI. ZA ZAKRĘTEM

Rozstanie Tomasza Linde ze światem było równie ciche jak całe jego życie. Pani Małgorzata okazała się czułą, cierpliwą, niezmordowaną pielęgniarzką. Kiedy był zdrowy, zdarzało się nieraz, że zniecierpliwiona jego ślamazarnością bywała dlań szorstka, lecz z chwilą gdy zapadł na zdrowiu, trudno było o łagodniejszy głos, delikatniejsze dotknięcie, bardziej nieustrudzone czuwanie po nocach.

— Byłaś mi dobrą żoną, Małgorzato — dziękował jej, gdy siedząc przy nim o zmroku, trzymała w swej spracowanej dłoni jego wychudłą, bezkrwistą rękę. — Bardzo dobrą żoną. Martwi mnie, żem cię lepiej nie zabezpieczył. Ale dzieci będą pamiętały o tobie. Przecież są dzielne, zdolne... zupełnie jak matka. Dobra kobieta... dobra żona.

Z tymi słowy zasnął. A następnego poranka, kiedy białe mgły spelzły ze świerków w dolinie, Maryla weszła cicho do pokoiku na facjatce i zbudziła Anię.

— Tomasz Linde umarł... pastuszek ich przyniósł mi tę wiadomość. Idę natychmiast do Małgorzaty.

Nazajutrz po pogrzebie Tomasza Maryla krzątała się po domu z niezwykle zafrasowaną miną. Od czasu do czasu spoglądała na Anię, jakby chciała jej coś powiedzieć, lecz tylko potrząsała głową i milczała dalej. Po podwieczorku odwiedziła panią Małgorzatę, a wróciwszy, udała się wprost na facjatkę, gdzie Ania zajęta była poprawianiem zeszytów.

— Jakże się miewa pani Linde? — zapytała Ania.

— Jest spokojniejsza i bardziej zrównoważona — odpowiedziała Maryla siadając na łóżku, co było dowodem niezwyklego stanu duszy, gdyż, wedle gospodarskiego kodeksu Maryli, siadanie na zasłanym łóżku było grzechem nie do wybaczenia. — Ale samotność jej ciąży. Eliza musiała dziś pojechać do domu, bo syn jej zachorował.

— Gdy tylko skończę poprawiać ćwiczenia, pobiegnę do pani Linde na chwilę pogawędki — rzekła Ania. — Chciałam, co prawda, wziąć się dziś do łaciny, ale to może poczekać.

— Zdaje się, że Gilbert jedzie tej jesieni na uniwersytet — zdobyła się wreszcie na odwagę Maryla — czy ty nie chciałabyś się udać na studia?

Ania spojrzała zdumiona.

— Oczywiście, chciałabym, ale to niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe? Ja zawsze byłam zdania, że powinnaś to uczynić. Ubolewałam, że zarzuciłaś tę myśl ze względu na mnie.

— Ależ, Maryło, ja nie żałowałam ani przez chwilę, że zostałam w domu. Byłam szczęśliwa! Te ostatnie dwa lata spędziłam tak cudownie!

— O, wiem, że czułaś się zadowolona. Ale nie o to chodzi. Musisz kształcić się dalej. Zaoszczędziłaś dosyć na roczny pobyt w Redmondzie, a dochód z folwarku opędzi wydatki następnego roku. Zresztą, może dostaniesz stypendium.

— Tak, ale nie mogę wyjechać. Twój wzrok poprawił się co prawda, lecz nie zostawiłabym cię samej z bliźniętami, które wymagają ciągłej opieki.

— Nie pozostanę sama. Chciałam właśnie pomówić z tobą o tej sprawie. Miałam dziś długą rozmowę z Małgorzatą i dowiedziałam się, że pozostała w bardzo ciężkich warunkach. Osiem lat temu zapożyczyli się, żeby móc wysłać najmłodszego syna na Zachód, a potem spłacali tylko procenty. Choroba Tomasza też dużo kosztowała. Trzeba będzie sprzedać farmę, a po spłaceniu długów nie zostanie prawie nic. Małgorzata musiałaby zamieszkać u Elizy, a z rozpaczą myśli o porzuceniu Avonlea. Nielatwo jest kobiecie w jej wieku przenieść się do nowych warunków i zawiązać nowe znajomości. Gdy zwierzała mi się ze swych trosk, przyszło mi do głowy, że byłoby dobrze, gdyby zamieszkała u mnie. Lecz nie chciałam jej tego proponować bez porozumienia się z tobą. Jeślibym miała towarzystwo Małgorzaty, mogłabyś wyjechać na uniwersytet. Co myślisz o tym?

— Myślę, że ktoś darował mi... gwiazdkę z nieba. I nie wiem... co z nią zrobić — rzekła Ania oszołomiona. — Co do pani Linde, musisz sama zdecydować, Maryło... Czy jesteś pewna, że będzie ci z nią dobrze? Jest to dobra osoba i miła sąsiadka, ale... ale...

— Ale ma swoje wady, chcesz powiedzieć? Oczywiście. Łatwiej mi będzie jednak narażać się na przykrości z tego powodu niż rozstać się z nią na zawsze. Brakowałoby mi jej niezmiernie; to moja jedyna serdeczna przyjaciółka. Czterdzieści pięć lat sąsiadowaliśmy ze sobą i nigdy nie było między nami kłótni, chociaż omal nie doszło do niej w ów dzień, gdy nazwała cię rudym chudzielcem, pamiętasz?

— Pamiętam — odpowiedziała Ania. — Nie zapomina się takich przykrości. Jakżeż nienawidziłam wtedy biednej pani Linde!

— A następnie twoje przeprosiny. Istotnie, trudno było dać sobie z tobą radę. Zupełnie nie wiedziałam, jak mam postępować. Mateusz rozumiał cię lepiej.

— Mateusz wszystko rozumiał — szepnęła Ania czule, jak zwykle, gdy wspominała swego opiekuna.

— Można chyba urządzić tak, aby nie dochodziło do starć między nami. Zdaje mi się, że najczęściej powodem sprzeczek dwóch gospodyń jest krzątanie się we wspólnej kuchni, gdzie jedna drugiej wchodzi w drogę. Dałabym więc Małgorzacie północną facjatkę na sypialnię, a na kuchnię pokój gościnny, zupełnie nam zbyteczny. Mogłaby tam wstawić piecyk i część mebli, które zatrzyma. Mieszkałaby wygodnie i nie byłaby skrępowana. Na utrzymanie wystarczy jej w zupełności, już dzieci będą o to dbały. Ja użyję jej tylko dachu nad głową. Owszem, Aniu, taki stan rzeczy odpowiadałby mi bardzo.

— Więc zaproś ją! — zdecydowała Ania szybko. — Ja sama żałowałabym, gdyby pani Linde musiała się wyprowadzić z Avonlea.

— Z chwilą zaś gdy się sprowadzi — ciągnęła dalej Maryla — ty możesz wyjechać na studia. Nie byłoby już powodu do zatrzymywania cię w domu, bo miałabym towarzystwo, a także pomoc w wychowywaniu bliźniąt.

Tego wieczora Ania długo rozmyślała: radość i smutek staczały walkę w jej duszy. Doszła wreszcie — i to nagle i niespodziewanie — do zakrętu gościńca, a za zakrętem znajdował się uniwersytet opromieniony tęczowymi nadziejami. Jednakże zdawała sobie sprawę, że z chwilą gdy minie zakręt, pozostawi za sobą wiele drogich sercu spraw: wszystkie proste, codzienne obowiązki, które tak bardzo ukochała w ciągu ostatnich dwóch lat i, z wrodzonym sobie entuzjazmem, otoczyła aureolą piękna i blasku. Musi opuścić szkołę, a była przecież przywiązana do wszystkich swoich uczniów, nawet do najmniej zdolnych i najkrnąbrniejszych. Samo wspomnienie Jasia Irvinga kazało jej zastanowić się, czy Redmond wynagrodzi jej ból rozstania.

— Dużo młodych roślinek weszło za moją sprawą — dumiała. — Obawiam się, czy rozstanie ze mną nie uczyni im szkody. Lepiej jednak będzie, gdy odejdę. Maryla ma słuszość: nie istnieje żaden ważny powód, dla którego musiałabym pozostać. Muszę wydobyć z ukrycia wszystkie moje zagrzebane ambicje i przewietrzyć je trochę.

Następnego dnia Ania posłała prośbę o zwolnienie z posady, a pani Linde, po serdecznej rozmowie z Marylą, wdzięcznym sercem przyjęła ofiarowaną jej na Zielonym Wzgórzu gościnę. Zamierzała jeszcze spędzić lato u siebie, gdyż farma miała być sprzedana dopiero w jesieni, a tymczasem dużo spraw wymagało załatwienia.

— Nigdy, co prawda, nie myślałam, że będę musiała mieszkać tak daleko od gościńca — wzdychała w cichości pani Małgorzata. — Ostatecznie jednak Zielone

Wzgórze nie leży tak na odludziu, jak by się mogło zdawać; Ania ma bardzo dużo znajomych, a bliźnięta wnoszą w dom wiele życia. W każdym razie wolałabym mieszkać nawet w mysiej dziurze niż opuścić Avonlea.

Wiadomość o tych dwóch postanowieniach od razu usunęła na drugi plan ostatni temat plotek: przybycie pani Harrison. Rozważni kiwali ze zdumieniem głowami nad szybkim postanowieniem Maryli. Ogólnie twierdzono, że nie będzie zgody na Zielonym Wzgórzu: przyjaciółki różniły się od siebie zbyt zarówno charakterem, jak przyzwyczajeniami; obiegało wiele smutnych przepowiedni, które jednak nie zwały spokoju stron zainteresowanych. Maryla i Małgorzata porozumiewały się co do swych przyszłych praw i obowiązków i miały szczerzy zamiar trwać przy nich.

— Nie będziemy się wtrącały jedna do drugiej — orzekła stanowczo pani Linde.
— Co się tyczy bliźniąt, chętnie zajmę się nimi w miarę możliwości. Nie podejmuję się tylko odpowiadać na zapytania Tadzia, ot co! Nie jestem encyklopedią ani adwokatem. Pod tym względem bardzo nam będzie brakowało Ani.

— Odpowiedzi Ani były często równie dziwaczne, jak pytania Tadzia — rzekła Maryla sucho. — Niewątpliwie bliźnięta bardzo odczuwają jej nieobecność. Lecz nie wolno zaspokajać pragnienia wiedzy Tadzia kosztem przyszłości Ani. Ilekroć nie umiem odpowiedzieć na jego zapytanie, mówię mu, że na dzieci lubię patrzeć, ale nie słuchać ich. Ja otrzymałam takie wychowanie, z pewnością nie gorsze od nowoczesnych pomysłów.

— Jednakże metoda Ani dała świetne wyniki w wypadku Tadzia — uśmiechnęła się pani Linde. — Jego charakter ogromnie się poprawił, ot co!

— Niezły z niego malec — przyznała Maryla. — Nigdy nie przypuszczałam, że tak polubię te dzieci. Tadzio po prostu chwyta za serce, a Tola też przemila dziewczynka, chociaż... chociaż...

— Trochę nudna? Właśnie — odpowiedziała pani Małgorzata. — Jak książka, której jedna strona podobna jest do drugiej, ot co! Tola będzie dobrą gospodynią, ale prochu nie wymyśli. Wygodnie jest mieć do czynienia z takimi ludźmi, chociaż nie są bardzo zajmujący.

Gilbert był prawdopodobnie jedyną osobą, której wiadomość o wyjeździe Ani sprawiła przyjemność. Uczniowie jej uważali to za istne nieszczęście: Aneczka Beli spazmowała po powrocie do domu, Antoś Pye dla wyładowania swych uczuć wydał kolegom dwie regularne bitwy. Basta Shaw płakała całą noc, a Jaś Irving zapowiedział

swjej babce z niezwykłą stanowczością, że przynajmniej przez tydzień nie weźmie do ust owsianki.

— Nie mogę, babciu — mówił. — W ogóle nie wiem, czy będę mógł cokolwiek przełknąć. Zdaje mi się, że mam zasznurowane gardło. Byłbym beczął, wracając ze szkoły, gdyby nie to, że Kuba Donnell bezustannie mi się przyglądał. Popłaczę już w łóżku. Czy aby jutro nie będzie tego znać po moich oczach? Płacz byłby dla mnie taką ulgą... W każdym razie nie mogę jeść owsianki, chcę zachować całą siłę woli do zniesienia tego nieszczęścia, babciu, i nic mi już jej nie pozostanie do zmuszenia się do owsianki. O, co ja pocznę, gdy moja ukochana nauczycielka wyjedzie? Emilek Boulter gotów się założyć, że panna Andrews obejmie szkołę. Być może, iż jest ona bardzo miła, ale wiem na pewno, że nie będzie mnie tak rozumiała jak panna Shirley.

Diana również bardzo pesymistycznie zapatrywała się na przyszłość.

— Jakaż smutna zima nas czeka — biadała siedząc z Anią w jej pokoiku, zalanym promieniami księżyca, spoglądającego ku nim poprzez gałęzie wiśni. — Nie będzie ciebie ani Gilberta... ani Allanów. Pan Allan został przeniesiony do Charlottetown. Będziemy musieli wysłuchiwać długiego szeregu kazań kandydatów na pastorów... a połowa z nich będzie na pewno nudna.

— Mam nadzieję, że nie naznaczą do nas pastora Baxtera — mówiła Ania z przekonaniem. — Kazania jego są takie ponure. Pan Bell powiada, że to stara szkoła, ale pani Linde twierdzi, że wszystkiemu winien jest jego żołądek. Pastorowa jest podobno marną gospodynią, a pani Linde uważa, że jeśli kto dostaje pięć razy tygodniowo kwaśny chleb na wieczerzę, nie może to pozostać bez wpływu na kazania. Pani Allan bardzo boleje nad rozłąką z Avonlea; mówi, że gdy przybyła tu jako młoda mężatka, doznała od wszystkich tak serdecznego przyjęcia, iż żegna ich z żalem jak najdroższych sercu przyjaciół. Nie może się też przyzwyczaić do myśli o rozstaniu z mogiłką dziecka. Była to wprawdzie maleńka, trzymiesięczna istotka, ale... gotowa tęsknić za matką — lęka się pani Allan, choć za nic w świecie nie zwierzyłaby się z tego swemu mężowi. Opowiadała mi, że prawie co wieczór skrada się na cmentarz, aby zanucić swemu maleństwu kołysankę. Mówiła mi o tym wczoraj, gdy składałam wiązanek polnych róż na grobie Mateusza. Przysięgam jej, że dopóki pozostanę w Avonlea, będę stroiła kwiatkami mogiłkę jej dzieciny, a kiedy wyjadę, to...

— Ja to będę czyniła — dokończyła Diana serdecznie. — Bezwarunkowo. Będę też za ciebie pamiętała o grobie Mateusza.

— O, dziękuję ci bardzo. Chciałam cię właśnie o to prosić. Nie zapomnij też o grobie Heleny Gray. Tyle myślałam i marzyłam o niej, że stoi mi przed oczami jak żywa. Wyobrażam ją sobie w jej cichym, zielonym ogródku. Mam złudzenie, że jeślibym się tam zakradła jakiegoś wiosennego wieczora w czarodziejskiej godzinie między zmierzchem a nocą, zastałabym ogród w jego dawnej świetności, pełen róż i narcyzów, a w nim mały domek spowity winem. Po ścieżkach krążyłaby urocza Helena Gray; dotykając koniuszkami palców unoszące się ku niej główki róż, szeptałaby z nimi tajemniczo. Wtedy zjawiłabym się przed nią cichutko i z wyciągniętymi dłońmi prosiłabym: “Cudna Heleno, ja także kocham kwiaty. Czy pozwolisz mi zostać twoją towarzyszką?” I zasiadłszy na starej kamiennej ławce, zaczęłybyśmy trochę gawędzić, trochę marzyć. A gdy po wschodzie księżyca rozejrzałabym się naokoło, nie byłoby Heleny ani róż, ani domku, tylko stary, opuszczony ogród pełen narcyzów rozsianych wśród traw i wiatr smutnie wzdychający pomiędzy gałęziami wisien. I nie wiedziałabym, czy to była rzeczywistość, czy sen tylko.

Diana oparła się mocno plecami o poręcz łóżka. Gdy przyjaciółka w godzinie zmroku opowiada takie rzeczy, lepiej jest wiedzieć na pewno, co ma się za sobą.

— Obawiam się, że wraz z wyjazdem twoim i Gilberta K.M.A. się rozpadnie — zauważyła tonem skargi.

— Nie ma mowy o tym — zaprzeczyła Ania żywo, powracając z krainy marzeń do spraw codziennych. — Ma zbyt mocne podstawy, szczególnie od czasu, gdy starsze pokolenie tak bardzo się nim interesuje. Pomyśl, ile oni uczynili w tym roku dla upiększenia osady. Ja zaś będę w Redmondzie zbierała wskazówki i w zimie przyślę wam referat. Nie patrz tak pesymistycznie na świat, Diano, i nie zatruwaj mi tej godziny zadowolenia i radości. Niedługo, rozstając się z wami, nie będę miała wesela w duszy.

— Nic dziwnego, że się cieszysz... idziesz na uniwersytet, na pewno mile spędzisz ten czas. Pozawierasz nowe przyjaźnie.

— Mam nadzieję, że znajdę nowych przyjaciół — mówiła Ania zadumana. — Myśl ta dodaje życiu tyle uroku. Bez względu na to, ilu nowych zdobędę, nigdy nie będą mi tak drodzy jak dawni, szczególnie pewne czarnookie dziewczę ze ślicznymi dołeczkami. Czy zgadujesz, o kim mówię?

— Ależ w Redmondzie będziesz miała tyle inteligentnych koleżanek, ja zaś jestem głupią wiejską gąską, która nawet potrafi powiedzieć “jezdem”, gdy się nie

zastanowi. Ach, naprawdę, ostatnie dwa lata minęły nam rozkosznie. Wiem jednak o kimś, kto się cieszy, że wyjeżdżasz... Aniu, pragnę ci zadać pytanie: bardzo poważne. Nie gniewaj się i odpowiedz szczerze. Czy lubisz Gilberta?

— Jako przyjaciela bardzo, ale ani trochę w tym sensie, o który ci chodzi — odpowiedziała Ani spokojnie i stanowczym tonem. Zdawało jej się, że to właśnie jest szczerza prawda. Diana westchnęła — pragnęła innej odpowiedzi.

— Czy nie masz zamiaru wyjść za mąż?

— Może... kiedyś... gdy spotkam swój ideał — uśmiechnęła się Ania z oczami utkwionymi w dal.

— Ale po czym poznasz, że to on jest właśnie? — upierała się Diana.

— Poznam go z łatwością, serce mi to powie. Ty przecież znasz mój ideał.

— Ale ideały ludzkie zmieniają się czasami.

— Nie moje; nie mogłabym kochać człowieka, który by nie dorastał do moich wymagań.

— A jeśli go nie spotkasz?

— Wtedy umrę w staropanieństwie — brzmiała wesola odpowiedź. — Sądzę, że to nie najcięższa śmierć.

— O, śmierć byłaby bardzo lekka, ale żyć jako stara panna nie pragnęłabym wcale. Chociaż zgodziłabym się zostać starą panną typu panny Lawendy. Tylko że dla mnie to niemożliwe: mając lat czterdzieści pięć, będę strasznie otyła, a jeśli szczupła stara panna może być poetyczna, to tęga — w żadnym razie... Ale czy wiesz, Nelson Atkins oświadczył się Ruby Gillis. Opowiedziała mi tę całą historię. Nie miała zamiaru go przyjąć, bo jako jego przyszła żona musiałaby zamieszkać z teściami, ale oświadczył się tak pięknie i takim wyszukany stylem, że ją to oszołomiło. Nie chcąc się zdecydować bez namysłu, zażądała tygodnia zwłoki. W parę dni potem, będąc na posiedzeniu Koła Pracy u jego matki, spostrzegła w bawialni na stole "Przewodnik dobrego tonu". Ruby nie mogła mi opisać uczuć, jakich doznała, gdy w rozdziale, zatytułowanym "Wskazówki dla oświadczających się", odnalazła calusienkę jego mowę, słowo w słowo. Po powrocie do domu napisała do niego list z druzgocącą odprawą i, jak twierdzi, od tego czasu rodzice na zmianę musieli go pilnować z obawy, by się nie utopił. Ale Ruby powiada, że niepotrzebnie się lękali, bo w tymże rozdziale "Przewodnika", we wskazówkach zachowania się odrzuconego konkurenta, nie ma wcale mowy o samobójstwie. Zwierzyła mi się też, że Wacek Blair po prostu usycha z miłości do niej, ale cóż ona może na to poradzić.

Ania poruszyła się niecierpliwie.

— Przykro mi jest to wyznać, ale nie lubię teraz Ruby. Była mi bardzo bliska, gdyśmy chodziły do szkoły i do seminarium, chociaż nie tak jak ty i Janka, oczywiście. Jednakże ostatniego roku w Carmody stała się zupełnie inna, taka... taka...

— Już wiem — podchwyciła Diana. — Obecnie zaczynają wychodzić na jaw przywary Gillisów. Pani Linde powiada, że jeśli kiedy którakolwiek z sióstr Gillis myślała o czymś innym niż o flircie, to z zachowania ich w żadnym razie nie można było tego wywnioskować. Ruby mówi tylko o chłopcach, jakie komplementy jej prawia, jak za nią szaleją w Carmody... A najdziwniejsze, że tak jest naprawdę! — dodała z pewnym żalem. — Wczoraj wieczorem, gdy spotkałam ją w sklepie Blairów, od razu szepnęła mi: “Nowe zwycięstwo”. Umyślnie nie zapytałam, kto jest ten nieszczęśliwy, bo wiedziałam, że aż drży z ochoty wyjawienia mi nazwiska. Tak, ona zawsze o tym marzyła. Pamiętam, jeszcze w szkole mawiała, że gdy dorośnie, musi mieć tuzinami konkurentów i nawiązywać się życia, zanim wyjdzie za mąż. Jakaż ona inna od Janki. Janka — to taka rozumna, dystyngowana, miła dziewczyna.

— Janka to istna perła — potwierdziła Ania — ale — dodała ściskając pulchną rączkę przyjaciółki — najlepsza ze wszystkich jest moja Diana. Czy pamiętasz nasze pierwsze spotkanie w twoim ogrodzie, obietnicę wiecznej przyjaźni? Dotrzyśmy “przysięgi”. Nie było między nami nigdy sprzeczki ani nawet nieporozumienia. Do końca życia nie zapomnę dreszczu, jaki mnie przeszył, gdy wyznałaś mi, że mnie kochasz. Moje dziecięce serduszek tak bardzo łaknęło przywiązania. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, jak strasznie byłam samotna i opuszczona. Nikt o mnie nie dbał, nikt nie chciał się mną zajmować. Jakże czułabym się nieszczęśliwa, gdyby nie mój świat marzeń, pełen urojonych przyjaciół i uczuć, których tak łaknęłam. Ale z chwilą przybycia na Zielone Wzgórze wszystko się zmieniło. Potem spotkałam ciebie. Nie możesz sobie wyobrazić, czym była dla mnie twoja przyjaźń. Wiecznie będę ci wdzięczna za gorące przywiązanie, którym mnie obdarzyłaś.

— Zawsze będę cię kochała — załkała Diana w odpowiedzi. — Nigdy w życiu nie pokocham nikogo... żadnej przyjaciółki... tak jak kocham ciebie. A jeśli kiedykolwiek będę miała córeczkę, nazwę ją: Ania.

XXVII. POPOŁUDNIE W CHATCE ECH

Dokąd idziesz taka wystrojona, Aniu? — dopytywał się Tadzio przy obiedzie. — Wyglądasz byczo w tej sukni. — Ania miała na sobie nową sukienkę z bladozielonego muślinu — pierwszy kolorowy strój od śmierci Mateusza. Było jej w tym prześlicznie. Zielona barwa podnosiła jeszcze różaną delikatność jej cery i ognisty przepych włosów.

— Tadzio, ile razy ci mówiłam, żebyś nie używał tego wyrazu — strofowała. — Idę do Chatki Ech.

— Zabierz i mnie — napierał się Tadzio.

— Zabrałabym cię, gdybym jechała kabrioletem, lecz idę pieszo, a to za daleko dla twoich ośmioletnich nóżek. Zresztą Jaś idzie ze mną, a wiem przecież, że nie bardzo go lubisz.

— O, teraz lubię go już więcej — rzekł Tadzio, czyniąc jednocześnie spustoszenie w swoim puddingu. — Sam już jestem grzeczny, więc się nie martwię, że on jest trochę grzeczniejszy. Jeśli wytrzymam tak dłużej, to go dogonię i we wzroście, i w grzeczności.

Jaś jest bardzo dobry dla wstępniaków. Nie pozwala dużym chłopakom wtrącać się do nas i uczy nas różnych gier.

— A jakim sposobem Jaś wpadł wczoraj do strumyka? — spytała Ania. — Spotkałam go na placu za— baw tak ociekającego wodą, że natychmiast kazałam mu iść do domu zmienić ubranie. Nie zdążyłam nawet zapytać, co się stało.

— Ech, to był trochę wypadek — objaśnił Tadzio. — Głowę wsadził umyślnie, a reszta wpadła sama. Staliśmy wszyscy nad strumykiem i Priscilla Rogerson rozzłościła się o coś na Jasia — to niegodziwa dziewczyna, chociaż jest ładna — i powiedziała, że babka zawija mu na noc włosy w loczki. Jaś nie robiłby sobie nic z tej paplaniny, ale była przy tym właśnie Kasia Andrews, która wybuchnęła śmiechem. Wtedy Jaś się zaczerwienił, bo chyba wiesz, że on się kocha w Kasi. Ciągłe się z nią bawi, zrywa dla niej kwiaty i nosi jej książki aż do drogi nad morze. Więc zaczerwienił się jak burak i powiedział, że jego babcia nie robi nic takiego, a loki ma już od urodzenia. Położył się jak długi na piachu, a głowę wpakował w źródelko, żeby im pokazać, że włosy się nie rozkręca. Nie w to źródelko, z którego bierzemy wodę — uspokajał zauważywszy przerażone spojrzenie Maryli — w to małe, tam na dole. Ale brzeg jest strasznie śliski i

Jaś wpadł do wody. To ci była bycza fontanna. O, przepraszam, Aniu, nie chciałem tego powiedzieć, samo mi się wyrwało. To była wspaniała fontanna. A wyglądał tak śmiesznie, kiedy wylazł mokry i zabłocony, że wszystkie dziewczynki śmiały się jak szalone. Tylko Kasia miała smutną minę. Kasia jest bardzo ładna, ale nos ma jak kartofel. Gdy ja dorosnę, nie wybiorę sobie narzeczonej z zadartym nosem. Musi mieć taki ładny nosek jak twój, Aniu.

— Żadna dziewczynka nie zechce spojrzeć na chłopca, który jedząc pudding ma twarz zababraną sokiem — rzekła Maryla surowo.

— Ale ja umyję twarz, zanim pójde się oświadczyć — zaprotestował Tadzio, wierzchem dłoni ścierając z buzi dowody swej winy. — I uszy umyję, choć mi nikt nie nakaze. Pamiętałem o tym dziś rano, Marylo; rzadko zapominam. Ale — tu Tadzio westchnął głęboko — człowiek ma na sobie tyle miejsc do mycia, że strasznie ciężko pamiętać o wszystkich... Trudno, jeśli nie mogę iść do panny Lawendy, pójde do pani Harrison. Powiadam wam, to strasznie miła osoba. Trzyma w spiżarni słój marmoladek tylko dla małych chłopców, a ile razy piecze placek ze śliwkami, pozwala mi wyskrobać blachę. Szkoda, że nie widziałyście, ile tam śliwek zostaje po bokach. Pan Harrison był zawsze bardzo miły, ale jest jeszcze miłszy od czasu, gdy się z powrotem ożenił. Widzę, że kto się ożeni, robi się lepszy. Powiedzcie mi, dlaczego Maryla się nie ożeniła?

Staropanieństwo Maryli nie było dla niej nigdy drażliwą sprawą, toteż, zamieniwszy porozumiewawcze spojrzenie z Anią, odpowiedziała po prostu:

— Prawdopodobnie dlatego, że nikt mi się nie oświadczył.

— To dlaczego Maryla się komuś nie oświadczyła?

— Ależ, Tadzio — oburzyła się Tola, która zazwyczaj nie wtrącała się do rozmowy nie pytana. — Przecież to mężczyźni muszą się oświadczać.

— Nie rozumiem, dlaczego zawsze mężczyźni — odburknął Tadzio. — Wszystko na świecie każą robić mężczyznom. Czy mogę dostać jeszcze puddingu, Marylo?

— Miałeś już zupełnie dosyć — odpowiedziała Maryla, lecz dała mu jeszcze niewielką drugą porcję.

— Chciałbym, żeby ludzie żywili się tylko puddingiem. Czemu tego nie robią, powiedzcie mi?

— Bo znudziłoby im się prędko.

— Mogę wypróbować to na sobie — ofiarował się Tadzio. — Ale wolę już pudding na święto i gdy są goście niż wcale. U Boulterów nigdy nie ma puddingu.

Emilek mówi, że gdy u nich są goście, matka jego kraje ser w cienkie plasterki i liczy: po jednym na osobę, a jeden na pokaz.

— Jeśli Emilek to mówi o swojej matce, to przynajmniej nie powtarzaj tego.

— Jak mi Bóg miły — Tadzio przyswoił sobie to wyrażenie od pana Harrisona i używał go z rozkoszą — Emilek chwali się tym. On jest strasznie dumny ze swojej matki, bo ludzie mówią, że ona nawet z umarłego potrafi skórę zedrzeć.

— Zdaje mi się, że kury wyjadają moje bratki — rzekła Maryla wychodząc pośpiesznie z pokoju.

Ale oszkalowanych kur nie było wcale w pobliżu kwietnika, zresztą Maryla nie rzuciła nawet okiem w tamtą stronę. Natomiast usiadłszy na progu piwnicy, śmiała się do łez.

Gdy tego popołudnia Ania z Jasiem przybyli do Chatki Ech, zastali pannę Lawendę z Karoliną w ogrodzie, zajęte na zabój gracowaniem, pieleniem, podlewaniem, przycinaniem. Panna Lawenda, jak zwykle, pogodna i urocza w swych ulubionych falbankach i koronkach, odrzuciła nożyce i z radością witała gości, gdy tymczasem Karolina Czwarta ukazywała zęby w szerokim uśmiechu.

— Jak się masz, Aniu! Oczekiwałam cię dzisiaj. Ach, Jasiu, jakżeś urósł! Przynajmniej o pół głowy od ostatnich odwiedzin.

— Rosnę jak na drożdżach, powiada pani Linde — rzekł Jaś dumny z tej oceny.
— Babcia uważa, że to wreszcie jest skutek owsianki. Być może — westchnął głęboko.
— Jadłem jej tyle, że każdy by urósł. Mam nadzieję, że teraz, kiedy się to już zaczęło, nie przestanę rosnąć, aż dogonię ojca. On mierzy sześć stóp, wie pani?

O, panna Lawenda dobrze wiedziała! Rumieniec na jej policzkach pociemniał trochę. Wziąwszy Anię i Jasia pod ręce, szła w milczeniu do domu.

— Czy dziś dobry dzień dla ech? — pytał Jaś niespokojnie. Za pierwszej jego bytności było wietrzno i doznał dużego rozczarowania.

— Tak, najidealniejszy — ocknęła się panna Lawenda z zadumy. — Ale przede wszystkim musimy się trochę posilić. Niewątpliwie długi spacer zaostriął wasze apetyty, Karolina zaś i ja możemy jeść zawsze. Ograbimy spiżarnię z zapasów. Jest w niej obfitość smakołyków. Przeczuwałam dziś, że przyjdą mili goście, i uczyniłam odpowiednie przygotowania.

— U pani są zawsze dobre rzeczy w spiżarni — zawyrokował Jaś. — I u babci jest tak samo, ale babcia nie pozwala na tasowanie między posiłkami. Toteż —

zastanawiał się — nie powinienem może jeść poza domem, kiedy wiem, że ona tego nie lubi.

— O, z pewnością uważałaby za słuszne, żebyś się posilił po tak długiej przechadzce. To zupełnie co innego — zapewniała panna Lawenda rzucając ponad jego główką rozbawione spojrzenie na Anię.

— Przed pójściem spać dostaję szklankę mleka i kromkę chleba z masłem — zwierzał się Jaś — w niedzielę zaś babcia smaruje mi chleb konfiturą. Toteż myślę zawsze z radością o wieczorze niedzielnym, ale nie tylko dlatego. U nas, nad zatoką, niedziela jest strasznie długa, chociaż babcia mówi, że dla niej jest zbyt krótka, a i ojciec, gdy był mały, podobno nigdy się nie nudził w niedzielę. I ja bym się nie nudził, gdyby mi wolno było gawędzić z moim Skalnym Ludkiem. Ale babcia nie pozwala na to w dni świąteczne. Rozmyślałam sobie tylko, ale zawsze się boję, że myśli moje są za światowe — babcia mówi, że w niedzielę powinno się mieć tylko religijne myśli. Panna Shirley powiedziała, że każda naprawdę piękna myśl jest religijna, wszystko jedno, którego dnia się myśli. Babcia nie zgadza się z tym, bo uważa, że tylko kazania i lekcje w szkole niedzielnej są prawdziwie religijne. A kiedy babcia i moja nauczycielka są odmiennego zdania, zupełnie nie wiem, co robić. Z całego serca — tu Jaś przyłożył rękę do piersi i podniósł poważnie oczy ku serdecznie spoglądającej nań pannie Lawendzie — rad bym wierzyć mojej ukochanej nauczycielce. Ale, widzi pani, babunia wychowała ojca swoim sposobem i wyrósł na dzielnego człowieka, a panna Ania nikogo jeszcze nie wychowała. Zajmuje się teraz Tadziem i Tolą, ale nie wiadomo, co z nich będzie. Więc nieraz wydaje mi się znowu, że lepiej słuchać babci.

— O, bezwarunkowo — potwierdziła Ania stanowczo. — Sądzę tylko, że gdybyśmy z babcią porozmawiały szczegółowo o tych rzeczach, zgodziłybyśmy się, że mamy na myśli to samo, choć inaczej to wyrażamy. Ty, Jasiu, słuchaj więc babci, która jest doświadczona, a czy moja metoda jest dobra, okaże się, gdy bliźnięta dorosną.

Po podwieczorku wrócili do ogrodu, gdzie Jaś ku swemu zachwytowi zabawiał się do woli echami, panna Lawenda zaś z Anią gawędziły pod topolą.

— Więc opuszczasz nas w jesieni? — pytała Anię smutnie. — Ze względu na ciebie powinnabym się cieszyć, ale samolub ze mnie, toteż strasznie się martwię. Tak bardzo będzie mi ciebie brak. O, nieraz dochodzę do wniosku, że nie warto zawierać przyjaźni. Przyjaciół zjawia się w twoim życiu i za chwilę znika, pozostawiając ból bardziej dokuczliwy niż poprzednia pustka.

— Ależ to pogląd Elizy Andrews, a nie panny Lawendy — oburzyła się Ania. — Nie ma nic gorszego nad pustkę. Ja zaś nie żegnam się z panią na zawsze, są przecież listy i wakacje... Droga pani wydaje mi się tak znużona i blada...

— Hu, hu, hu! — krzyczał zza wału Jaś, nie przestając wywoływać ech. Nie wszystkie jego okrzyki brzmiały melodyjnie, ale czarodziej nad rzeką przeobrażał je i odsyłał jako gamę najcudowniejszych tonów.

Panna Lawenda uczyniła niecierpliwy ruch swą śliczną ręką.

— Znudziło mnie już wszystko, nawet echa... W życiu moim nie ma nic prócz ech, wspomnień o utraconych nadziejach, marzeniach i radościach. Są piękne, lecz szydercze. Och, Aniu, to brzydko z mojej strony, że mówię tak z gościem. Po prostu starzeję się, a nie chcę tego. Wyobrażam sobie, jak będę zgorzkniała, gdy dobiegnę sześćdziesiątki.

Karolina Czwarta, która zniknęła podczas podwieczorku, zjawiała się w tej chwili z oznajmieniem, że polana pana Kimballa czerwieni się od poziomek. Czy panna Shirley nie chciałaby zebrać ich trochę?

— Świetnie! Poziomki do herbaty! — zawołała panna Lawenda. — Nie jestem jeszcze taka stara, jak sobie wyobrażałam. Przygotuję świeżutką bitą śmietankę, a gdy powrócicie z poziomkami, usiadzimy pod tą srebrną topolą, żeby się nimi uraczyć.

Ania i Karolina udały się na oddaloną nieco polankę, gdzie złociste jak bursztyń powietrze przepojone było cudną wonią fiołków.

— Ach, jakże tu bosko — odetchnęła pełną piersią Ania. — Co za odurzające powietrze.

— Tak, p-sze pani. Ja właśnie czuję to samo, p-sze pani — zgodziła się Karolina, która potakiwałaby Ani również, gdyby ta twierdziła, że czuje się jak dziki pelikan. Po każdych odwiedzinach Ani mała służąca śpieszyła do swego pokoiku, ażeby przed lustrem naśladować ruchy, mowę i spojrzenia Ani. Dotychczas nie bardzo się jej to udawało, lecz “wytrwałością osiągniesz cel” — uczono ją w szkole. Toteż w skrytości ducha wierzyła, że z czasem przyswoi sobie ten śliczny ruch głowy, ten nagły błysk gwiazdzistych oczu, ten chód łabędzi. Wydawało się to tak łatwe, gdy patrzyła na Anię.

Bo Karolina podziwiała Anię z całego serca — nie dlatego, żeby ją uważała za piękną. Uroda rumianych policzków i czarnych loków Diany Barry o wiele bardziej przypadła jej do gustu niż świetlane, szare oczy i przejrzysta cera Ani. Ale...

— Wolalabym być podobną do pani niż piękną — powiedziała kiedyś szczerze.

Ania wypięła słodycz, odrzuciła gorycz tych słów uznania i — roześmiała się. Przyzwyczajona była do komplementów tego rodzaju, gdyż urodę jej oceniano w najrozmaitszy sposób. Ludzie, którym mówiono, że jest ładna, rozczarowywali się na jej widok, ci zaś, którzy spodziewali się ujrzeć brzydką dziewczynę, zdumiewali się nad jej wdziękiem. Ania sama nigdy nie uwierzyłaby, że ma prawo nazywać się ładną. W lustrze widziała przecież tylko drobną, bladą twarzyczkę i siedem wyraźnych piegów na nosie. Nigdy natomiast lustro nie odbijało wiecznie zmiennej gry jej fizjonomii, nie ukazywało rozmarzenia ani wesołości, które zmieniając się kolejno, nadawały tyle uroku jej wielkim oczom. Chociaż Ania nie odznaczała się pięknnością w ścisłym tego słowa znaczeniu, była pełna czaru i patrzący na nią pozostawali zawsze pod jej urokiem. Widok jej budził myśli o bogactwie jej natury. Ci, którzy znali Anię najlepiej, czuli — choć nie zastanawiali się być może nad tym — że największym jej powabem jest to, iż otacza ją aureola wielkich możliwości, iż tkwi w niej potężna siła rozwoju. Zdawała się już teraz otoczona blaskiem przyszłych wydarzeń. Przy zbieraniu poziomek Karolina Czwarta zwierzyła się Ani ze swych obaw co do panny Lewis. Dziewczynka przywiązana szczerze do panny Lawendy była zmartwiona zmianą, jaką zauważyła w swej ukochanej pani.

— Panna Lawenda musi być chora, p—sze pani. Jestem tego pewna, choć nigdy się nie uskarża. Bardzo się zmieniła od czasu, gdy pani przysłała po raz pierwszy z Jasiem. Zaziębiła się na pewno tego wieczora, p—sze pani. Po pani odejściu do późnej nocy przechadzała się w ogrodzie w cieniutkim szalu. Dużo śniegu leżało na ścieżkach, więc na pewno katar jej się uczepił, p—sze pani. Właśnie od owej chwili zauważyłam, że jest jakby nieswoja i zmęczona. Nic jej nie zajmuje, p—sze pani. Już nie udaje, że goście przyjadą, nie przygotowuje przyjęć ani nic podobnego. Tylko gdy pani ma przyjść, rozwesela się trochę. Ale najgorszy znak, p—sze pani — tu zniżyła głos, jakby miała wyznać niezwykle groźny objaw — że się wcale nie gniewa, gdy zrobię jakąś szkodę. Wczoraj, P—sze pani, stłukłam żółto— zielony wazon, który zawsze stał na szafie z książkami. Jeszcze babka panny Lawendy przywiozła go z Anglii. Moja pani strasznie się nim chępiła, p—sze pani, więc odkurzałam go ostrożnie, aż tu nagle wypada mi z rąk; zanim zdążyłam go przytrzymać, stłukł się na sto tysięcy kawałków. Żeby pani wiedziała, jak się martwiłam i jak się bałam. Byłam pewna, że panna Lawenda strasznie mnie złaje, p—sze pani, i wołałabym już to nawet. Tymczasem weszła, prawie nie spojrzała na skorupy i rzekła: “Mniejsza o to, Karolino, zbierz skorupy i wyrzuć na śmietnik”. Zupełnie zwyczajnie, p—sze pani, “zbierz skorupy i

wyrzucić na śmietnik”. Jakby nie chodziło o wazon, co to jej babka przywiozła z Anglii. O, moja pani nie jest zdrowa i ja się tym strasznie martwię. Nikt na świecie o niej nie myśli, tylko ja jedna.

Łzy zakręciły się w oczach Karoliny Czwartej. Ania serdecznie pogładziła ciemną rękę, trzymającą różowy, pęknięty dzbanek.

— A ja sędzę, Karolino, że pannie Lawendzie potrzebna jest pewna zmiana. Za wiele przebywa w samotności. Czy nie udałoby się jej namówić na jakiś wyjazd?

Karolina beznadziejnie potrząsnęła głową, ozdobioną wielkimi kokardami.

— O, nie, p-sze pani. Panna Lawenda nie cierpi wizyt. Ma tylko troje krewnych, a powiada, że odwiedza ich jedynie, aby spełnić obowiązek rodzinny. Ostatnio, gdy wróciła, powiedziała, że odtąd ani myśli więcej spełniać obowiązków rodzinnych. “Wracam z rozkoszą do mojej samotni, Karolino — powiedziała do mnie. — I nigdy już nie opuszczę mojej chatki. Rodzina stara się zrobić ze mnie staruszkę, a to źle na mnie wpływa”. Więc nie trzeba jej namawiać do wyjazdu.

— Pomyślmy, jak zaradzić złu — rzekła Ania stanowczo, wrzucając ostatnią poziomkę do dzbanka. — Gdy tylko nadejdą wakacje, sprowadzę się do was na cały tydzień. Codziennie będziemy urządzały wycieczki, przyjęcia i niewątpliwie rozweselimy pannę Lawendę.

— Ach, jak to będzie cudownie, p-sze pani! — zawołała rozpromieniona Karolina Czwarta.

Cieszyła się ze względu na pannę Lawendę, ale także i ze względu na siebie. Cały tydzień obcowania z Anią! Po tym czasie z pewnością potrafi poruszać się i zachowywać jak ona. Po powrocie do domu dziewczęta zastały pannę Lawendę i Jasia krzątających się koło stolika przyniesionego z kuchni do ogrodu. Jakże pysznie smakowały poziomki ze śmietaną, spożywane pod szafirowym sklepieniem niebios, przy akompaniamencie szmerów leśnych! Po herbacie Ania pomagała Karolinie zmywać naczynia, panna Lawenda zaś zasiadła z Jasiem na kamiennej ławce, by posłuchać jego opowiadań o Skalnym Ludku. Panna Lawenda była wdzięcznym słuchaczem, ale nagle Jaś zauważył, że przestały ją zajmować losy starszego Żeglarza.

— Dlaczego pani tak na mnie spogląda? — zapytał.

— Jak, Jasiu?

— Jak gdybym pani kogoś przypominał — odpowiedział chłopiec, który miewał czasem błyski jasnowidzenia, tak że niemożliwe było zachować wobec niego tajemnicy.

— Przypominasz mi osobę, którą znałam dawno temu — odpowiedziała panna Lawenda zamyślona.

— Kiedy pani była młoda?

— Tak, kiedy byłam młoda. Czy wydaję ci się bardzo stara?

— Nie umiem na to odpowiedzieć — zwierzał się Jaś szczerze. — Pani włosy wyglądają staro: nigdy nie widziałem młodej osoby z siwymi włosami. Ale gdy się pani śmieje, to oczy pani są tak młode, jak mojej ukochanej nauczycielki. Wie pani co? — głos

i twarz Jasia stały się niezwykle poważne. — Z pani byłaby dobra matka, pani ma takie spojrzenie... Zupełnie jak moja najdroższa matuchna. Jaka szkoda, że pani nie ma własnego chłopczyka.

— Mam własnego, wyśnionego chłopczyka, Jasiu.

— O, doprawdy? Ile ma lat?

— Jest mniej więcej w twoim wieku. Powinien by być starszy, gdyż wymarzyłam go sobie na długo przed twoim przyjściem na świat. Lecz nie pozwolę mu nigdy mieć więcej niż jedenaście lub dwanaście lat, bo w przeciwnym razie opuściłby mnie na zawsze.

— Tak, wiem o tym — potwierdził Jaś. — Osoby wyśnione są dlatego takie miłe, że zawsze mają tyle lat, ile chcemy. Pani, panna Shirley i ja, wszyscy troje umiemy sobie wyobrazać. Jak to miło, żeśmy się poznali. Przypuszczam, że tacy ludzie muszą zawsze na siebie natrafić. Babunia nigdy nic sobie nie wyobraża, a Maria powiada, że mi brak piątej kleпки, dlatego że myślę o Skalnym Ludku. Niech mi pani opowie wszystko o swoim chłopczyku.

— Ma błękitne oczy i ciemne loki. Każdego ranka budzi mnie pocałunkiem. Potem przez cały dzień bawi się tu w ogrodzie i ja bawię się z nim razem: gonimy się, rozmawiamy z echami, opowiadam mu bajki. A kiedy zmrok zapada...

— Wiem — przerwał Jaś skwapliwie. — Siada obok pani, tak oto, gdyż jest zbyt duży, żeby wdrapać się pani na kolana, i tuli do pani głowę, o, tak. A pani obejmuje go ramionami i przyciska go do siebie serdecznie, i opiera policzek o jego głowę, o właśnie w ten sposób, panno Lawendo.

Tak przytulonych zastała Ania, gdy stanęła na progu domku. Wyraz twarzy panny Lawendy powiedział jej, że czyni krzywdę przyjaciółce, zabierając malca.

— Niestety, Jasiu, musimy iść do domu. Noc zapada. Panno Lawendo, wkrótce zaproszę się do Chatki Ech na cały tydzień.

— Jeśli przyjdiesz na tydzień, zatrzymam cię na dwa — groziła panna Lawenda.

XXVII. KRÓLEWICZ POWRACA

Nadszedł i minął ostatni dzień szkoły. Uczniowie Ani wywiązali się znakomicie z egzaminów. Na pożegnalnej lekcji wręczono jej list dziękczynny i teczkę pamiątkową. Matki i dziewczynki płakały, nawet niektórzy chłopcy przyznali się sobie po cichu, że mieli łzy w oczach, chociaż głośno wypierali się tego. Panie: Andrews, Sloane i Bell, powracając do domu, omawiały sprawy szkolne.

— Jaka szkoda, że Ania odjeżdża teraz, gdy dzieci ją tak pokochały — wzdychała pani Sloane, która zwykła była nawet żarty kończyć westchnieniem. — Oczywiście — dodała pośpiesznie — i w przyszłym roku będziemy mieli dobrą nauczycielkę.

— Jestem pewna, że Janka będzie spełniała swe obowiązki bez zarzutu — odezwała się oschle pani Andrews. — Nie sędzę natomiast, aby opowiadała dzieciom tyle baśni i włóczyła się z nimi po łąkach i lasach. Ale nazwisko jej figuruje na Honorowej Liście i obywatele Nowych Mostów są niepokieszeni, iż opuszcza szkołę.

— Jestem bardzo rada, że Ania idzie na uniwersytet — mówiła pani Beli. — Zawsze tego pragnęła, to zresztą rzecz jak wymarzona dla niej.

— Tego nie wiem — pani Andrews była dziś zdecydowana nie podzielać niczyjego zdania. — Nie uważam, iżby Ani potrzeba było więcej wykształcenia. Zapewne wyjdzie za mąż za Gilberta Blythe, jeśli jego zadurzenie przetrwa okres studiów, a na co jej

wtedy łacina i greka? Gdyby na uniwersytecie uczyli, jak postępować z mężem, to jeszcze widziałabym w tym jakiś sens.

Wśród kumoszek avonlejskich krążyły słuchy, że pani Andrews nie umiała postępować ze swym mężem, wskutek czego ognisko domowe tej szanownej matrony nie było wzorem szczęścia rodzinnego.

— Zdaje się, że pastorostwo Allan niedługo już nas opuszczą — rzekła pani Beli.

— Nie przed wrześniem — objaśniła pani Sloane. — Będzie to wielka strata dla gminy. Chociaż zawsze uważałam, że jak na żonę duchownego, pani Allan ubiera się zbyt jaskrawo. Ale nikt z nas nie jest doskonały. Czyście panie spostrzegły, jak schludnie

i dostаточно wyglądał dziś pan Harrison? Nigdy nie przypuszczałam, żeby człowiek mógł się tak zmienić: co niedziela bywa na nabożeństwie i dobrowolnie podpisał składkę.

— Jakże ślicznie wyrósł Jaś Irving — zauważyła pani Andrews. — Gdy tu przybył, było to takie maleństwo, a dziś ledwie go poznałam. Jaki podobny do ojca!

— Bardzo ładny chłopiec! — orzekła pani Beli.

— Ładny, owszem. Ale — pani Andrews zniżyła głos — nie wiem, czy tam u niego w głowie wszystko w porządku. Któregoś dnia Kasia, powróciwszy ze szkoły opowiadała niestworzone bajki, które on jej napłótł o jakimś “Ludku” mieszkającym nad zatoką. Zapowiedziałam jej, żeby nie wierzyła tym bredniom. Podobno on sam w nie nie wierzy, ale w takim razie po co je opowiada?

— Ania twierdzi, że Jaś jest genialny — broniła chłopczyka pani Sloane.

— Być może. Wszystkiego można się spodziewać po dziecku Amerykanki — rzekła pani Andrews. Jej ograniczony umysł pojmował wyraz “genialny” jako “zwariowany” i z pewnością byłaby się zgodziła z Marią, że Jasiowi brak piątej klepki.

W tym samym czasie w opustoszałej sali szkolnej siedziała Ania i z głową opartą na rękach spoglądała wilgotnymi, zamyślonymi oczami ku Jezioru Lśniącym Wód. Zupełnie tak samo jak dwa lata temu — pierwszego dnia po objęciu kierownictwa szkoły. Rozstanie z uczniami sprawiało jej taki ból, że na chwilę uniwersytet stracił cały swój powab. Ciągle jeszcze czuła na szyi gorący uścisk Aneczki Bell i słyszała jej dziecinne łkanie:

— Nigdy nie będę kochała żadnej nauczycielki tak jak pani. Nigdy, nigdy!

Przez dwa lata pracowała poważnie i sumiennie, popełniając wiele omyłek, lecz ucząc się także dzięki nim. Otrzymała też nagrodę — nauczyła swych uczniów niejednego, ale czuła, że oni nauczyli ją jeszcze więcej: łagodności, panowania nad sobą, znajomości dusz dziecięcych. Być może, iż nie udało jej się wpoić w serca swych wychowanków niezwykłych ambicji. Ale przykład jej, bardziej jeszcze niż czynione uwagi, wskazywał im, iż powinni w całym swoim życiu postępować pięknie i szlachetnie, kierować się prawdą i dobrocią, unikać wszystkiego, co tchnie fałszem i pospolitością. Zasady te bez wiedzy uczniów przeniknęły ich dusze i pozostały w nich jeszcze długo potem, gdy nazwa stolicy Afganistanu i daty Wojny Białej i Czerwonej Róży ulotniły się już z pamięci.

— Zakończył się drugi rozdział mojego życia — rzekła Ania głośno. Poetyczność tej myśli złagodziła trochę smutek, jaki ją opanował.

Pierwsze dwa tygodnie wakacji Ania spędziła w Chatce Ech. Namówiła pannę Lawendę na przejażdżkę po sprawunki do miasta i przekonała ją o konieczności sprawienia sobie nowej, letniej sukni. Po powrocie zajęły się z zapałem krajaniem i szyciem kupionej organdyny, gdy tymczasem Karolina, uszczęśliwiona myślą o nowym stroju swej pani, zawzięcie pomagała fastrygować i zmiatała ścinki. Panna Lawenda skarżyła się, że nic jej już nie interesuje, ale rozjaśnionym wzrokiem podziwiała nową suknię.

— Jakież puste ze mnie stworzenie — westchnęła. — Trudno mi uwierzyć, że nowa suknia, choćby nawet z organdyny koloru niezabudki, mogła mnie tak ożywić, gdy czyste sumienie i dodatkowa składka na cele misjonarskie nie zdołały tego uczynić.

Podczas tych odwiedzin Ania na jeden dzień wróciła do domu, aby wyreperować bieliznę bliźniąt i odpowiedzieć na całą masę czekających na nią pytań Tadzia. Wieczorem udała się nad zatokę, aby odwiedzić Jasia. Przechodząc koło niskiego okna bawialni zauważyła chłopca siedzącego obok jakiegoś pana. Chłopiec w mgnieniu oka wybiegł na jej spotkanie.

— Ach, panno Aniu! — wołał rozpromieniony. — Nie może pani sobie wyobrazić, co się stało! Coś cudownego! Ojciec przyjechał! Co pani na to? Ojciec przyjechał! Niech pani pozwoli do pokoju. Ojciec, oto moja ukochana nauczycielka. Wiesz przecież, ojciec.

Stefan Irving, uśmiechnięty, wyszedł na spotkanie Ani. Był to wysoki, przystojny mężczyzna w średnim wieku, szpakowaty, o głęboko osadzonych, ciemnoniebieskich oczach i smutnej twarzy z pięknie sklepionym czołem. “Wymarzona twarz bohatera powieści” — pomyślała Ania z dreszczem wewnętrznego zadowolenia. Jakże czułaby się rozczarowana, gdyby oczekiwany bohater był łysy lub przygarbiony.

— Więc to jest “ubóstwiana nauczycielka” mego syna, o której tyle słyszałem — rzekł Irving ściskając serdecznie jej rękę. — Listy Jasia zawierały zawsze tyle opowiadań o pani, że wydaje mi się, iż nasza znajomość trwa już od dawna. Serdecznie jestem pani wdzięczny za wszystko, co pani uczyniła dla Jasia. Wpływ pani był właśnie taki, jakiego pragnąłem dla mego dziecka. Matka moja to najdroższa i najlepsza z kobiet, lecz jej praktyczny, zdrowy rozsądek Szkotki nie zawsze mógł zrozumieć mego chłopca. Pani uzupełniła to, czego jej brakowało. Dzięki wam obu w ciągu tych dwóch lat wychowanie Jasia było idealne w tym stopniu, w jakim może być

wychowanie osieroconego dziecka. Każdy lubi, gdy go chwala. Pod wpływem tej pochlebnej oceny Ania spłonęła rumieńcem, a zmęczony pracą i przeciwnościami losu ojciec Jasia patrząc na nią musiał przyznać, że nigdy nie widział bardziej czarującego dziewczęcia jak ta młodziutka, rudowłosa nauczycielka o wielkich, rozmarzonych oczach. Jaś, bezgranicznie szczęśliwy, usadowił się między nimi.

— Nie marzyłem nawet o tym, że ojciec przyjedzie — opowiadał rozpromieniony. — Nawet babunia o tym nie wiedziała. Była to wielka niespodzianka. W ogóle — Jaś potrząsnął kędziorami — nie lubię niespodzianek, bo nie mam czasu cieszyć się myślą o czekającej mnie przyjemności. Ale tym razem dobrze się stało. Ojciec przyjechał wczoraj wieczorem, kiedy już byłem w łóżku. Skoro się nacieszył babcią, przyszedł na górę, aby mnie zobaczyć, ale nie miał zamiaru mnie budzić. Na szczęście ja sam się zbudziłem i skoczyłem ku ojcu.

— Z uściskiem małego niedźwiadka — dodał pan Irving z uśmiechem, otaczając Jasia ramieniem. — Zaledwie poznałem mego chłopca, tak wyrósł i zmężniał.

— Nie wiem, kto więcej cieszył się ojcem: babunia czy ja? — prawił dalej Jaś. — Babunia cały dzień dzisiejszy spędza w kuchni, przygotowując ulubione potrawy ojca, bo obawia się, że Maria mu nie dogodzi. Babunia w ten sposób okazuje swą radość, ja zaś wolę siedzieć tutaj i gawędzić z ojcem. Ale teraz odejdę na chwileczkę, bo muszę zapędzić krowy do obory; to jeden z mych codziennych obowiązków.

W nieobecności syna pan Irving dalej rozmawiał z Anią o rozmaitych sprawach, lecz Ania czuła, że przez cały czas myślał o czym innym. Wreszcie rzecz się wyjaśniła.

— W ostatnim liście Jaś wspominał o swych odwiedzinach u... dawnej mojej znajomej, panny Lewis. Czy znacie się panie dobrze?

— Tak, to moja serdeczna przyjaciółka — brzmiała opanowana odpowiedź Ani, która niczym nie zdradziła nagłego dreszczu, jaki wywołało w niej to zapytanie. “Instynktownie” poczuła, że oto zbliża się niezwykle poetyczny epizod w jej życiu.

Pan Irving wstał, podszedł do okna i utkwiał wzrok w morzu toczącym bez przerwy swe spienione fale. Przez kilka chwil w mrocznym pokoju panowało milczenie. Nagle pan Irving odwrócił się i spojrzał z serdecznym uśmiechem w życzliwą twarzyczkę Ani.

— Rad bym wiedzieć, czy pani zna tę sprawę — zapytał.

— Wiem o wszystkim — odpowiedziała Ania bez namysłu. — Widzi pan — wyjaśniła pośpiesznie — panna Lawenda jest moją bardzo serdeczną przyjaciółką; nie każdemu mówiłaby o takich świętościach. Jesteśmy pokrewne dusze.

— Wierzę, że jesteście... Poproszę panią o przysługę. Chciałbym odwiedzić pannę Lawendę. Może pani zechce ją zapytać, czy zgodzi się na to?

Czy zechce ją zapytać? O, bez wątpienia! Oto była poezja, prawdziwa, cudowna poezja, wyśniona w najśmielszych marzeniach. Zapewne nieco spóźniona, jak róża, która zamiast zakwitnąć w czerwcu, zakwitła w październiku, ale mimo to zakwitła pełnią słodczy i zapachu. Ania jeszcze nigdy w życiu nie spełniała równie skwapliwie niczyjego polecenia jak tym razem. Już nazajutrz rano dążyła lasami do kamiennego domku, aby wywiązać się z powierzonego jej zadania. Gdy zbliżała się do siedzącej w ogrodzie panny Lawendy, ogarnęło ją niezwykle podniecenie.

— Mam dla pani nowinę... Coś ogromnie ważnego! Czy pani zgadnie, o co chodzi?

Ania ani na chwilę nawet nie przypuszczała, że panna Lawenda mogłaby odgadnąć. A jednak, ku wielkiemu jej zdumieniu, panna Lawenda zbladła jak płótno i głosem cichym, bezdźwięcznym, zupełnie niepodobnym do jej zwykłego, spytała:

— Stefan Irving powrócił?

— Skąd pani wie? Kto pani powiedział?! — zawołała Ania rozczarowana, że zdradzono jej wielką tajemnicę.

— Ależ nikt! Po twoim zachowaniu poznałam, że to nie może być nic innego.

— Pragnie zobaczyć się z panią — rzekła Ania. — Czy mogę go zawiadomić, że pani się zgadza?

— Owszem — zmieszała się panna Lawenda. — Dlaczegoż by nie? Oczywiście, odwiedzi mnie, jak by to uczynił każdy dawny przyjaciel.

Ale Ania inaczej zapatrywała się na tę sprawę. Wbiegła do mieszkania, aby przy biurku panny Lawendy napisać bilecik do Stefana Irvinga.

“Co za rozkosz żyć jak w powieści — myślała rozradowana. — Wszystko zakończy się doskonale... Jaś będzie miał wymarzoną matkę i wszyscy będą szczęśliwi. Tylko szkoda, że pan Irving zabierze stąd pannę Lawendę, i kto wie, jaki los spotka kamienny domek. To odwrotna strona medalu. Trudno, tak jest ze wszystkim na świecie”.

Po napisaniu tego arcyważnego listu Ania osobiście zaniósła go na pocztę do Graftonu, gdzie czatowała nawet chwilę na listonosza, by powierzyć tę wysyłkę jego specjalnej opiece.

— To nader ważne — zapewniała z przejęciem. Nie była zupełnie pewna, czy może zaufać pamięci mrukliwego staruszka, nie przypominającego w niczym wysłannika Amora. Wobec tego jednak, że przyrzekł nie zapomnieć, uspokoiła się wreszcie.

Karolina Czwarta czuła tego dnia, że jakaś tajemnica zawisła nad Chatką Ech, tajemnica, do której ona nie miała dostępu. Panna Lawenda w dziwnym jakimś roztargnieniu snuła się po ogrodzie, Ania zaś, jakby opanowana przez ducha niepokoju, bezustannie krążyła po mieszkaniu, wchodziła na górę, schodziła na dół. Karolina długo przypatrywała się temu cierpliwie. Aż wreszcie, gdy Ania po raz trzeci zupełnie bezcelowo zjawiała się w kuchni, zagadnęła ją z oburzeniem, potrząsając energicznie niebieskimi kokardami:

— Panno Aniu, p-sze pani. Widać przecież, że panie mają jakiś sekret. A ja myślę, przepraszam, jeśli jestem zbyt śmiała, p-sze pani, że to wcale nieładnie mieć przede mną tajemnicę, jeśli dotąd byliśmy takimi przyjaciółkami.

— Ach, Karolinko droga, powiedziałabym ci wszystko, gdyby to o mnie chodziło, ale to sprawa panny Lawendy... Zresztą powiem ci, tylko pamiętaj, ani słowa o tym nikomu. Widzisz, Królewicz przyjeżdża dziś wieczór. Był tu już kiedyś, ale, nierozważny, powędrował w świat i zgubił tajemniczą ścieżkę do zaczarowanego pałacu, gdzie stęskniona Księżniczka zalewała się rzewnymi łzami. Wreszcie przypomniał sobie drogę. Księżniczka wciąż czeka. Bo tylko jej ukochany

Królewicz może ją odczarować.

— Ach, p-sze pani — pytała zciekawiona Karolina — ale co to znaczy naprawdę?

Ania roześmiała się.

— Naprawdę? Dawny dobry znajomy panny Lawendy przyjedzie ją dziś odwiedzić.

— Jej dawny konkurent, pani myśli? — domagała się wyjaśnień Karolina.

— Tak się to zapewne nazywa naprawdę — odpowiedziała Ania rozważnie. — Jest to ojciec Jasia: pan Irving. Kto wie, jak się to skończy? Ale miejmy nadzieję, że jak najlepiej.

— Jestem pewna, że się pobiorą — zdecydowała Karolina. — Niejedna kobieta rodzi się na to, żeby zostać starą panną, p-sze pani, i taki zapewne będzie mój los, bo nie mam cierpliwości do mężczyzn. A ja martwiłam się tak strasznie, co też moja biedna pani pocznie, gdy ja dorosnę na tyle, że będę musiała jechać do Bostonu. Nie ma więcej dziewcząt w naszej rodzinie, więc cóż by ona zrobiła, gdyby musiała zgodzić obcą służącą, która by się śmiała z tych podwieczorków “na niby” i nie chciałaby się nazywać Karoliną Piątą? Może nowa nie tłukłaby tylu naczyń, ale z pewnością kochałaby ją mniej niż ja.

I wierna mała służąca pośpieszyła w stronę kuchennego pieca, ażeby ukryć łzy. Podwieczorek w Chatce Ech odbył się tego dnia o zwykłej porze, ale jedzenie pozostało niemal nietknięte. Potem panna Lawenda poszła na górę, ażeby włożyć swą nową, błękitną suknię. Ania zaś uczesała przyjaciółkę. Obie były bardzo podniecone, lecz panna Lawenda udawała spokój.

— Muszę jutro koniecznie zreperować firanki — mówiła oglądając je tak, jak gdyby to było najważniejszą rzeczą w tej chwili. — Nie okazały się bardzo trwałe, mimo iż drogo za nie zapłaciłam. Ach, Boże, Karolina znowu zapomniała odkurzyć poręcz od schodów. Doprawdy, muszę jej dać burę.

Ania siedziała na stopniach ganku, gdy Stefan Irving ukazał się na drodze.

— Jest to chyba jedyne miejsce, gdzie czas się zatrzymał — rzekł wodząc dokoła wzrokiem pełnym podziwu. — Dom ani ogród zupełnie się nie zmieniły od czasu, gdy byłem tutaj przed dwudziestu pięciu laty. Człowiek czuje się odmłodzony.

— W zaczarowanym pałacu czas zawsze stoi — odpowiedziała Ania poważnie. — Dopiero gdy Królewicz przybywa, zaczyna się na powrót coś dziać.

Pan Irving uśmiechnął się smutnie, patrząc na jej twarzyczkę promieniejącą młodością i radością życia.

— Nieraz Królewicz przybywa za późno — zauważył. Nie prosił Ani, by wyraziła to bez przenośni: jak wszystkie “pokrewne dusze”, zrozumiał od razu.

— O, nigdy, jeśli rzeczywisty Królewicz przybywa do prawdziwej Księżniczki. — Ania zaprzeczyła energicznym ruchem rudej główki, otwierając jednocześnie drzwi bawialni. Po czym cofnęła się i w sieni spotkała się z roześmianą i uszczęśliwioną Karoliną.

— Ach, panno Aniu — mówiła bez tchu. — Wyjrzałam oknem kuchennym... Jaki on piękny! I wiekiem odpowiedni dla panny Lawendy. Czy to byłoby coś złego posłuchać pod drzwiami, p-sze pani?

— To byłoby bardzo złe, Karolino — rzekła Ania surowo. — Chodźmy stąd, unikniesz pokusy.

— Robota mi nie idzie, a czekać i nic nie robić to okropne — westchnęła Karolina. — A jeśli się jednak nie oświadczy, p-sze pani, co wtedy? Mężczyzn nigdy nie można być pewnym. Moja najstarsza siostra, Karolina Pierwsza, była raz przekonana, że jest zaręczona. Tymczasem okazało się, że on tak wcale nie uważał. Odtąd nie wierzy już żadnemu. Słyszałam i o innym wypadku, gdy chłopiec myślał, że kocha jedną dziewczynę, a tymczasem kochał jej siostrę. Więc jeśli chłopiec sam nie wie, jak z nim sprawy stoją, to jakże biedna dziewczyna może być go pewną?

— Chodźmy do kuchni czyścić łyżeczki — zaproponowała Ania. — Zajęcie to nie wymaga skupienia uwagi — ja bowiem dziś wieczorem nie potrafiłabym myśleć o niczym — a przy robocie czas prędzej upłynie.

Minęła godzina. W chwili gdy Ania odkładała ostatnią lśniąca łyżeczkę, rozległo się skrzypnięcie drzwi wejściowych. Dziewczęta spojrzały na siebie z obawą.

— Ach, panno Aniu! — jęknęła Karolina. — Jeśli tak wcześnie odchodzi, to nic z tego nie będzie, p-sze pani.

Podbiegły do okna. Pan Irving nie miał wcale zamiaru odejść. Wraz z panną Lawendą zbliżał się powoli do kamiennej ławki.

— Obejmuje ją ramieniem, p-sze pani — szepnęła zachwycona Karolina. — Oświadczył się jej z pewnością, inaczej nie pozwoliłaby na to.

Ania chwyciła Karolinę wpół i tak długo tańczyła z nią po kuchni, aż obie zadyszały się ze zmęczenia.

— Karolino! — zawołała wesoło. — Nie jestem prorokiem, ale mogę cię zapewnić, że zanim liście klonu poczerwienieją, w Chatce Ech odbędzie się wesele. Czy rozumiesz tę bajkę?

— O, doskonale! Wesele to nie bajka... Ale co to? Pani płacze? Dlaczego?

— Ach, bo to wszystko razem jest takie piękne... i poetyczne... i smutne... — mówiła Ania ocierając oczy. — Każda szczęśliwa chwila mieści w sobie odrobinę smutku.

— Pewnie, że to ryzykowna rzecz wychodzić za mąż — objaśniła po swojemu Karolina. — Chociaż... mąż nie jest jeszcze najgorszym złem na świecie!

XXVIII. POEZJA A PROZA

Cały następny miesiąc Ania przeżyła w stanie gorączkowego podniecenia. Jej własne przygotowania do wyjazdu na uniwersytet zeszły na drugi plan. Niedługo miał się odbyć ślub panny Lawendy i kamienny domek stał się widownią bezustannych narad i planów, które wprawiały w zachwyt i zdumienie Karolinę Czwartą. Zjawiała się krawcowa, a z nią okres rozkoszy i trudów przy wyborze fasonów i “przymierzaniu”. Ania i Diana całymi dniami nie opuszczały Chatki Ech. Roztrząsanie zagadnienia, czy słusznie doradziła pannie Lawendzie kolor brązowy zamiast granatowego na strój podróżny lub fason “princesse” na popielatą suknię jedwabną, niejednej nocy spędziło sen z powiek Ani. Zmiana w losie panny Lawendy uszczęśliwiła wszystkie bliskie jej osoby. Skoro tylko Jaś dowiedział się od ojca o wielkiej nowinie, przybiegł na Zielone Wzgórze, by pomówić z Anią.

— Wiedziałem, że mogę ufać ojcu, iż wybierze mi miłą drugą mateczkę — mówił z dumą. — Jak to dobrze mieć ojca, na którym można polegać. Ja naprawdę kocham pannę Lawendę. I babunia jest zadowolona; cieszy się bardzo, że ojciec nie żeni się po raz drugi z Amerykanką, bo chociaż pierwszym razem trafił bardzo szczęśliwie, kto wie, co teraz mogłoby się zdarzyć. Pani Linde też pochwała to małżeństwo i powiada, iż zapewne teraz, gdy panna Lawenda wyjdzie za mąż, porzuci swe dziwactwa i będzie taka, jak inne kobiety. Ale ja myślę, że nie porzuci swoich dziwactw, bo ja je bardzo lubię. Nie chciałbym, żeby była taka jak wszyscy inni, bo takich zwykłych ludzi jest dosyć wokoło. Pani to rozumie, prawda?

Karolina Czwarta była również rozpromieniona.

— Ach, panno Aniu! Wszystko się tak doskonale złożyło, p—sze pani. Kiedy pan Irving i panna Lawenda powrócą z podróży, zabiorą mnie, jako służącą, do Bostonu... A mam przecież dopiero piętnaście lat. Moje siostry musiały czekać, aż skończą szesnaście. Jaki ten pan Irving jest zakochany! Nie przestaje na nią patrzeć, ubóstwia ziemię, po której ona stąpa. Jestem strasznie rada, że się tak kochają, chociaż niektórzy obchodzą się i bez kochania. Jedna moja ciotka miała już trzech mężów. Za pierwszego wyszła z miłości, a za drugiego i trzeciego z wyrachowania. Mówi, że ze wszystkimi była bardzo szczęśliwa, a martwiła się tylko podczas pogrzebów. Ale mnie się zdaje, że ona ryzykowała, p—sze pani.

— Jakież to wszystko poetyczne — wzdychała Ania rozmawiając z Marylą. — Jeślibym nie zabłądziła, idąc wówczas do Kimballów, nie byłabym nigdy poznała panny Lawendy. Nie zaprowadziłabym do niej Jasia, a on nie napisałby o tych odwiedzinach swemu ojcu, wybierającemu się właśnie do San Francisco. Pan Irving powiada, że otrzymawszy list od Jasia, od razu postanowił wysłać do San Francisco swego współnika, a sam przybył tutaj. Przed piętnastu laty dowiedział się od kogoś, że panna Lawenda wychodzi za mąż; odtąd już nic o niej nie słyszał i nie chciał pytać. A teraz dzięki mnie wszystko się dobrze ułożyło! Kto wie, czy pani Linde nie ma słuszności twierdząc, że przeznaczenie rządzi światem, więc to wszystko musiało się spełnić w jakikolwiek sposób. Ale gdyby nawet... miło przecież pomyśleć, że byłam narzędziem w ręku przeznaczenia! Tak, w istocie, to niezwykle poetyczne!

— Nie widzę w tym nic poetycznego — rzekła Maryła dość kwaśno. Uważała, że Ania zbyt przejmie się tą sprawą, a i tak miała dosyć zajęcia z własnymi przygotowaniami do wyjazdu. Po cóż więc “gnać” pięć razy na tydzień do Chatki Ech? — Gdzież tu poezja? — mówiła. — Najpierw dwoje młodych narwańców sprzeczają się i obrażają na siebie. Potem Stefan Irving jedzie do Stanów, żeni się i jest szczęśliwy. A gdy żona umiera, on, przeczekawszy odpowiedni okres czasu, powraca do domu, żeby się przekonać, czy jego pierwsza miłość zechce go przyjąć. Tymczasem ona nie wyszła za mąż, prawdopodobnie dlatego, że nikt dość sympatyczny jej się nie oświadczył. Spotykają się i wreszcie postanawiają się pobrać. Gdzież tu poezja w tym wszystkim?

— Zapewne, jeśli oświecisz sprawę w ten sposób, poezja znika — westchnęła Ania, jakby oblaną zimną wodą. — W rzeczywistości istotnie tak się to przedstawia, lecz czyż nie przyjemniej jest patrzeć na ich spotkanie przez pryzmat poezji? — zakończyła odzyskując swój zwykły optymizm.

Maryła, patrząc na rozpromienioną twarzyczkę, powstrzymała się od dalszych gorzkich uwag. Doszła może do wniosku, że dobrze jest posiadać Ani dar patrzenia na świat przez różowe okulary. Ona, tak jak i Karolina Czwarta, była go pozbawiona.

— Kiedy ma być ślub? — zapytała po chwili.

— W końcu sierpnia. Odbędzie się w ogrodzie, w altanie spowitej w powój, właśnie tam gdzie przed dwudziestu pięciu laty odbyły się zaręczyny. To jest poetyczne nawet w rzeczywistości, Marylo! Obecni będą tylko: pani Irving z Jasiem, Gilbert,

Diana i ja oraz siostry cioteczne panny Lawendy. Wyjadą pociągiem o szóstej w podróż nad Ocean. Gdy zaś powrócą w jesieni, zabiorą Jasia i Karolinę do Bostonu. W

Chatce Ech wszystko zostanie po staremu — oczywiście sprzedadzą tylko krowę i kury i zabiją deskami okna — bo spędzać w niej będą każde lato. Cieszę się z tego niezmiernie. Bolałoby mnie strasznie, gdybym musiała myśleć o pustce i ogołoceniu tego kochanego domku lub, co gorsza, o obcych ludziach gospodarujących w jego pokojach. Ale teraz mogę go sobie wyobrazić tak samo, jak go widywałam dawniej, czekającego cierpliwie, ażeby lato napełniło jego wnętrze gwarem i śmiechem.

Lecz na świecie istniała jeszcze inna poezja oprócz tej, która przypadła w udziale niemłodym już narzeczonym z kamiennego domku. Pewnego wieczora, idąc ścieżką leśną obok ogrodu Barrych, Ania spostrzegła Dianę stojącą pod starą wierzbą z Alfredem Wrightem. Diana, cała w rumieńcach, opierała się o pień wierzby. Alfred zaś trzymając ją za rękę, z głową pochyloną ku niej, szeptał coś z powagą i przejęciem. W tej czarownej chwili na całej kuli ziemskiej nie istniał dla tych dwojga nikt poza nimi samymi. Toteż żadne z nich nie zauważyło Ani, która, ogarnawszy tę scenę zdumionym spojrzeniem, cofnęła się bez szelestu do lasu i popędziła do domu. Zdyszana wpadła na swą facjatkę i siadłszy u okna, starała się zebrać rozproszone myśli.

— Diana i Alfred są zakochani? — westchnęła. — A więc są już tak beznadziejnie dorośli...

Od dawna żywiła podejrzenie, że Diana nie dochowuje wiary melancholijnemu bajronicznemu ideałowi swych wczesnych snów. Lecz, jak wiadomo, to, co się widzi, czyni silniejsze wrażenie niż to, co się słyszy lub czego się oczekuje, więc naoczne sprawdzenie tego faktu uderzyło w nią jak piorun. Jednocześnie przeniknęło ją dziwne uczucie osamotnienia, jak gdyby Diana odeszła w nowy świat, a ją zostawiła za zamkniętymi wrotami.

“Wypadki pędzą z tak oszałamiającą szybkością — myślała Ania smutnie. — Musi to wywołać pewne ochłodzenie naszej przyjaźni. Nie będę już mogła powierzać jej wszystkich moich tajemnic, bo a nuż zdradzi je Alfredowi? Doprawdy, co ona w nim widzi? Jest miły i wesoły... ale to przecież tylko Alfred”. To jest zawsze zdumiewające, co ktoś widzi w drugiej osobie. I jak to jest w gruncie rzeczy szczęśliwie, że nie wszyscy ludzie to samo w innych widzą! W przeciwnym razie, jak to powiedział pewien Indianin, “każdy by chciał mieć moją żonę”.

Ale było jasne, że Diana widziała “coś” w Alfredzie, choć oczy Ani były na to zamknięte. Następnego wieczora przyszła na Zielone Wzgórze Diana — zamyślona,

poważna młoda osóbka — i w mroku facjatki zwierzyła się przyjaciółce ze swych przeżyć. Ścisnęły się, śmiały i płakały na przemian.

— Jestem bardzo szczęśliwa — mówiła Diana — tylko dziwne mi się wydaje, że jestem zaręczona.

— Co też się czuje będąc zaręczoną? — pytała Ania ciekawie.

— Zależy od tego, z kim się jest zaręczoną — odpowiedziała Diana tonem pewnej wyższości, przybieranym zwykle przez zaręczonych wobec nie zaręczonych. — Rozkosznie jest być narzeczoną Alfreda, ale chyba okropnie byłoby być narzeczoną kogokolwiek innego.

— Niewielka to pociecha dla nas, innych dziewcząt, wobec tego, że jest tylko jeden Alfred na świecie — zaśmiała się Ania.

— Ach, Aniu, nie zrozumiałaś mnie — tłumaczyła się Diana. — Nie to myślałam. Trudno mi jest ci objaśnić... Ale mniejsza z tym, zrozumiesz mnie sama, skoro przyjdzie kolej na ciebie.

— Ależ, Dianko najdroższa, ja już zrozumiałam! Na co by się zdała bujna wyobraźnia, gdyby nam nie ułatwiała spoglądania na życie oczami naszych bliźnich?

— Musisz być moją druhną, Aniu. Przyrzeknij mi.

— Przyjadę choćby z końca świata! — przyrzekła Ania uroczyście.

— Oczywiście, nie będzie to jeszcze tak prędko — rzekła Diana rumieniąc się. — Najwcześniej za trzy lata, bo ja mam osiemnaście, a matka nie życzy sobie, by któraś z jej córek wyszła za mąż przed dwudziestym pierwszym rokiem życia. Zresztą ojciec Alfreda kupuje dla niego farmę Fletchera, a chce spłacić przynajmniej dwie trzecie jej wartości, zanim ją ofiaruje synowi. Ale trzy lata to wcale nie za długi okres czasu dla przygotowania wyprawy, bo przecież ja nie mam ani jednej sztuki wyhaftowanej. Od jutra zaczynam haftować serwetki deserowe. Myra Gillis miała w swej wyprawie trzydzieści siedem serwetek własnej roboty, a ja postanowiłam mieć przynajmniej tyleż.

— Sądzę, że byłoby zupełnym niepodobieństwem prowadzić dom mając tylko trzydzieści sześć serwetek — przyznała Ania z poważną miną, lecz z roześmianymi oczami.

Diana poczuła się dotknięta.

— Nie myślałam, że będziesz ze mnie drwiła, Aniu — rzekła z wyrzutem.

— Ależ, najdroższa, nie drwię zupełnie! — zawołała Ania z żalem. — Przekomarzam się tylko z tobą trochę. Będziesz niewątpliwie najmilszą gospożą w

świecie i bardzo roztropnie z twojej strony, że już układasz plany, jak urządzić swoje wymarzone ognisko domowe.

Zaledwie wypowiedziała to zdanie, gdy pojęcie “wymarzone ognisko domowe” tak opanowało jej umysł, że zapagnęła wyobrazić sobie swoje własne. Panem jego był, oczywiście, dumny, wysmukły brunet. Ale, co najważniejsze, w tym obrazie nie odstępował jej ani na chwilę Gilbert — to on ustawiał meble, zakładał ogród i wykonywał rozmaite polecenia, które melancholijny bohater uważał za niegodne swej osoby. Ania próbowała usunąć postać Gilberta ze swych zamków na lodzie, lecz ponieważ jej się to nie udawało, a śpieszyła się bardzo, więc zarzuciła te starania i kończyła fantastyczną budowę z takim powodzeniem, że jej “ognisko domowe” zostało wykończone i umeblowane, zanim Diana zaczęła mówić.

— Zapewne dziwisz się, Aniu, że kocham Alfreda, chociaż różni się tak bardzo od mego dawnego ideału, tego wysokiego, smukłego młodzieńca. Jednakże nie chciałabym, aby Alfred był wysoki i smukły... Nie byłby przecież wtedy sobą. Oczywiście — dodała smutnie — będzie z nas strasznie krępa para. Lepsze to jednak, niż gdy jedno jest małe i grube, a drugie wysokie i chude — jak Marian Sloane i jego żona.

— Cieszę się, że Diana jest szczęśliwa i zadowolona — mówiła do siebie Ania tego wieczora, układając się do snu. — Lecz kiedy na mnie przyjdzie kolej, jeśli w ogóle przyjdzie, musi się to odbyć w bardziej romantycznych warunkach. Co prawda i Diana tak kiedyś myślała. Nieraz twierdziła, że zaręczy się tylko z tym, kto spełni jakiś niezwykle czyn, by ją zdobyć. Zmieniła się... Może i ja się zmienię? Ale nie, stanowczo nie! Ach, takie zaręczyny naszych najbliższych przyjaciół wstrząsają nami zbyt silnie!

XXIX. ŚLUB W CHATCE ECH

Nadszedł koniec sierpnia, a wraz z nim zbliżał się termin ślubu panny Lawendy. Po upływie dwóch tygodni Ania i Gilbert mieli wyjechać do Redmondu, pani Linde zaś przenosiła się na Zielone Wzgórze. Zostało ułożone, że umieści swe lary i penaty w pokoiku przy kuchni, odświeżonym już na jej przybycie. Wyprzedala wszystkie zbyteczne sprzęty domowe, a obecnie dzielnie pomagała państwu Allan w ich zajęciach, związanych z przeprowadzką z Avonlea. Następnej niedzieli pan Allan miał wygłosić pożegnalne kazanie. Stary porządek z łatwością ustępował miejsca nowemu, jak to Ania stwierdziła ze smutkiem przyćmiewającym jej radosne oczekiwanie.

— Zmiany nie są przyjemne, lecz są bardzo pożyteczne — filozofował pan Harrison. — Dwa lata jednostajności to okres zupełnie wystarczający; gdyby się przeciągnął, zapleśnielibyśmy z pewnością.

Pan Harrison palił fajeczkę na ganku. Jego żona z niezwykłą wyrozumiałością pozwoliła mu palić w mieszkaniu, jeśli to będzie czynił przy otwartym oknie. Pan Harrison wynagrodził jej to ustępstwo starając się przy pięknej pogodzie palić zawsze na dworze. Dzięki temu panowała między nimi zupełna harmonia. Ania odwiedziła ich, żeby prosić panią Harrison o kilka żółtych georginii z jej ogrodu. Wraz z Dianą udawały się tego wieczora do Chatki Ech, by pomóc pannie Lawendzie w ostatnich przygotowaniach do ślubu, który miał się odbyć nazajutrz. Panna Lawenda nie hodowała georginii, bo nie lubiła ich i nie licowałyby z jej odosobnionym, utrzymanym w staroświeckim stylu ogródkiem. Z powodu osławionej burzy wuja Andrews'a kwiaty były w tym roku rzadkością zarówno w Avonlea, jak i w sąsiednich osadach. Dziewczęta uznały jednak, że starożytny żółty dzban, używany zwykle do przechowywania orzechów, musi koniecznie, napełniony georginiami, rozjaśnić ciemny kąt przedsionka.

— Obliczyłem, że już za dwa tygodnie wyjedziesz, Aniu — ciągnął pan Harrison. — O, będzie nam ciebie bardzo brak! Podobno pani Linde wprowadza się na Zielone Wzgórze. Trudno było zaiste znaleźć lepsze zastępstwo!

Niemożliwe byłoby doprawdy przenieść na papier całą głębię ironii pana Harrisona. Pomimo przyjaźni, wiążącej jego żonę z panią Małgorzatą, stosunki panujące między nimi można było nazwać w najlepszym razie zbrojną neutralnością.

— Tak, wyjeżdżam za dwa tygodnie — rzekła Ania. — Gdy podchodzę do tego rozumowo, radość mnie ogarnia, gdy zaś uczuciowo, muszę się smucić.

— Jestem przekonany, że w Redmondzie będziesz zbierała wszystkie zaszczyty, jakich tam można dostąpić.

— Będę dążyła do niektórych — zwierzała się Ania. — Ale nie dbam już o nie tak bardzo, jak dwa lata temu. Z moich studiów uniwersyteckich pragnę przede wszystkim wynieść jak największą umiejętność sztuki życia. Pragnę się nauczyć, jak rozumieć moich bliźnich i pomagać im.

Pan Harrison pokiwał głową.

— O to właśnie chodzi. Taki powinien być cel uniwersytetu, nie zaś nadawanie dyplomów całemu zastępowi magistrów i kandydatów tak nadzianych książkową mądrością, że nie ma już w nich miejsca na nic innego. Masz zupełną słuszość! Tobie nawet uniwersytet nie potrafi zaszkodzić.

Po herbacie dziewczęta udały się do Chatki Ech, zabierając cały plon kwiatów, zdobyty dzięki rabunkowym wycieczkom do cudzych i własnych ogrodów. Niezwykły ruch panował w kamiennym domku. Karolina Czwarta uwijała się z taką żywością, że jej niebieskie kokardy zdawały się ukazywać jednocześnie wszędzie.

— Dzięki Bogu, że panie przyszły! — zawołała uszczęśliwiona. — Tyle jest jeszcze roboty! Lukier na torcie nie chce stanąć... Całe srebro trzeba czyścić... i duży kufer nie zapakowany. A kuraki zamiast na rożnie siedzą jeszcze pod kurnikiem i pieją, p-sze pani. Na pannę Lawendę nie można dziś wcale liczyć. Byłam bardzo rada, gdy przed chwilą przyszedł pan Irving i zabrał ją na przechadzkę do lasu. Konkury są bardzo na miejscu, p-sze pani, ale nie można wtedy gotować ani szorować, bo to na nic. Takie jest moje zdanie, p-sze pani.

Ania i Diana zabrały się do pracy tak gorliwie, że o dziesiątej nawet Karolina była zadowolona. Zaplótłszy włosy w niezliczoną ilość warkoczków, zmęczona całodzienną pracą, powędrowała do łóżka.

— Jestem pewna, że nie usnę ani na minutę, p-sze pani. Strach mnie ogarnia na myśl, że w ostatniej chwili coś się nie uda. Śmietanka się nie ubije albo pan Irving dostanie jakiegoś ataku i nie będzie mógł przyjechać.

— Czyż pan Irving miewa jakieś ataki? — zapytała Diana, której dołeczki zadrgały od stłumionego śmiechu. Dla Diany Karolina była powodem nieustannej uciechy.

— Wcale nie trzeba ich miewać — odparła Karolina z godnością. — Przychodzą ni stąd, ni zowąd i nic na to nie poradzisz. Każdy może dostać ataku. Nie trzeba się tego uczyć. Pan Irving jest bardzo podobny do mojego wuja, który dostał ataku zasiadając do obiadu. Ale jednak może wszystko się dobrze skończy! Na tym świecie trzeba spodziewać się dobra, być przygotowanym na zło, a przyjmować, co Pan Bóg da.

— Moją jedyną troską jest jutrzejsza pogoda — rzekła Diana. — Wuj Andrews przepowiadał deszcz na ten tydzień, a od czasu owego huraganu wierzę jego słowom.

Jednakże Ania, która lepiej niż Diana wiedziała, co miał wspólnego wuj Andrews z przepowiednią “swojej” burzy, była spokojna. Spała snem sprawiedliwego, dopóki o dość niezwyklej godzinie nie została zbudzona przez Karolinę.

— Ach, p-sze pani, to okropne, że muszę panią budzić tak wcześnie. Ciągłe jest jeszcze tyle roboty! — jęczała przez drzwi. — Ach, panno Aniu, p-sze pani, boję się, że będzie deszcz. Niech pani wstanie i powie, że na to nie wygląda.

Ania skoczyła do okna, łudząc się, że Karolina przewidywała najgorsze, aby wyciągnąć ją z łóżka. Lecz, niestety, poranek zapowiadał się fatalnie. Ogród, zamiast w blaskach wschodzącego słońca, spoczywał w mgle i mroku. Nad wierzchołkami świerków kłębiły się chmury.

— Jakież to okropne! — rzekła Diana.

— Nie traćmy nadziei! — pocieszała Ania. — Jeśli tylko deszcz się nie rozpada, to chłodny, perłowoszary dzień będzie nawet przyjemniejszy niż żar słoneczny.

— Ależ będzie padać — vzdychała Karolina wślizgując się do pokoju. Jej głowa, z której sterczały we wszystkich kierunkach końce warkoczyków, ściągnięte białymi tasiemkami, wyglądała pocieszenie. — Będzie pochmurno do ostatniej chwili, a wtedy zacnie lać jak z cebra. Goście zmokną, naniosą błota do mieszkania, ślub nie będzie się mógł odbyć w altance. A straszne to nieszczęście, gdy nad panną młodą nie zaświeci słońce. Nie, tego mi już pani nie wyperswaduje, panno Aniu. Wiedziałam, p-sze pani, że wszystko układa się za dobrze, żeby mogło tak trwać do końca.

Zdawało się, że Karolina wypowiada poglądy panny Andrews. Jednakże deszcz nie spadł, mimo że niebo pozostało zachmurzone. W południe pokoje były przybrane, stół pięknie nakryty, a panna młoda w weselnym stroju oczekiwała narzeczonego.

— Uroczu pani wygląda! — zawołała Ania z zachwytem.

— Prześlicznie! — wtórowała Diana.

— Wszystko jest gotowe, p—sze pani, i nic strasznego dotychczas nie zaszło — orzekła z zadowoleniem Karolina, biegnąc przebrać się do swego pokoiku.

Rozpuściła wszystkie warkoczyki i wijące się włosy rozdzieliła na dwa puszyste warkocze, związane już nie dwiema, ale czterema wielkimi kokardami z nowiutkiej jasnoniebieskiej wstążki. Dwie górne zdawały się wyrastać jej z ramion jak skrzydła rafaellovskich aniołków. Karolina była nimi zachwycona i włożywszy białą sukienkę tak sztywno ukrochmaloną, że można ją było postawić, przejrzała się w lustrze z wielkim zadowoleniem. Krótkotrwałym, niestety! Rozwiało się ono bowiem, gdy wyszedłszy ze swego pokoiku, zobaczyła w bawialni smukłą postać w miękko układającej się muślinowej sukni, przypinającą białe, podobne gwiazdom, astry do falujących kasztanowatych włosów. “Ach, nigdy nie będę wyglądała tak jak panna Shirley — pomyślała z rozpaczą. — Chyba taką trzeba się urodzić! Na nic się nie zda żadne naśladowanie”. Już o pierwszej goście byli w komplecie. W nieobecności pastora Graftonu obrządku zaślubin miał dopełnić pan Allan. Panna Lawenda wyszła do przedsionka i zeszła ze schodów na spotkanie narzeczonego, a podając mu rękę spojrzała w jego oczy tak wymownie, że Karolina, która wypadkiem pochwyciła to spojrzenie, poczuła się ogromnie wzruszona. Razem udali się do altanki, gdzie oczekiwał ich pan Allan. Goście otoczyli ich kołem. Ania i Diana stały u kamiennej ławki, a Karolina Czwarta drżącymi rękami rozpaczliwie ścisnęła ich dłonie. Pan Allan otworzył Biblię i ceremonia się rozpoczęła. W chwili gdy młoda para zamieniła pierścionki, zdarzył się piękny i nieoczekiwany fakt. Słońce przedarło się nagle przez ołowiane chmury i potok złotego światła oblał szczęśliwą pannę młodą. W mgnieniu oka ogród nappełnił się rojem blasków i drżących cieni.

“Co za piękny symbol!” — myślała Ania biegnąc uściskać pannę Lawendę, po czym trójka dziewcząt opuściła resztę gości otaczających młodą parę i pobiegła, by zająć się przyjęciem.

— Dzięki Bogu, już po wszystkim — odetchnęła z ulgą Karolina. — Ślub się odbył, więc teraz niech się dzieje, co chce, p—sze pani. Woreczek z ryżem jest w spiżarni, stare trzewiki pode drzwiami, a śmietana do ubicia na schodkach piwnicy.

O wpół do trzeciej państwo Irving odjechali, odprowadzeni na kolej przez całe towarzystwo. Gdy panna Lawenda... to jest pani Irving, przestąpiła próg swego dawnego domu, Gilbert i dziewczęta obrzucili ją ryżem, a Karolina Czwarta cisnęła starym trzewikiem tak zręcznie, że omal nie uderzyła pana Allana w głowę. Ale Jasiowi było sądzone wystąpić z najpiękniejszym pożegnaniem. Nieoczekiwanie

wybiegł z przedsionka, potrząsając gwałtownie mosiężnym obiadowym dzwonem, zdobiącym dotąd kominek w stołowym pokoju. Jaś pragnął jedynie tym wesołym dźwiękiem zakończyć uroczystość zaślubin. Tymczasem, w miarę jak głos dzwonów zamierał, od wzgórz i ściany lasów nad rzeką przypłynęła nowa fala dzwonów jeszcze jaśniejsza, słodsza i delikatniejsza, jak gdyby umiłowane echa panny Lawendy przesyłały jej pożegnanie. Z tym błogosławieństwem słodkich dźwięków porzuciła ona dotychczasowe życie snów i marzeń dla życia pełnego pracy i obowiązków.

W dwie godziny potem Ania z Karoliną powracały z kolei. Gilbert pozostał w Grafionie, gdzie miał do załatwienia jakieś sprawunki, Diana zaś pośpieszyła do domu, gdzie "ktoś" na nią czekał. Dziewczęta miały sprzątnąć mieszkanie i zamknąć ostatecznie domek. Ogród był zalany potokami złotego światła, roje pszczoł i motyli unosiły się nad kwietnikami, ale kamienny domek nosił już piętno tego smutku i opuszczenia, jakie zwykle następuje po uroczystości.

— Boże, jak tu smutno! — chlapała Karolina Czwarta, która w drodze ze stacji cały czas zalewała się łzami. — Ślub, gdy przeminie, nie jest wcale weselszy od pogrzebu, p-sze pani.

Praca zawrzała. Dziewczęta pośpiesznie chowały drobiazgi, zmywały naczynia, pozostałe smakołyki pakowały do koszyka na ucztę przeznaczoną dla młodszych braci Karoliny. Ania nie chciała spocząć ani na chwilę, dopóki wszystko nie zostało doprowadzone do zupełnego porządku. Gdy wreszcie Karolina udała się do domu, Ania raz jeszcze obeszła opustoszałe pokoje i pozapuszczała żaluzje. Zaryglowawszy drzwi wejściowe, znużona, spoczęła pod srebrną topolą, aby czekając na Gilberta, swoim zwyczajem marzyć bez końca.

— Nad czym tak dumasz, Aniu? — zapytał Gilbert zjawiając się nagle przed nią. Bryczkę z koniem pozostawił na gościńcu.

— Myślę o pannie Lawendzie i panu Irvingu — odpowiedziała. — Czyż to nie cudowne zrządzenie losu? Złączyli się po tylu latach oddalenia i nieporozumień.

— Zapewne — powiedział Gilbert, uporczywie patrząc we wzniesione ku niemu oczy. — Lecz czy nie czuliby się szczęśliwsi, jeśliby nigdy nie było między nimi żadnego oddalenia i nieporozumienia, gdyby ręka w rękę przewędrowali całe życie, a wszystkie wspomnienia dotyczyłyby wspólnych przeżyć?

Na chwilę serce Ani zatrzepotało dziwnie. Po raz pierwszy w życiu spuściła oczy pod spojrzeniem Gilberta, a lekki rumieniec okraślił jej bladą twarzyczkę. Jak gdyby zasłona, okrywająca jej świadomość, uniosła się i odsłoniła nieoczekiwane uczucia.

Może, mimo wszystko, miłość nie zawsze zjawia się w życiu jak wspaniały rycerz poprzedzony fanfarami, otoczony przepychem?... Może zbliża się bezgłośnie i skromnie jak stary przyjaciel? Może ma pozory prozy, dopóki jakaś fala blasków, prześwietlająca nagle jej karty, nie wydobędzie z nich na jaw ukrytych rytmów i melodii?... Może... może miłość wykwita po prostu z serdecznej przyjaźni jak złocista róża z zielonego pąka?... Zaslona znowu opadła, lecz Ania, idąca teraz ciemną aleją, nie była już tą Anią, która poprzedniego wieczora podążała do Chatki Ech. Rozdział życia podlotka został zamknięty niewidzialną ręką. Zaczynało się życie kobiety z całym swym urokiem i tajemniczością, ze wszystkimi smutkami i radościami.

Gilbert roztropnie nie powiedział nic więcej. Z rumieńca Ani wyczytał dzieje najbliższych lat.

Cztery lata poważnej, radosnej pracy — a w nagrodę zyskanie pożytecznej wiedzy i zdobycie serca ukochanej dziewczyny.

A poza nimi w ogrodzie pozostał kamienny domek pośród cieni. Był opuszczony, lecz nie zapomniany. Nie wyrzekł się jeszcze marzeń, śmiechów i radości życia. Niejedno rozkoszne lato było mu sądzone. Tymczasem mógł czekać. Ponad rzeką zaś uwięzione w purpurze echa też oczekiwały godziny swego wyzwolenia.